

ANDRZEJ KLAWITTER:

SUMIENIE ZŁA:

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza Warszawa 1997

KORDIAN: Boże! Jak ten stary

Rósł zapalem w olbrzyma; lecz ja nie mam wiary,

Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.

Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem,

Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.

Dróg zawartych przesądem nie przestąpię krokiem.

Teraz czas, świat młodzieńca zapalem przemierzyć

i rozwiązać pytanie: żyć albolie nie żyć?

Jam bezsilny! Nie mogę jak Edyp zabójca

Rozwiązać wszystkich sfinksów zagadki na świecie [...]

Juliusz Słowacki, „Kordian”, akt I, sc. 1

PROLOG

Kancelaria Adwokacka Borski, Zawada i S-ka mieściła się w sześciopiętrowym gmachu na ulicy Śniadeckich w centrum Bydgoszczy.

Gmach ten przyciągał spojrzenia przechodniów efektowną elewacją w stylu secesji. Właściwie wyglądał jak nuworysz pośród rodowej arystokracji, może i zubożalej, ale zawsze pełnej godności. Budynek był siedzibą Banku Kredytowego, rozlokowanego na parterze i pierwszym piętrze, oraz kilku firm handlowych. Adwokaci wygodnie się rozsiedli w trzech pomieszczeniach na czwartym piętrze.

Pewnego ranka na początku września granatowy peugeot zatrzymał się, jak zwykle, na parkingu w pobliżu tego gmachu. Z wozu wysiadł wysoki

szatyn w szarym dwurzędowym garniturze, niebieskiej koszuli i popielatym krawacie. Wziął teczkę, drzwi samochodu zamknął na klucz i ruszył do budynku. Zniknął w środku i schodami, mimo że tuż obok funkcjonowała winda, poszedł do firmy prawniczej.

- Dzień dobry, pani Bożenko - rzekł pogodnie Roman Zawada, wchodząc do sekretariatu.

- Dzień dobry, panie mecenasie - odpowiedziała kobieta w średnim wieku. Oderwała wzrok od korespondencji i uśmiechnęła się.

- Co dziś nas czeka?

- Na razie nic szczególnego, ale to dopiero ranek.

- Tak, dni są gorętsze, a noce jeszcze bardziej - zażartował.

- To prawda - przyznała wesoło. - Spotkałam wczoraj pańskiego ojca. Energia z niego szybciej ulatuje, odkąd przestał pracować - dodała ze współczuciem.

Roman milcząco potaknął, zasepił się i wszedł do biura po prawej stronie, które dzielił ze starszym wspólnikiem. Zawsze chciał być prawnikiem, właśnie adwokatem. Matka czasem żartowała z niego, że kiedy zaczął gaworzyć, już przebąkiwał o tym zawodzie. Gdy dorastał, jego zainteresowania

7

stopniowo się krystalizowały, pchając go w tym właśnie kierunku. Liczył trzydzieści osiem lat i był wziętym adwokatem, szczególnie od spraw karnych.

Wkrótce zjawiała się sekretarka, postawiła na biurku filiżankę z kawą, położyła kilka pism oraz zaklejoną białą kopertę. I cicho wyszła.

Roman oderwał się od przeglądanej terminarza, osłodził kawę i upiwszy

łyk, bez większego zainteresowania wziął kopertę, chociaż widniał na niej napis „Do rąk własnych”. Mimo woli zwrócił uwagę na wymyślne „Z” w swoim nazwisku, jakby napisane przez średniowiecznego iluminatora ksiąg. Stwierdził, że na odwrocie nie ma nadawcy. Spokojnie, jak ktoś, kto każdy swój ruch ma dokładnie wyliczony, rozciął kopertę starym scyzorykiem, bodaj jedyną pamiątką z dzieciństwa, z którą nigdy się nie rozstawał, i wyciągnął podwójną kartkę wypełnioną starannym pismem. W miarę czytania twarz mu szarzała.

\*

- Wspaniale, Paweł, wspaniale! - dźwięczny alt rozległ się na widowni, a potem pojedyncze oklaski, których echo odbijało się od sklepienia sali.

-Tym razem to jest ten mój Cyd! Mój!

Paweł Zawada usiadł na podłodze sceny i wpatrzył się w siedzącą w drugim rzędzie niebieskooką kobietę o blond włosach upiętych w kok. Przez minutę rozmyślał nad wygłoszonym przez siebie monologiem Rodryga z Cyda Corneille'a. Wreszcie i on był zadowolony z własnej interpretacji. Zeskoczył na widownię. Magda Poczekaj podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

Była zgrabna, lecz nie zaliczała się do olśniewająco pięknych. Dopiero gdy się szeroko uśmiechała, pokazywała swoją fascynującą urodę.

Niewiarygodne, co taki uśmiech robił z jej twarzą.

Była utalentowaną reżyserką teatralną. Miała na koncie udane inscenizacje Mrożka, Ionesco, Słowackiego i innych czarodziei teatru, zbierała zasłużone pochwały od swoich nieraz starszych i bardziej doświadczonych kolegów reżyserów z innych polskich scen.

Paweł natomiast był świetnym aktorem, a także dobrze się

zapowiadającym dramaturgiem. Jego debiut dramaturgiczny stał się wydarzeniem teatralnym ubiegłego sezonu.

Magda i Paweł od roku żyli ze sobą, ale mieszkali oddzielnie. Ona była rozwiedziona i bezdzietna, on zaś nie spieszył się do zmiany stanu cywilnego,

choć miał już prawie trzydzieści pięć lat. Na razie zgodnie uznawali, że tak jest dla nich wygodniej, aczkolwiek Magda ostatnio coraz częściej myślała o poślubieniu Pawła, gdyż odpowiadał jej pod paroma względami, tymi najważniejszymi (drobiazgami nie zaprzętała sobie głowy).

Nim wyszli z Teatru Polskiego na Mickiewicza, gdzie pracowali od paru lat, Paweł wstąpił do sekretariatu po list, o którym wcześniej powiedziała mu sekretarka. Mimo woli zwrócił uwagę na wyszukane „Z” w swoim nazwisku. Chciał otworzyć list, ale że zobaczył Magdę, wsadził go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Przy obiedzie, na który poszli do restauracji nieopodal teatru, rozgadali się o zbliżającej się premierze Cyda. Liczyli na sukces. „Lecz dobra klapa nie zaszkodzi - żartowała nieraz Magda - bo działa podwójnie mobilizująco, podobnie zresztą jak sukces”.

- Jak ci się pisze nową sztukę? - zapytała przy deserze.

- Licho. Moja wena poszła na urlop, nic mi o tym nie mówiąc.

- Jezu, wyrzuciłabym taką pracę!

- Dobrze ci mówić. A ja muszę ją zatrudnić.

Parsknęli śmiechem. Na ogół byli zgodni, podobnego temperamentu.

Paweł miał łagodne usposobienie, nie cierpiał kłótni, nie mówiąc o awanturach (choć w przeszłości lubił drzeć koty z bratem). Oczywiście na

scenie inaczej to wyglądało - w zależności od roli bywał równie przekonujący jako cham i brutal.

Wyszli z restauracji i wsiedli do samochodu. Paweł odwiózł Magdę do jej mieszkania w wiekowym budynku na ulicy Marszałka Focha, naprzeciwko imponującej rozmachem architektonicznym Opery Nova, i pojechał na Bartodzieje, gdzie mieszkał z rodzicami.

Dopiero teraz przypomniał sobie o liście. Nim wysiadł z wozu, wyciągnął list z kieszeni marynarki i z zaciekawieniem rozpostarł podwójną kartkę wypełnioną ładnym pismem.

## ODSŁONA PIERWSZA

I

Był nagi. Spadał.

Otchłań szybko się przybliżała. Wrota czeluści piekła przywodziły mu na myśl krater tętniącego ogniem wulkanu. Gdy znalazł się na początku piekielnego kręgu, mimo woli zawisł w próżni. Nic nie mógł poradzić na swój bezwład -jakby najpierw z lotu ptaka miał dobrze się przypatrzeć swojej wieczności.

Na widok mrowia ludzkich ciał, które wściekle zadowolone diabły wtrącały do ognia, ogarnął go potworny strach. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tak się bał. Wiedział, że zjawił się tu na zawsze. Wstrząsnął się, gdy spostrzegł i usłyszał, jakjeden z diabłów, chwytając kolejną ofiarę i wtrącając ją do płomieni, spojrzał na niego złowieszczo i zawołał, aby się zbliżył. Chciał uciec, ale to było ponad jego siły.

Wtem poczuł, że ktoś go popchnął, tak że się zatrzymał tuż obok diabła, który przed chwilą go wołał. Popatrzeli na siebie. Diabeł miał oczy, jakich nie spodziewał się zobaczyć u tych antychrystów; nie mógł uwierzyć, że

widzi normalne ludzkie oczy.

Żądny krwi księżę piekła chwycił go za udo, uniósł lekko jak piórko, aby rzucić na pastwę płomieni - i...

Obudził się.

Henryk Zawada - w ciemnym garniturze, białej koszuli i bordowej muszce - ocknąwszy się z głębokiej drzemki, pochwycił leniwą myślą umykający sen. Przetarł dłonią czoło i poczuł zimny pot. Siedział w fotelu. Jak hipnotyzer uporczywie wpatrywał się w ogień, którego blask i ciepło wcześniej go uspiły.

Na kominku trzaskały brzoźowe szczapy, kąsane żółtoczerwonymi płomieniami. Było wyjątkowo zimno jak na połowę października, ale ogień na kominku sprawiał, że pokój wydawał się przytulny.

Ogień. Znowu pomyślał o nim jako o symbolu wieczności, jednocześnie mającym moc oczyszczania, potępiania... Ostatnio często popadał w stany przygnębienia, podczas których z młodzieńczą werwą buszował w zakamarkach swojej pamięci i wyciągał z niej niczym z szuflad własnego biurka to, co akurat chciał, choć nie zawsze były to wspomnienia najmiłsze. Prawdę rzekłszy, wyciągał wszystko, co najgorsze, aby jeszcze raz, może ostatni, zastanowić się, przyjrzeć temu z dystansu, który bez emocji pozwala postrzegać rzeczy i, daj Boże, znaleźć sensowne (czy raczej zbawienne) wyjaśnienie swoich kroków, które już dawno umilkły, a ich ślady pokrył kurz.

W pokoju pojawiła się jego żona, Helena, równo z dwunastym uderzeniem zegara wybijającego północ. Nie wyglądała na swoje sześćdziesiąt trzy lata. W jej twarzy można było dostrzec ślady dawnej urody, a wyraziste rysy świadczyły o niegdysiejszej dumie.

- Znowu się zadreczasz? - zapytała i usiadła przy nim w fotelu na biegunach, sięgnęła po napoczętą paczkę marsów i zapalki. Zapaliła. Odepchnęła się nogą od podłogi i zaczęła się lekko bujać.

- Wydaje ci się. Czym miałbym się zadreczać?

- Minęło półtorej godziny, odkąd wszyscy wyszli, a ty rozpamiętujesz, dlaczego Paweł nie przyszedł na twoje urodziny. Coś mi się wydaje, że dzisiejszy, a właściwie - zerknęła na szafkowy zegar w rogu pokoju - wczorajszy dzień przejdzie w naszej rodzinie do historii. Paweł po raz pierwszy zignorował święto rodzinne.

- Nie miał czasu, więc nie przyszedł - mruknął obojętnie.

- Ani nie miał czasu zadzwonić z życzeniami, co?

- Ze stu różnych powodów mógł nie mieć tego cholernego czasu!

- Oj, nie denerwuj się. To nie w jego stylu, dobrze o tym wiesz. - Podeszła do rododendrona wciśniętego w kąt między oknem a kominkiem. — Jestem pewna, że coś się stało.

- Z Pawłem? Co się miało stać? Jakiś wypadek?

- Boże! Bądź poważny. Nie rozmawiaj ze mną jak z dzieckiem. W ogóle coś się stało. W naszej rodzinie.

Mąż zerknął na żonę naburmuszony.

- W rodzinie? - Też wstał, poprawił muchę i rozpoczął wędrówkę, co chwila przystając i skupiając wzrok na czym popadło.

- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego Paweł tak nagle się od nas wyprowadził i od tamtego dnia, a to już ponad miesiąc, nie daje nam znaku życia? Pamiętasz, jak wytłumaczył swoją wyprowadzkę?

- Jest dorosły, nie musiał się nam opowiadać - odparł szorstko, prawie odpychająco. - Mógł nawet trzasnąć drzwiami.

10

11

Atmosfera między nimi lekko się elektryzowała. Pani Helena, nadal interesując się kwiatem, wykrzywiła twarz z niesmakiem.

- Czy źle mu u nas było? - ciągnęła. - O nic się nie musiał martwić, wszystko podsuwałam mu pod nos. Mógł się poświęcać wyłącznie swojej pracy - teatrowi i pisaniu.

-Miał tego serdecznie dość. Żeby mieć w matce namolną służącą... To w końcu podważyło jego samodzielność. -Nic podobnego, mój drogi... Tym razem popatrzył na żonę bez poprzedniej niechęci.

- Może masz rację, że coś się stało - przyznał po długiej chwili. - Ciekawe, że Roman nie umiał nic powiedzieć na temat nieobecności Pawła. Aż nieprawdopodobne.

- Nieprawdopodobne? - Do kominka strząsnęła popiół z dłoni i przetarła ją wierzchem drugiej.

- Zwykle nie mieli przed sobą tajemnic.

- Nie tak zwykle - westchnęła. - Lecz taka ich uroda.

Pożycie małżeńskie układało się im poprawnie, rzadko zdarzały się ostre kłótnie, nawet w przeszłości, gdy byli młodzi. Jednakże pani Helena czuła się przez męża zdominowana, raczej z własnej woli, z natury bowiem była uległa. W miarę upływu lat podporządkowała się mężowi we wszystkich ważnych dla rodziny sprawach. Jak mąż powiedział, tak musiało być, czy to akurat się jej podobało, czy nie. Żadnego sprzeciwu nie znosił. Nigdy za bardzo nie narzekała, bo żyło się jej wygodnie, dostatnio i prawie bezproblemowo, o czym przed zamążpójściem jedynie marzyła.

Pani Helena zrobiła kilka kroków i stanęła przy oknie wychodzącym na



ulicę. Nie odwracając się powiedziała:

- Paweł musiał mieć powód, że się wyprowadził. I sędzę, Henryku, że ty wiesz, co się stało.

Spojrzał na nią gwałtownie, ze złością, jak na kogoś, kto mu całkiem świadomie rozdrapuje jątrzącą się ranę.

- Stanowczo mnie przeceniasz. Co to ja jestem? Jasnowidz?

- Wiesz, po czym przypuszczam, że znasz, a przynajmniej się domyślasz powodów decyzji Pawła?

- Widzę, że uważasz się za znawczynię dusz - rzekł z lekceważeniem, jak do ignorantki.

- Po zachowaniu Romana.

Znowu zapadła długa cisza, jedna z tych, które od dość dawna przeplatały ich rozmowy.

- Co tu Roman ma do rzeczy?

- Krótco po wyprowadzeniu się Pawła spotkałam Romana na poczcie.

Jeszcze nie wiedział, że Paweł od nas odszedł. Gdy mu o tym powiedziałam, wydało mi się, że nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia. Natychmiast zmienił temat. Więc kiedy Paweł nie pokazał się na twoich urodzinach, doszłam do wniosku...

- Ty czasem potrafisz dojść do różnych nieprzyjemności - przerwał jej rozeźlony. - Czemu ja nie wiem, że coś się u nas wydarzyło? Zazdroszczę ci wyciągania wniosków - ironizował. - Szkoda, że ja kiedyś, choćby z samego kataru czy innej grypy, nie mogłem dojść do rozpracowania tej siatki szpiegowskiej...

- Za co dali ci medal.

- Krzyż, a nie medal! - poprawił ją, a po chwili machnął ręką.

- Przyznaj, że trapisz się Pawłem. A co do Magdy, to gdy ostatnio ją spotkałam, też wydawała mi się nieswoja, coś czało się w jej oczach. Było mi niezręcznie pytać o Pawła, a ona również o nim słowa nie powiedziała. No dobrze, powiem ci resztę...

- Jaką resztę?

- Paweł mnie unika - co rzekłszy, pani Helena odwróciła się i skupiła wzrok na mężu, który także w nią się wpatrzył.

- Nie rozumiem.

- Przed tygodniem wybrałam się do niego. Boże, w jakiej nędznej kamienicy się ulokował - westchnęła. - Rudera przy placu Poznańskim. Nie otworzył mi drzwi, a wiedziałam, że jest w domu.

- Jeśli Magda była u niego i... wiesz, w sytuacji... trudno, żeby miał cię wpuścić. Czuliiby się skrepowani.

- Nie, był sam. I na pewno nie spał. Mój drogi, uważam, że ty się domyślasz lub wiesz, dlaczego Paweł odszedł od nas. Inaczej sam byś się do niego pofatygował do teatru czy... nowego mieszkania.

-Może byłem...

- A byłeś?

Jego odpowiedzią było wyjście z pokoju. Poszedł na piętro do swojego gabinetu, bodaj jedyne miejsce w domu, gdzie czuł się najlepiej, niezależnie od wszelkich nękających go zmartwień. Zwykle potrafił je przewycięzać, a jeżeli było to ponad jego siły, to poddawał się z uległością skazańca idącego pod topór. Wiedział od dawna, że jego łódź dobija do wiecznej przystani. Był przygotowany na pożegnanie się z tym światem. Pogodził się z wyrokiem losu, nic innego mu nie pozostało. Zamierzał odejść w miarę godnie, przeto między innymi nie porzucił

swojej wielkiej i wieloletniej namiętności - cygar.

Były prokurator rejonowy Henryk Zawada usiadł przy dużym dębowym

12

13

biurku, bogato rzeźbionym, i spojrzał na dwie przeszklone szafy wypełnione grubymi księgami, nie tylko prawniczymi.

- Ile w nich wiedzy... - wyszeptał i zastanowił się, czy ta zgromadzona wiedza przynosi więcej pożytku, czy zła. Czy wszelkie ludzkie tragedie, w które wprzęgnięto naukę, dadzą się zrównoważyć dobrem, które nauka przyniosła. Bomba atomowa czy penicylina?

Nie znajdując odpowiedzi, zajrzał do szuflady i wyciągnął album malarstwa. Od razu otworzył go na stronie z kolorową reprodukcją obrazu Hansa Memlinga Sąd Ostateczny - był to tryptyk składający się z Piekła, Sądu Ostatecznego i Raju. Zatrzymał wzrok na pierwszej części tryptyku, tej która mu się na dole, przy kominku, przyśniła, tyle że o wiele realistyczniej.

Twarz mu szarzała.

\*

Mąż wyszedł, a pani Helena poszła do kuchni i usiadła przy stole nad kubkiem zimnych ziół, które wcześniej zapomniała wypić. Ostatnio troskała się o męża, który odkąd przeszedł na emeryturę, wyraźnie stracił ochotę do życia. Przypuszczała, że zna przyczyny - miał raka, o czym oboje wiedzieli, ale o tym nie dyskutowali, jak gdyby rzecz tego wymagała: milczenia. Starła się wobec niego zachowywać normalnie, jakby nic złego nie wisiało w powietrzu. Od lekarza wiedziała zaś, że jej mężowi pozostało raptem kilka miesięcy życia, najwyżej rok.

Dzisiejsza rozmowa z mężem była kolejną próbą, tym razem bardziej stanowczą jej strony, mającą doprowadzić do rozwiązania gordyjskiego węzła, którego konsekwencją, jak przypuszczała, było wyprowadzenie się Pawła. Lecz znowu się nie udało. A porozmawiać z mężem wprost na ten temat nie umiała, przynajmniej na razie.

Przed oczyma pojawiła się jej scena wyprowadzki młodszego syna - spakował się, zabrał jedynie osobiste rzeczy. „Dobrze mi robi samodzielne mieszkanie, przecież mam już swoje lata” - to wszystko, co usłyszała od niego na ten temat.

## II

Był wtorek, dziewiętnasty października. O szesnastej trzydzieści przed bramą czynszowej kamienicy na ulicy Śląskiej trzystaście, naprzeciwko par-

terowego supersamu, zatrzymała się taksówka. Wsiadły z niej dwie młode kobiety - elegancka brunetka, ubrana w czerwony kostium, czarny kapelusz i również czarne rękawiczki, oraz rudowłosa, odziana znacznie mniej wytwornie. Brunetka zapłaciła kierowcy. Taksówka odjechała.

Maria Małgorzata Lewandowska niechętnie spojrzała na budynek, jak gdyby miała wejść co najmniej do zaniedbanej dworcowej toalety. Kiedy stanęły przy drzwiach mieszkania numer jeden na parterze, Maria Małgorzata, nie zdejmując rękawiczek, nacisnęła mechaniczny dzwonek umieszczony pośrodku drzwi, pod wizjerem. Rudowłosa rzucała okiem po klatce schodowej - na odrapanych ścianach widniało mnóstwo anarchistycznych haseł.

Ponieważ nikt nie otwierał, zniecierpliwiona Maria Małgorzata nacisnęła dzwonek powtórnie, a gdy i po minucie drzwi się nie otworzyły, wzruszyła

ramionami.

- Nie mam pojęcia, czemu jej nie ma - powiedziała.

- Pewnie wyszła - rzekła rudowłosa, wytyczając słuch - bo w środku jest cicho.

Naraz otworzyły się drzwi mieszkania po przeciwnej stronie i wyłonił się starszy mężczyzna.

- Dzień dobry, panie Rymarski - uśmiechnęła się Maria Małgorzata. - Nie orientuje się pan przypadkiem, dokąd poszła mama?

- Dzień dobry - odrzekł uprzejmie. - Oj, nie mam pojęcia. A rano ją widziałem - dodał i wyszedł na ulicę.

Maria Małgorzata odruchowo nacisnęła klamkę i drzwi się otworzyły.

- Otwarte? - zdziwiła się. - To do niej niepodobne. Zwykle zamyka na siedem spustów, a najchętniej jeszcze by zatrudniła stróża z pistoletem i groźnym wilczurem.

Weszły do mieszkania. Od razu spostrzegły, że w głębi długiego korytarza leżą odłamki rozbitego wazonu oraz suche kwiaty, które w nim przedtem tkwiły. Maria Małgorzata zajrzała do pokoju i...

W pokoju bałagan jak po kataklizmie, a na podłodze pomiędzy stołem a staroświeckim kredensem leżała kobieta w brązowej spódnicy i beżowej bluzce. Nie poruszała się. Twarz miała odwróconą do drzwi, oczy nie domknięte, usta półotwarte.

-Boże! -zawołała przerażona Maria Małgorzata. Spojrzała na podchodzącą przyjaciółkę, podbiegła do leżącej i przysiadła. Na bluzce było kilka podłużnych, wąskich dziur i plamy krwi w okolicach serca. - Zabita... nie żyje...

Alicja Rokita zatrzymała się w progu; nie wiedziała, co powiedzieć.

Najwyraźniej bała się podejść bliżej.

14

15

- Alu, ona nie żyje - powtórzyła Maria Małgorzata, bojaźliwie chwytając matkę za przegub ręki. - Rany, co robić?

-Policja!

- Tak, policja! - Zdenerwowana zaczęła krążyć po pokoju, próbując jakoś uporządkować myśli. Spojrzała na kredens. Na kryształowej miseczce leżała paczka mocnych, a pod nią pozłacana zapalniczka. Nerwowo ściągnęła z rąk rękawiczki i sięgnęła po papierosy. Zapaliła, zapalniczkę zacisnęła w dłoni i wypuściła z ust kłęb dymu.

Roman oderwał się od dokumentów, przetarł ręką twarz, wstał i rozprostował kości. Dosyć na dziś, pomyślał z ulgą. Podszedł do okna i wyjrzał na zapełnioną ludźmi i samochodami ulicę. Wyostrzył wzrok, żeby się upewnić, iż się nie pomylił.

Zobaczył Pawła, który wychodził z podrzędnego baru na rogu ulicy.

Widział jak na dłoni, że brat jest wstawiony, idzie chwiejnie, a bujne, brązowe włosy ma rozwichrzone. Obserwując go zasepił się, nie po raz pierwszy. Od dłuższego czasu nie rozmawiali ze sobą, lecz Roman widywał go gdzieś w mieście, za każdym razem podpiętego, co było nowością u Pawła. Wprawdzie wiedział, że wśród artystów, w odróżnieniu od reszty społeczeństwa, alkoholizm bynajmniej nie jest postrzegany jako plaga - uchodzi raczej za trzeźwy obyczaj - to, jednak przypuszczał, że w życiu Pawła może ten społeczny status szybko osiągnąć.

Po chwili Paweł zniknął mu z pola widzenia. Roman rzucił okiem na terminarz, w którym miał zapisany rozkład zajęć na dzień następny, po

czym założył marynarkę, płaszcz i szybko wyszedł z biura. Idąc w stronę placu Piastowskiego, zaglądał w twarze przechodniom, ale brata nigdzie nie dostrzegł. Gdy już zrezygnowany zawrócił do samochodu, zobaczył go w bramie po drugiej stronie ulicy, rozmawiającego z jakąś młodą, nawet niebrzydką blondynką. Roman jej nie znał. Nie zauważony zatrzymał się przy oknie wystawowym sklepu z komputerami, zapalił papierosa i obserwował ich. Wyglądało na to, że są w dobrej komitywie. Wkrótce blondynka zniknęła w bramie, a Paweł ruszył dalej. Roman pospieszył za nim, ale po paru krokach zrezygnował. I sam nie wiedział, dlaczego. Ze złością cisnął niedopałek na ziemię i poszedł do samochodu.

16

Magda doskonale wiedziała, że nie ze wszystkiego Paweł jej się zwierza. Zresztą, nie wymagałaby tego, nawet gdyby byli małżeństwem. Są pewne granice prywatności, których także najbliższa osoba nie powinna przekroczyć. Lecz tajemnice prywatności to jedno, a ciekawość, poruszająca się swoimi krętymi drózkami, to drugie.

Tak więc Magda nie miała pojęcia, dlaczego Paweł wyniósł się z rodzinnego domu, wynajął małe mieszkanie w niezbyt atrakcyjnym miejscu i przez trzy dni z rzędu zalewał robaka w różnych barach, do jakich normalnie by nie zajrzał, a potem zniknął w ogóle z miasta na kilka dni, aby po powrocie znów włóczyć się po knajpach. Zapytała go o powód nagłej zmiany, ale usłyszała wykrętne wyjaśnienie, iż zaistniał pewien problem i sam musi się z nim uporać. Nie umiał określić, kiedy to nastąpi. zaproponowała mu swoje mieszkanie, co byłoby do pewnego stopnia usankcjonowaniem ich więzi uczuciowej. Spotkała się z odmową i zaczęła go podejrzewać o romans z inną kobietą, ale po jakimś czasie sama

przestała w to wierzyć; intuicja podpowiedziała jej, że nie o to chodzi.

Dobrze jednak wiedziała, że intuicja również potrafi zmylić, nieraz się na niej zawiodła w ważnych momentach. W końcu przestała nalegać, choć ciekawość ciągle ją paliła, tym bardziej że później Paweł zwrócił się do niej z zaskakującą prośbą, by przez jakiś okres się nie widywali, oczywiście poza wspólną pracą. Przystała na to.

O piątej po południu wyszła z teatru. Jak zwykle po drodze do domu robiła zakupy. W pewnym momencie spostrzegła brata Pawła, wysiadającego z samochodu przed sklepem jubilerskim. Przystanęła. Wpadła na pomysł, żeby z nim porozmawiać. Zauważywszy, że wszedł do sklepu, też tam weszła i stanęła pośród innych klientów przy oszklonej ladzie z mieniącą się biżuterią. Roman pochylony nad szkłem pilnie coś oglądał. Nie trwało długo, zdażyła się zapalić do pięknego pierścionka z turkusem, gdy usłyszała jego głos:

- Dzień dobry, Magdo. Dawno się nie widzieliśmy.

- O, Roman! Dzień dobry.

- Zaraz poczuję wyrzuty sumienia, że ty tu wchodzisz.

- A kto miałby wchodzić?

- Paweł - odrzekł wesoło i przegarnął włosy.

- Subtelniej nie można by tego wyrazić - stwierdziła miękko.

- Poszukuję ładnego drobiazgu dla Iwony, niedługo jej urodziny. Nie mam głowy do takich rzeczy.

17

- Nie musisz mieć głowy, w zupełności wystarczą pieniądze.

- Nigdy bym na to nie wpadł. Roześmiali się.

- Co u ciebie słyhać? - zapytał. - Kiedy premiera Cyda?



- Trzydziestego, w sobotę. A co nowego u ciebie, ostatnia deska ratunku złoczyńców?

Roman parsknął zabawnie.

- Nikt jeszcze tak mnie nie określił. Nie tylko złoczyńców bronię, także porządnych ludzi.

- Porządnych ludzi nie ma przed czym bronić.

- To spostrzeżenie nadaje się wyłącznie na listę pobożnych życzeń. Słuchaj

- dodał Roman zachęcająco - skoro się widzimy, wstąpmy gdzieś na kawę.

- Chodźmy - zgodziła się skwapliwie.

Poszli do restauracji w hotelu „Pod Orłem”. Był to elegancki lokal dla ludzi o portfelach grubości niedużej beczki. Usiedli przy stoliku w rogu sali i zamówili cappuccino i ciasto orzechowe. Magda zastanowiła się, jak nawiązać do tematu, który był dla niej ważny; nie chciała od razu go poruszać. Wiedziała, że Roman jest ostrożny, niełatwo z niego coś wyciągnąć, z gotowością psa obronnego pilnuje swojej prywatności. Toteż postanowiła, że najpierw spróbuje zdobyć jego przychylność, a może i uśpić czujność, i dziarsko wkroczyła na obce sobie podwórko, mianowicie zorganizowanej przestępczości.

Romanowi oczy rozbłysły jak latarnie. Natychmiast zaczął wykladać swój punkt widzenia w tej kwestii, a gdy kelnerka zrealizowała zamówienie, skon-kludował wywód:

- Tam gdzie wchodzi w grę pieniądze, które w sposób najzupełniej naturalny przesłaniają wszelkie kanony uczciwości i moralności, każde świństwo jest możliwe, a nawet więcej - dyskretnie dopuszczalne, a co najmniej traktowane z milczącym błogosławieństwem samych władz.

Wszędzie.

- Wydaje mi się, że uczciwość i moralność wymyślono po to, żeby człowiek się zastanowił, zanim przekroczy ich granice, zanim będzie za późno, bo rachunek sumienia i kara nie naprawią zła.

-Nic podobnego. Uczciwość i moralność wymyślono w zupełnie innym i szczęśliwie dwojakim celu: po pierwsze, by człowiek zdał sobie sprawę, że kiedy przekroczy ich granice, to musi być o wiele ostrożniej szy w działaniu, bo konkurencja jest naprawdę ogromna, największa z wyobrażalnych, po drugie, aby tę konkurencję...

- To mógł powiedzieć prawnik, który lubi pożartować.

- Takich prawników nie ma - odrzekł z humorem.

- Czyżby? Przyglądając się niektórym wyrokom zapadającym u nas w rozmaitych sprawach, zwłaszcza dotyczących wielkich afer, nie byłabym tego taka pewna.

Roman pochylił głowę.

- Jeden zero dla ciebie - stwierdził cicho, potulnie.

- Dzięki - uśmiechnęła się szeroko. - Coś niedobrego dzieje się z Pawłem - ostrożnie zmieniła temat na właściwy.

-Niedobrego?

- Tak. - Spostrzegła, że przez jego twarz przebiegł grymas i zrozumiała, że chyba zbyt bezceremonialnie weszła na obcy teren.

- Co takiego?

- Nie mam pojęcia.

-Nie interesuję się jego prywatnymi problemami.

- Wiem, że nie chodzi o kobietę - atakowała delikatnie. - Widujesz się z nim?

- Od ponad miesiąca tylko raz rozmawialiśmy przez telefon. Magda

zawahała się, czy jest sens ciągnąć ten temat. Spróbowała:

- Paweł się zmienił. Wszystko dusi w sobie, nieraz zdaje mi się, że miałby ochotę rozerwać się jak granat. Wczoraj znowu się urznął. Byłam u niego późnym wieczorem, akurat wrócił wstawiony. Nic do niego nie docierało, więc poszłam sobie.

- Aż tak się zmienił?

- Tak - potwierdziła, choć jego pytanie uznała za retoryczne. - Przyznasz, że to do niego niepodobne.

-Nie mieliśmy zwyczaju zwierzać się sobie z osobistych spraw. Pod pewnymi względami różnimy się, on czasem nabiera cech mimozy.

- Doskonale o tym wiem - powiedziała spoglądając przez ciemne szyby na ulicę. - Może ja mogłabym mu pomóc, ale nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Podejrzewam jednak, że wiesz, co stanowi przyczynę zmiany w jego życiu. Powiedz mi. Życie trochę też mnie doświadczyło. Nieudane małżeństwo, ciężkie próby przebicia się na deskach teatralnych. Jeszcze parę innych rzeczy bym znalazła. Widzisz zatem, że jestem zaprawiona w rozmaitych historiach i niestraszna mi jakakolwiek wiadomość - dodała i umilkła wyczekująco.

- Nie mam pojęcia, co ci poradzić, wierz mi.

- Powiedziałeś to przekonująco, więc zwłaszcza tobie nie wierzę - poddała się na wesoło i zmieniła temat.

18

19

Aspirant Ryszard Kowalski, mężczyzna w średnim wieku, gapił się przez okno służbowej nysy, o której stanie technicznym mechanik wyraził się ostatnio, że bezpieczniej byłoby ją pchać. Prychnął ironicznie do

siedzącego za kierownicą sierżanta, bo na jednym ze skrzyżowań musieli się zatrzymać, żeby przepuścić manifestantów, którzy zmierzali przed ratusz miejski na wiec -jakieś dwa tysiące krzykliwych ludzi w różnym wieku, dopominających się pracy. Tłum był ochraniały przez policyjne patrole.

Kiedy demonstranci przeszli, ruszyli dalej i wkrótce znaleźli się na miejscu. Kowalski wysiadł z nysy i na czele ekipy wydziału kryminalnego Komendy Miejskiej Policji rażno wkroczył do mieszkania numer jeden w budynku na ulicy Śląskiej trzynaście. Znajdowały się w nim dwie kobiety. Przedstawił się, rzucił okiem na pokój, gdzie leżały zwłoki, i zapytał:

- Która z pań jest córką Jadwigi Margowskiej?

- Ja-powiedziała brunetka i zaciągnęła się papierosem. -Nazywam się Maria Małgorzata Lewandowska. A to moja przyjaciółka Alicja Rokita - uzupełniła.

Kowalski - przyjrząwszy się uważnie rudowłosej kobiecie - wdał się z obiema w rozmowę. Podczas gdy rozmawiali, ekipa techniczna przystąpiła do pracy. Narzędzia zbrodni na razie nie znaleziono. Wkrótce pojawił się lekarz i zajął się zbadaniem zwłok. Steżenie pośmiertne obejmowało całe ciało, ale nie w najwyższym stopniu. Przy dotyku denatki wyraźnie wyczuwał oziębienie.

- Pani matka paliła? - zapytał Kowalski, wskazując wypełnioną po brzegi popielniczkę.

- Jak lokomotywa - odrzekła Maria Małgorzata.

Jeden z techników zauważył, że są w niej niedopałki papierosów trzech marek: Klubowych, Marsów i Mocnych.

- Jakie paliła pani matka? - zapytał.

- Mocne.

- A pani jakie pali?

- Marsy.

Kowalski bezwiednie potaknął i zainteresował się wynikami oględzin lekarskich.

- Co pan ustalił, doktorze?

- Ofiara dostała trzy ciosy długim, ostrym przedmiotem, nożem. Zgon nastąpił dziś między dziewiątą trzydzieści a jedenastą. Dokładniejszy czas zejścia podam po sekcji.

20

- O Boże! - westchnęła Maria Małgorzata. - Około jedenastej miałam przyjść do niej.

- Gdzie pani pracuje? - zapytał policjant.

- W spółce „Sporthand”.

- Czy coś zginęło z mieszkania? Pieniądze, kosztowności...

- Prosił pan, aby niczego nie ruszać. - Odruchowo zacisnęła w dłoni pozłacaną zapalniczkę.

Kowalski uśmiechnął się i dopiero teraz pozwolił sobie na cichą konstatację, że mieszkanie urządzone jest w starym stylu. Antyki, grube dywany i piękne gobeliny na ścianach świadczyły o zamożności i dobrym smaku lokatorki.

- Czy pani matka miała wrogów?

- Nie sędzę - odparła Maria Małgorzata.

- Czym się zajmowała? - Była emerytką.

- A w przeszłości?

- Pracowała w PZU jako księgowa.
- Problemów finansowych nie miała, prawda?
- Nie narzekała na brak pieniędzy. Ojciec zbierał antyki, a że dobrze zarabiał, nie liczył się z groszem. No i zostawił matce sporą sumę.
- Często pani odwiedzała matkę?
- Od czasu do czasu.
- Rozejrzyjmy się wspólnie po mieszkaniu, dobrze? - Kowalski poprawił krawat, który niesfornie wysunął się spod rozpiętej marynarki.
- Dobrze. Usiądź gdzieś, Alu - Maria Małgorzata spokojnie zwróciła się do przyjaciółki.
- Nie, pójdę - odrzekła rudowłosa i wyszła.

Kowalski i Maria Małgorzata przystąpili do obchodu mieszkania. Niewiele potrzeba było czasu, aby w dużym pokoju w kredensie znaleźć bogato inkrustowaną kasetkę z laki, rozbitą i pustą.

- Co pani matka w niej trzymała? - zaciekawiał się policjant. Maria Małgorzata zastanowiła się.
- Nie były to żadne bezcenne klejnoty - wyjaśniła - aczkolwiek istotnie, złote drobiazgi, głównie pamiątki rodzinne. Dwa naszyjniki, bransoletka i trzy pary kolczyków. Jeden z tych naszyjników był naprawdę wyjątkowo piękny.

Zajrzeli do kuchni, w której dla odmiany panował porządek. W jednej z szafek leżało kilkadziesiąt tysięcy złotych.

21

- A ile mniej więcej mogło być? - zapytał. Maria Małgorzata wzruszyła ramionami.
- I nie mam pojęcia, gdzie jeszcze trzymała pieniądze. W dolnej szafce

przy zlewozmywaku stało osiem pustych butelek po alkoholu, przeważnie wyborowej, oraz jedna opróżniona w trzech czwartych.

- Mogłaby mi pani to jakoś wyjaśnić?

- Te butelki, tak? Cóż, matka piła. Zaczęła parę lat temu, po śmierci męża. Ja wyprowadziłam się stąd cztery miesiące przedtem.

W sypialni również zastali wszystko porozwalane. Pościel i materace w łóżkach pocięte. Wyciągnięta do połowy szuflada sekretarzyka była zapełniona różnymi papierami i fotografiami.

- Tutaj też czegoś szukano - stwierdził Kowalski.

- Aż nie mogę uwierzyć. Jak na filmie szpiegowskim.

- Takie piękne starocie lubią mieć skrytki. - Policjant wskazał ładny sekretarzyk.

- Proszę sprawdzić - zachęciła go obojętnym tonem.

- Jasne. A pani niech sprawdzi, czy na którymś z tych zdjęć dostrzeże pani rodzinne błyskotki. Z pewnością matka lubiła się nimi ozdabiać.

- Owszem, chociaż rzadko.

Aspirant zaczął oglądać mebel od środka po wyjęciu szuflady, której zawartością zajęła się Maria Małgorzata. Na wierzchu spostrzegła białą kopertę adresowaną do niej. Nieco zdziwiona położyła ją na stole, następnie obejrzała zdjęcia i odłożyła cztery.

- Zdaje się, że i ja coś znalazłem - powiedział, szperając ręką w głębi sekretarzyka. Wyciągnął notes, do którego wetknięto parę luźnych kartek.

Przewertował go. - Wygląda na to, że pani matka trudniła się lichwą, i

- To znaczy, że pożyczala ludziom pieniądze? - zdziwiła się.

- Proszę, oto weksle na długi zaciągnięte przez parę osób.

Maria Małgorzata popatrzyła na niego zdumiona, wzięła notes i przejrzała

go wraz z luźnymi kartkami. Ryszard Kowalski dyskretnie, lecz uważnie ją obserwował.

- Nie wiedziała pani?

- Absolutnie. Absolutnie nie wiedziałam.

Kowalski potrząsnął głową, choć na jego twarzy pojawiło się niedowierzanie.

- Zatrzymam te dokumenty, bo mogą pomóc w śledztwie.

- Oczywiście. - Zwróciła mu wszystko. - Ale odda mi je pan. Policjant odpowiedział lekkim uśmiechem i wrócił do sąsiedniego pokoju. Maria Małgorzata zaś otworzyła zaintrygowana kopertę, z której wyjęła list.

W miarę czytania twarz jej pochmurniała.

\*

Zbierali się do opuszczenia restauracji. Roman sięgnął po wypchany portfel.

- Czuję się zaproszona - powiedziała Magda. - O was, adwokatach, powiadają, że w bankach posiadacie konta z zerami ciągnącymi się jeszcze na chodniku.

- Niektórzy uważają się za zorientowanych, a i tak zbyt nisko nas oceniają. Dalsze zera mamy w kieszeniach naszych klientów.

- Podobnie jak artyści u widzów. Wyszli i na chodniku przystanęli.

- Podwieźć cię? - zaofiarował się.

- Dziękuję. Spacer dobrze mi robi.

Pożegnali się. Magda ruszyła w swoją stronę. Roman wszedł do wozu, zapalił papierosa i długo siedział, rozmyślając o rozmowie z Magdą, która zniknęła mu z oczu, i o bracie. Dopiero gdy popiół z papierosa spadł mu na



spodnie, strzepnął go, włączył silnik i odjechał.

\*

Nazajutrz w południe aspirant Ryszard Kowalski dostał wyniki sekcji zwłok Jadwigi Margowskiej. Według ustaleń lekarza, zgon nastąpił dziewiętnastego października pomiędzy dziesiątą trzydzieści a jedenastą. Przyczyną śmierci były trzy uderzenia ostrokończystym, jednosiecznym nożem długości około piętnastu centymetrów. Jedno z uderzeń trafiło w przestrzeń międzyżebrową i dotarło do samego serca, powodując zgon. W krwi denatki stwierdzono 1,1 promila alkoholu. W zanieczyszczeniach pod paznokciami, o które niezbyt dbała, były bowiem nieregularnie przycięte tępymi nożyczkami, ustalono obecność mikrośladów bordowych włókien, mogących pochodzić z jednego wyrobu odzieżowego. Na przybrudzonym przyklepcu bandaża, którym był owinięty wskazujący palec prawej dłoni, a którego opuszek nosił ślad głębokiego zranienia nożem, także znaleziono przyklejone włókno bordowe. Zebrane na miejscu zdarzenia inne dowody w postaci włosów, niedopałków papierosów i odcisków palców na różnych przedmiotach również poddano analizie, lecz wyników jeszcze nie dostarczono.

Na biurku przy lampie leżało kilka różnych zdjęć, przedstawiających

22

23

Margowską ozdobioną biżuterią, która zniknęła z jej mieszkania. Ale Kowalskiego ciągle intrygował notatnik z listą nazwisk i paroma weksłami sporządzonymi odręcznie, różnym charakterem pisma. Niewielu klientów figurowało w skrupulatnie prowadzonym rejestrze, lecz Margowska pożyczala im dosyć pokaźne sumy na znacznie przyzwoitszy procent niż

banki.

Dla Kowalskiego było jasne, że miał do czynienia z zabójstwem na tle rabunkowym. Jedyne jego wątpliwość odnosiła się do tego, czy było to zabójstwo z premedytacją, czy przypadkowe, będące wynikiem konfliktu między przeciwnikami, nawet jeśli byli nimi stara kobieta i młody mężczyzna, a ciosów padło kilka.

O samej Margowskiej niewiele ustalił ponadto, co już wiedział. Nie była notowana w policyjnych kartotekach. Liczył na konkretne informacje z wywiadu środowiskowego.

### III

Po prostu go kupił, a nie pobudował. Był to jednorodzinny piętrowy dom o dwuspadowym dachu. Stał w przyjemnym otoczeniu zieleni na zachodnim krańcu dzielnicy Wyżyny.

Roman siedział w pokoju na parterze i przeglądał dokumenty jednego z klientów, ale nie mógł się skupić nad pracą. Od rozmowy z Magdą, czyli od ponad tygodnia, coraz częściej rozmyślał o Pawle. Nie znalazł dotąd czasu, żeby wpaść do niego, pogadać jak brat z bratem. Przypuszczał, a nawet wiedział na pewno, co go gnębi i co spowodowało, że wyprowadził się od rodziców, lecz nie powiedział tego Magdzie, zresztą nie czuł się upoważniony do pełnienia roli jego adwokata.

Zadzwoił telefon. Roman niechętnie podniósł się z fotela. Był przemęczony trudną sprawą w sądzie. Sięgnął po stojący na biurku aparat, chwycił słuchawkę i ledwie do niej mruknął.

- Roman?

Zamarł usłyszawszy ciepły kobiecy głos; nagle opuściło go znużenie.

Choć ostatni raz słyszał ten alt wiele lat temu, to poznałby go natychmiast

i za sto lat. Momentalnie poczuł dreszcz przebiegający ciało.

- Joanna? - wychrypiał.

- Zgadłeś. Joanna. Aż nie mogę uwierzyć, że mnie rozpoznałeś.

- Ty także mnie poznałaś.

- Wiedziałam, do kogo dzwonię. - W słuchawce rozległ się cichy chichot, który też dobrze pamiętał. - Jesteś zaskoczony?

- Ba! - Odruchowo rozluźnił węzeł krawata i zapytał: - Co się stało?... Czy to właściwe pytanie po tylu latach?

- Szczerze mówiąc, Romek, krępowalam się dzwonić do ciebie, ale...

-umilkła.

- Śmiało, byliśmy przecież dobrymi... kumplami.

- Roman, jesteś wziętym adwokatem, a ja... - znowu urwała.

- Mów, nie krępuj się.

- Znalazłam się kłopotcie i pomyślałam o tobie.

- Miło mi, że pomyślałaś o mnie.

- Moglibyśmy porozmawiać?

- Dobrze. Znasz lokalik „Węgliszek”?

- Słyszałam o nim.

- Wobec tego tam za pół godziny, o piątej. - Poczekał, aż się rozłączy i dopiero odłożył słuchawkę. Pograżył się we wspomnieniach z najpiękniejszych miesięcy swojego życia, zakończonych przykro, bo ta dziewczyna rzuciła go dla innego.

Kiedy ich zobaczył na jakiejś zabawie, tamten sprowokował bójkę; Roman przegrał. Długo nie mógł pogodzić się z utratą tej dziewczyny, ale musiał; Joanna bowiem niczym wilczyca pozostała przy zwycięzcy. Potem dowiedział się przypadkiem, że za tą bójką kryła się prosta, brutalna intryga

Joanny, która nie znalazła innego sposobu na szybkie i bezceremonialne rozstanie. Zresztą Roman dobrze znał ją z tej strony, choć nigdy przedtem nie działała przeciwko niemu. Należała też do tych kobiet, które musiały dominować, a on raczej łatwo ulegał jej wpływom. Imponowała mu szalonymi pomysłami, które z zacięciem hazardzistki potrafiła wprowadzać w czyn. Jeżeli coś chciała osiągnąć, nie wahała się przed podstępem. Miała w sobie coś z lisicy. W skrytości ducha zachwycał się osobowością Joanny. Ale musiał przeżyć rozstanie. W rok później spotkał Iwonę, nie tak atrakcyjną jak Joanna, lecz również interesującą i inteligentną. I po paru miesiącach pobrali się.

Zniknął na parę minut w łazience, a następnie na kartce zostawił wiadomość, że pojechał na nie planowane spotkanie z klientem, co zresztą nierzadko praktykował. Kartkę położył na wyszukany puzderku na kobiece przybory toaletowe, dziele anonimowego dziewiętnastowiecznego mistrza. Ów atrakcyjny drobiazg, który kupił parę dni temu, a wczoraj Iwonie wręczył, sprawił jej dużą radość, a jej niełatwo było czymś zaimponować w tej dziedzinie, ponieważ stareńkie cacka stanowiły wielką słabość jego żony.

24

25

Po drodze zastanawiał się, jak Joanna wygląda po tylu latach. Nie miał pojęcia, jak potoczyło się jej życie, stracił ją z oczu i nie zabiegał o wiadomości o niej.

Magda była wściekła. Znowu miała nieprzyjemną rozmowę z ojcem, jedną z tych, które doprowadzały ją do szewskiej pasji. Benedykt Poczekaj, emerytowany zecer państwowej drukarni na Jagiellońskiej, był

człowiekiem pobożnym i wyjątkowo marudnym. Mieszkał z synem i synową w jednorodzinym domu na Szwederowie. Ilekroć Magda go odwiedzała, ojciec z uporem maniaka nalegał, żeby wreszcie zerwała z Pawłem, żeby nie wiązała się z synem „takiego człowieka”.

Notorycznie używał tego rodzaju określeń wobec wszystkich znaczących osób byłego komunistycznego reżimu, niekoniecznie wiedząc o nich coś więcej. Setki razy słyszała podobne słowa i setki razy miała ochotę zadusić ojca własnymi rękoma. Ojciec nie krzyczał, nic podobnego. W ogóle nie podnosił głosu, chyba nawet nie wiedział, co trzeba zrobić, aby krzyknąć. Po prostu wylewał spokojnie z siebie to, co leżało mu na wątrobie.

Przeklinała dzień, kiedy powiedziała bratu, z kim się przyjaźni, a brat to wygadał w domu, jakkolwiek wiedziała, że prędzej czy później sama o tym oznajmi. Na początku próbowała ojcu perswadować swoje racje, jak kobieta mężczyźnie, ale szybko się zorientowała, że prędzej niemowę nauczy mówić, niż jego przekona. „Miłość zaślepia” - twierdził z uporem ojciec. „Nieraz masz skłonność do używania niewłaściwych czasowników - odcinała. - A jak pogodzić fakt, że jesteś katolikiem, drepczącym codziennie do kościółka, podczas gdy ziejesz nienawiścią do bliźnich, doprawdy nie mam pojęcia”. I w efekcie odwróciła się od Kościoła katolickiego, mimo że nie miała nic przeciwko chrześcijaństwu i Bogu. Z przystanku autobusowego pojechała do centrum i wstąpiła do magazynu handlowego „Jedynak”, aby kupić sobie płaszcz, który parę dni temu upatrzyła, a nie miała wtedy pieniędzy. Dziś brat oddał jej zaciągnięty przed miesiącem dług.

Weszła na pierwsze piętro i udała się prosto do stoiska z damskimi okryciami. Czarny płaszcz z niebieskim szalem ciągle wisiał. Odetchnęła,

bo już się obawiała, że mógł zostać sprzedany pomimo słonej ceny.

Przymierzyła go i stanęła przed lustrem - naraz zastygła.

W lustrze mignęła jej postać Pawła, który odchodził od stoiska z koszulami. W pierwszej chwili nie dowierzała własnym oczom, ale po sekundach... Nie był sam. Towarzyszyła mu jakaś ładna, elegancko ubrana brunetka. Magda nie знаła tej kobiety, widziała ją po raz pierwszy. Skamieniała patrzyła, jak ona z widocznym zadowoleniem mówi coś do niego, a on wesoło potakuje. Zniknęli na schodach. Magda, której momentalnie zrobiło się gorąco, nie wiedziała, co począć. Policzki zaczęły ją palić.

- Proszę pani - powiedziała rozkojarzona do ekspedientki - proszę mi, odłożyć ten płaszcz. Jutro się po niego zjawię.

Szybko zdjęła okrycie, rzuciła je na ladę i pospieszyła na dół. Dostrzegła ich na ulicy. Szli w stronę placu Wolności, nie oglądając się. Gdy zauważyła, że brunetka wzięła Pawła pod rękę, ścierpła jej skóra na plecach i poczuła przyspieszone bicie serca. Przystanęła, by zaraz pójść śladem obojga, nie zastanawiając się, dlaczego to robi; nie kontrolowała własnych reakcji. Jak gdyby ciągnęli ją sznurku. Nie zamierzała do nich podchodzić, uznała, że byłoby to śmieszne.

Weszli do sklepu spożywczego. Magda przyczaiła się naprzeciwko przy aptece. Spostrzegła, że stanęli przy stoisku z alkoholami, gdzie oczekiwało kilkanaście osób.

Roman zaparkował na Mostowej, na wszelki wypadek ustawił parkometr na dwie godziny i ruszył w stronę Starego Rynku. „Węgliszka” wybrał specjalnie, z jednego powodu. Był to bowiem lokal miejscowej cyganerii, często zaglądał tam także Paweł. Wprawdzie na razie nie miał ochoty

odwiedzać brata w jego nowym mieszkaniu, ale gdyby tu go spotkał, to wykorzystałby okazję, by się z nim umówić.

Siedziała w głębi lokalu, tuż obok rozłożystej palmy pod antresolą.

Popijała napój pomarańczowy. Na jej widok jak zaczarowany przystanął na parę sekund. Nadal była piękną blondynką, jedną z tych kobiet, na których jeśli spocznie męskie oko, to tak łatwo się nie oderwie. W świetle stojącej obok wysokiej lampy wydawała mu się jeszcze bardziej urocza niż dawniej.

Uśmiechnęła się do niego. Uścisnęli sobie ręce na powitanie. Kiedy usiadł, długo w milczeniu patrzyli na siebie. Nagle Roman poczuł się tak jak przed laty. Uświadomił sobie, że próbuje się przekonywać, iż przyszedł na jedną z kolejnych randek. Po iluzorycznym kaprysie wyobraźni przywołał się do porządku.

26

27

- Nic się nie zmieniłaś - powiedział miękko.

- Pozornie. A ty trochę przytyłeś.

- Nawet sporo. Jeżeli twoje życie wygląda tak jak ty, to można ci zazdrościć.

Zaniosła się krótkim chichotem.

- Gdybyż to była prawda - westchnęła tęsknie. - Moje życie jest przyziemne. Dawne marzenia diabli wzięli. Jestem mężatką, mam czworo dzieci: dziewczynki, siedmio- i pięcioletnią, i dwóch chłopców, dziewięcio- i czteroletniego.

- Nigdy bym się nie spodziewał, że zdecydujesz się na domowe przedszkole - zażartował.

Wzruszyła ramionami.

- Czym się zajmujesz? - zapytał.

- Pewnie się zdziwisz. - Wahala się kilka sekund. - Jestem kasjerką w komunikacji miejskiej. No i? - dorzuciła agresywnie.

Łatwiej byłoby mu zamienić się w bryłę lodu aniżeli spokojnie przyjąć do wiadomości, że jego dawna ukochana zajmuje się przebieraniem banknotów. Kasjerka! To nie zdziwienie, to zaskoczenie. Nie wiedział, jak zareagować, a przypuszczał, że ma głupawą minę. Dobrze pamiętał, że aspiracje Joanny sięgały znacznie wyżej. Interesowała się ekonomią i pragnęła w przyszłości kierować jakąś prężną prywatną firmą zajmującą się modą damską.

- Kasjerka? - bąknął. Z pewnością nie okazał sprytu świetnego prawnika. - Zawsze wiedziałem, że lubisz pieniądze - spróbował wyjść z twarzą.

- Ale nie cudze - zripostowała natychmiast. Jej brązowe oczy wpiły się W niego tyleż odważnie, co bojaźliwie.

- Kim jest twój mąż? To ten, dla którego odeszłaś ode mnie?

- Tak - odrzekła i opuściła wzrok. - A ty jak ułożyłeś sobie życie?

- Moja żona ma na imię Iwona, jest dekoratorką wnętrz. Mamy dwoje dzieci: ośmioletniego Marka i sześcioletnią Beatkę.

Znowu umilkli. Roman wziął do ręki menu.

- Na co masz ochotę? - zapytał. - Nie jestem specjalnie głodna.

- A ja tak. Proponuję eskalopki z indyka z warzywnym puree i wino, na deser suflety z grejpfrutów. Czuj się zaproszona - dodał zauważając, że raczej nie jest zachwycona jego wyborem.

- Zdaję się na twój gust - zgodziła się bez entuzjazmu. Podeszła kelnerka.

Roman złożył zamówienie.



Kupili butelkę wina.

Kiedy Magda spostrzegła, że podchodzą do wozu Pawła na parkingu, zatrzymała się i skryła za akacją rozglądając się za taksówką. Miała szczęście. Gdy Paweł ruszył, tuż przy niej zatrzymał się fiat, z którego wysiadł starszy mężczyzna z laską. Błyskawicznie zajęła jego miejsce i rzuciła kierowcy, nie dbając o to, co on sobie pomyśli, żeby pojechał za wiśniową hondą.

Jechali na Błonie. Honda zakończyła jazdę przed budynkiem na Stawowej i Paweł z towarzyszką wysiedli. Magda kazała kierowcy stanąć. Zapłaciła i wysiadła. Tamci zniknęli w domu. Taksówka odjechała. Magda odczekała minutę i weszła do budynku. Znalazłszy się w klatce schodowej, usłyszała dobiegający z góry trzask drzwi. Rzuciła okiem na spis lokatorów. Jedyne nazwisko, które jej coś mówiło, brzmiało: Lewandowski. Lecz to był Karol, a Magda miała przyjaciółkę Irenę Lewandowską w Szczecinie. Jej mąż miał na imię Ludwik.

Nic tu po mnie, stwierdziła w duchu rozgoryczona. Wolnym krokiem poszła na przystanek autobusowy.

Kelnerka przyniosła deser oraz dodatkowo kawę. Ponownie napełniła ich kieliszki winem, zabrała puste naczynia i odeszła.

- Zatem potrzebujesz porady prawnej - rzekł Roman, gdy czar dawnych wspomnień rozbił się o dzisiejszą rzeczywistość.

- Obawiam się, że czegoś więcej - westchnęła. - Po prostu potrzebuję adwokata.

- Co przeskrobałaś?

- To nie ja. Chodzi o mojego męża. Podjąłbyś się jego obrony?

- O co jest oskarżony?

- O morderstwo - szepnęła, wyciągnęła z torebki chusteczkę i przyłożyła ją do nosa. - Kradzież i morderstwo.

Roman uniósł brwi zastanawiając się, ile jeszcze razy ona go zaskoczy.

-Morderstwo... Nieciekawie.

- Widocznie przedstawione przez policję wyniki śledztwa okazały się na tyle wystarczające dla prokuratora, że wystawił nakaz tymczasowego aresztowania Piotra.

- Zapewne.

28

29

- Podobno specjalizujesz się w takich sprawach.

- Nie tylko. Jesteś przekonana, że twój mąż popełnił tę zbrodnię?

- Nie. Nie wiem - dodała i spojrzała w bok. Roman uważnie obserwował jej przygaszoną twarz.

- Kto go oskarża? - zapytał tak dobrotliwie, że aż jemu samemu zabrzmiało to przesadnym współczuciem.

- Maciej Radwański - rzekła bardzo wyraźnie.

- Radwański?

- Znasz go?

- Znam.

- Co o nim sądzisz?

Chciał odpowiedzieć, że w obiegowej opinii prokurator ma serce z kamienia, a obrońca z kalafiora, lecz zabrzmiałoby to w tej sytuacji nieszczególnie. Nie miał zamiaru jej zrazić.

- Moje zdanie niczego tu nie zmieni - odrzekł wymijająco. - Kogo miał

zamordować twój mąż?

- Niejaką Jadwigę Margowską. Mieszkała gdzieś na Śląskiej.

- Kogo?! - Roman nie potrafił opanować emocji. Gwałtownie wyciągnął ku niej szyję, wpatrzył się w jej szeroko otwarte oczy i trwał w takim stanie dobre pięć sekund.

- Jadwiga Margowska - powtórzyła wyraźnie. - Ją też znasz?

- Niezupełnie - odrzekł i włożył do ust kolejną porcję deseru.

- Podejmiesz się obrony?... Zapłacę ci honorarium. Nie zamierzam cię wykorzystać w imię dawnej... - urwała.

- Kto prowadził śledztwo?

- Kowalski, aspirant czy tak jakoś...

- Twój mąż miał obrońcę w śledztwie, prawda?

- Z urzędu. Można zmienić obrońcę?

- Można.

Uśmiechnęła się lekko. Roman pomyślał, że przesłoniła się uśmiechem niby chustą jak gdyby chciała coś ukryć. Joanna wyciągnęła z torebki kopię aktu oskarżenia i podała mu. W skupieniu przeczytał dokument.

- I co? - zapytała, gdy skończył.

- Rzeczowy jak każdy inny - stwierdził obojętnie.

- Szczerze mówiąc, to Piotrowi bardzo zależy, żebyś go bronił. O nikim innym nie chce słyszeć.

Skinął lekko głową jakby to było dla niego oczywiste, uznał bowiem, że nie wypadało wyrazić zdziwienia.

30

- Sama bym się do ciebie nie zwróciła, właśnie dlatego, że swego czasu byliśmy razem - dodała. - Głupio się czuję.

- Niepotrzebnie. Czy on znał tę kobietę?
- Dość dobrze, chociaż trudno to nazwać zażyłą znajomością
- Ty ją znałaś?
- Nawet jej nie widziałam. Słuchaj - zawahała się - nie wiem, czy się podejmiesz obrony, stąd mam pewne opory przed zwierzaniem się z tej historii...
- Bo mógłbym wykorzystać te informacje przeciwko twojemu mężowi bądź w ogóle?

Na jej twarzy pojawił się przepraszający grymas.

- Nie masz się czego obawiać - uspokoił ją - Obowiązuje mnie tajemnica rozmów z klientami niezależnie od tego, czy wezmę sprawę, czy nie. Nie ma siły z Panem Bogiem włącznie, by skłonić adwokata do zdrady tej tajemnicy. A poza tym z tajemnicą jest jak z własną żoną - nie powinno się jej zdradzać.

- Naprawdę? - parsknęła zabawnie.

- Gorzej z praktyką. Zresztą nie czuję urazy do twojego męża, jeśli o to ci chodzi. Było, minęło.

- Pewnie - przyznała, jakby szło o nic nie znaczący epizod.

- Powiedz mi teraz coś o nim. I byłbym ci wdzięczny za szczerość. Odrzuć skrepowanie i wstyd; adwokaci są jak lekarze, zawsze wysłuchają choć nie zawsze pomogą tak do końca.

Joanna zasepiła się, bezwiednie wodząc wzrokiem po lokalu. Wyglądała na zagubioną poszukującą wsparcia i zachęty do szczerości w wyjawieniu rodzinnych sekretów.

- Piotr z wykształcenia jest technikiem drogownictwa, a od półtora roku szlifuje chodniki - zaczęła. - Firma się rozleciała. Domyślasz się, jak to

bywa, gdy się jest bez pracy. Człowiek głupieje, wpada w coraz głębszą depresję... On nie ma właściwie żadnej żyłki do czegoś innego. Od paru miesięcy próbuje zarabiać handlem. Zatrudnił się jako akwizytor artykułów gospodarstwa domowego w pewnej spółce. Nie bardzo mu idzie. Ostatnio trochę pije. Dwa dni temu zjawiała się policja i po prostu go aresztowała, mimo że nie przyznał się do stawianych mu zarzutów. Tę kobietę rzekomo zamordował dziewiętnastego października około jedenastej przed południem. Dopiero niedawno, osiemnastego, powiedział mi, że w maju pożyczył od niej piętnaście milionów na dwadzieścia procent, które zainwestował w niepewny interes.

- Pożyczyła pieniądze obcemu facetowi?

31

- To lichwiarka. Ich wspólny znajomy poręczył za Piotra. A, jak wspomniałam, ona знаła Piotra wcześniej jako akwizytora.

- Zwrócił jej pieniądze?

-Nie. Miał oddać dwudziestego października. Najpierw poszedł do niej osiemnastego wieczorem, żeby poprosić o przedłużenie terminu zwrotu pieniędzy o miesiąc, lecz był mocno wstawiony. Wspomniał mi tylko po powrocie, że w ogóle nie chciała z nim mówić, i dodał, iż nazajutrz przed południem także się do niej wybiera. Wszedł do jej mieszkania, a ona leżała zamordowana w pokoju.

Roman wypił łyk kawy i zerknął na kelnerkę, która z marsową miną szła na antresolę, niosąc dwie filiżanki z kawą.

- Skoro był wstawiony, może nie pamiętał, co robił? - zwrócił się do Joanny.

-Nie wiem...

- Jak w domu się zachowywał od tamtego dnia?
- Był nerwowy, wpadał w złość, ale wszystko to kładłam na karb niepowodzeń w interesach. Nigdy mi nie mówił o jakiejś Margowskiej, dopiero gdy zjawiła się policja z nakazem aresztowania... Ile mu grozi? Kara śmierci?
- Kara śmierci to ostateczność. Czy był już karany?
- Tak - odrzekła opuszczając wstydliwie oczy.
- Za co i kiedy? - zapytał spokojnie, tuszując kolejne zaskoczenie.
- W marcu tego roku, za kradzież. Dostał rok na dwa. Zdaje się, że to nie przysporzy mu przychylności sądu.
- Raczej nie.
- Podejmiesz się jego obrony? Nie odpowiedział.
- Na kiedy wyznaczono rozprawę?
- Na ósmy listopada. Piorunem, co?
- Zobaczę, czy mam czas tego dnia. - Wyciągnął z kieszeni terminarz i zajrzał do niego. - Dobrze - zgodził się po minucie.
- Dziękuję.
- Na razie nie dziękuj.

Ponownie umilkli.

- Miesiąc temu widziałam twojego ojca - zmieniła temat. - Postarzał się.
- Istotnie.
- Przed sześcioma laty w naszej firmie wybuchła afera gospodarcza i twój ojciec się nią zajmował. Trochę mu pomogłam, dyskretnie, i dwaj moi pracodawcy trafili za kratki. Później mi powiedział, że nigdy mi się nie zdoła odwdzięczyć - dodała.
- Nie miałem pojęcia, że tam pracowałaś.

- Ojciec ci nie mówił? -Nie.

- Rozumiem to - zakłopotana się. - Od dawna nie byliśmy ze sobą więc chciał ci oszczędzić wspomnień.

- Taktowne.

-Nie chciałeś iść w jego ślady?

- Wybrałem sąsiednią ścieżkę. Lubię ten zawód. Daje mi poczucie większej niezależności. Nikt mi tu niczego nie narzuca, poza suchymi paragrafami. Skoro czegoś się podejmuję, to walczę do końca najlepiej jak umiem, jak każdy prawnik.

- Nawet jeśli nie wierzysz swojemu klientowi?

Romanowi wydało się, że powiedziała to z nieumiejętnie ukrytą ostrożnością.

- Wiara tu nie ma nic do rzeczy.

- A kłamstwo?

- Kłamstwo to przecież przedmieście prawdy - odparł natychmiast i ciągnął: - Mój zawód cokolwiek pachnie cynizmem, lecz i taka jego uroda... Cóż, jeżeli istotnie dowody prokuratora okażą się przekonujące i nie znajdzie się nic na ich podważenie, to będę walczyć o jak najłagodniejszy wyrok. Tyle mogę ci obiecać.

Joanna wzięła papierową serwetkę i zaczęła ją składać.

- Wierzysz w to, co powiedziałam?

- Gdybym nie wierzył, musiałbym przyjąć postawę działania w dobrej wierze. Głowa do góry, Joanno. Jutro się z nim spotkam.

- Dobrze.

Po półgodzinie opuścili lokal. Odwiózł Joannę, mieszkała na

Grunwaldzkiej w czynszowej kamienicy. W drodze powrotnej zagłębił się

we wspomnieniach, poświęcając sporo czasu facetowi, przez którego Joanna odeszła. Teraz dawny rywal zwrócił się do niego o obronę, a on wyraził zgodę, pomimo że zarzekał się, iż nie weźmie żadnej sprawy, dopóki nie zakończy trzech innych. Właściwie mógł odmówić choćby dlatego, że jego przeciwnikiem jest Radwański, ale nie odmówił ze względu na Joannę. I ofiarę.

Rozżalona do cna Magda wróciła do domu. Rozebrała się, wzięła kąpiel,

32

33

następnie otworzyła butelkę kupionej po drodze wiśniówki. Sącząc kieliszek za kieliszkiem, wściekała się na Pawła, tamtą kobietę, a najbardziej na złośliwy los, który znowu z delikatnością huraganu wścibiał się do jej życia.

Była uparta, ambicja jej nie spowszedniała, zawsze traktowała ją jak gorący bilet do raju, potrafiła więc zażarcie walczyć nie tylko we własnym interesie; lecz trudno się mierzyć z niewidzialnym przeciwnikiem, o którego potędze krążą od wieków mroczne legendy.

W końcu się upiła.

IV

Nazajutrz, w piątek, Roman pojechał do aresztu śledczego, który mieścił się w zakładzie karnym tuż przy gmachu Sądu Wojewódzkiego na Wałach Jagiellońskich. Kiedy wszedł do spartańskiego pomieszczenia, wprowadzono Piotra Mrotka; przypomniała mu się scena sprzed lat - ich bójka. Kilka chwil patrzyli na siebie wyczekująco.

Mrotek nadal był wysokim, dość przystojnym blondynem, ale nie miał w sobie już nic z twardziela, co imponuje kobietom, jak to było przed laty,



gdy Roman go poznał. Miał teraz zgorzkniały wyraz twarzy.

- Poprosiłem żonę, aby zwróciła się do pana - rzekł cicho, kiedy strażnik wyszedł i zamknął drzwi.

- No i jestem - odrzekł uprzejmie Roman.

Usiedli przy stole; Mrotek milczał, wpatrując się w blat. Roman wyciągnął z teczki przygotowany wcześniej dokument.

- Mam pana zapewnić o swojej niewinności? - zapytał Mrotek nieco agresywnym tonem.

- Niekoniecznie. Zadaniem obrońcy jest tak pracować, jakby chciał udowodnić, że to sąd jest winien, a nie oskarżony - odparł niewyszukanym dowcipem.

- Słyszałem, że mógłby pan być adwokatem samego diabła.

Roman wyczuł w jego słowach naiwną próbę upewnienia się co do słuszności wyboru.

- Różne krążą opinie na mój temat, nie biorę ich do serca. Kopię aktu oskarżenia dostarczono panu, tak?

- Tak. Jestem niewinny, zapewniam.

- Dobrze. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął długopis i podsunął mu wraz z dokumentem. - Proszę podpisać to pełnomocnictwo w tym miejscu.

Mrotek złożył czytelny podpis. Roman dyskretnie obserwował twarz klienta, na której dostrzegł pierwsze ślady hulaszczego trybu życia.

Przypomniały mu się słowa Joanny, że jej mąż „ostatnio trochę pije”.

Ciekawe, pomyślał.

- To na razie wszystko, panie Mrotek. Wrócę za parę godzin i wtedy dłużej porozmawiamy.

Aresztant spojrział na niego, zdziwiony tak oficjalnym potraktowaniem.

- Panie mecenasie - rzekł nieoczekiwanie - zdaje się, że byliśmy na „ty”.

- Nawet na pewno. Ale obecnie może być tak, jak jest - dodał grzecznie i wyszedł.

Poszedł do sądu, żeby załatwić zmianę obrońcy, po czym odwiedził adwokata, który z urzędu występował w obronie Mrotka podczas postępowania przygotowawczego, wreszcie wstąpił do prokuratora Radwańskiego. Był to znacznie starszy od niego mężczyzna w okularach w pozłacanej oprawce, które dodawały jego twarzy surowości. Zajmował stanowisko zastępcy prokuratora rejonowego. Prokuratura mieściła się na tej samej ulicy, ale w budynku znacznie mniej okazałym niż gmach sądu. Uzyskał od Radwańskiego wgląd w szczegółowe ustalenia śledztwa.

Prawie natychmiast odezwał się w nim instynkt obrońcy, gdyż mimo woli zastanawiał się nad rozbiciem aktu oskarżenia. Tak jak pies myśliwski szuka tropu zwierzyny, tak on poszukiwał wątpliwości i luk w oskarżeniu. Oczywiście, na sali sądowej niekiedy wspomagał się łokciami, ale inni też stosowali tę grubiańską metodę, więc nie odczuwał skrępowań z tego powodu.

- Jak się miewa pański ojciec? - zapytał na koniec Radwański.

-Nienajlepiej.

- Tak to bywa, panie Romanie. Wiek robi swoje. Cóż, tym razem nie życzę panu powodzenia na procesie.

-To zrozumiałe, wzajemnie.

Uśmiechnęli się i uścisnęli sobie dłonie. Roman pojechał do aspiranta Kowalskiego na rozmowę na temat śledztwa.

- Zamierza pan bronić Mrotka, panie mecenasie? - rzekł Kowalski

zdziwiony, sadowiąc gościa przy stoliku.

- Jak pan widzi.

- Dlaczego facet wystąpił o zmianę? Pański poprzednik był całkiem do rzeczy.

- Musiałby pan zapytać mojego klienta. Przyznam, że szybko znalazł pan podejrzanego.

- Istotnie.

34

35

- Co pan wie o Margowskiej? Nieoficjalnie.

- Ta kobieta była alkoholiczką i lichwiarką. Pod datą piętnastego maja tego roku zanotowała Mrotka i kwotę piętnaście milionów złotych na dwadzieścia procent z terminem zwrotu dwudziestego października.

- A pozostałe cztery osoby?

- Każda z nich ma niepodważalne alibi. Nie znaleźliśmy w jej mieszkaniu żadnych pieniędzy oprócz tych w kuchni. Córka Margowskiej nie miała pojęcia o schowku w sekretarzyku, tak twierdzi. Nawiasem mówiąc, Lewandowska jest bogata. Nie żyła z matką w najlepszej komitywie.

- Zna pan przyczynę?

- Historie osobiste. Jeśli wierzyć sąsiadom, Margowska była dla niej jak zła macocha. Lewandowska niechętnie potwierdziła tę opinię. Lecz to ich prywatna sprawa. My mieliśmy znaleźć mordercę. Zdjęliśmy sporo odcisków palców Mrotka, począwszy od dzwonka, klamki drzwi wejściowych, a także na ościeżnicach drzwi w pokoju i kuchni. Nawet na ściennym lustrze w korytarzu. W pustym wiaderku na śmieci w kuchni znaleźliśmy rozbitą szklankę po herbacie, a na niej też jego odciski.

- Łatwo je pan sprawdził, prawda?

- Tak, figurowały w naszej kartotece. Od razu się przyznał do bytności w jej mieszkaniu w owym dniu, o jedenastej.

- Do morderstwa jednak się nie przyznaje.

- To zrozumiałe. Przynajmniej na początku. Ustaliliśmy również ponad wszelką wątpliwość, że mikroślady włókien znalezionych pod paznokciami denatki pochodzą z płaszcza, jaki posiada Mrotek. Nie wspomnę o kilku plamach krwi ofiary na jego płaszczu. Panie mecenasie, on kłamie, że zjawił się u Margowskiej dopiero o jedenastej. Udało się nam ustalić precyzyjniej czas morderstwa na pomiędzy dziesiątą czterdzieści pięć a jedenastą

- Mrotek twierdzi, że poprzedniego dnia także do niej zajrzał, wieczorem.

- Ha! - zachnął się Kowalski. - Ale żadnych szczegółów nie podał, poza tym, że był kompletnie pijany. Pleszyńska, ta sąsiadka, dzięki której ustaliliśmy dokładniejszy czas zgonu, słyszała, że Margowska wykrzykiwała do stojącego przy drzwiach pijanego Mrotka, aby się wynosił. Mrotek odgrażał się Margowskiej. Motyw zabójstwa wydaje się mocny - Mrotek nie miał zamiaru zwrócić pieniędzy. Bezrobotny, jako akwizytorowi nie wiodło mu się, a w licznej rodzinie się nie przelewa. No i już był karany.

- Za kradzież.

- To też przestępstwo.

- Zgadza się. Jest pan absolutnie przekonany o jego winie? Kowalski przez kilka sekund sprawiał wrażenie, że znalazł się w kłopotcie.

- Ma pan rację. To pytanie zawsze sobie stawiam, ilekroć kogoś aresztuję, a delikwent nie został schwytyany na gorącym uczynku, zostawia jedynie

swoją wizytówkę bądź nie zostawia, i do winy się nie przyznaje. Czy rzeczywiście aresztowałem właściwego człowieka. Lecz w tym wypadku uważam, że znalazłem mordercę; fakt, niezbyt przebiegłego. Nawet jestem pewien, że to tylko morderca z przypadku. Ale morderca.

- Ale morderca - powtórzył cicho prawnik.

Paweł robił zakupy, czego przedtem nie znosił. Odkąd wyniósł się z domu, musiał polubić to zajęcie. Obiady jadał w barach czy restauracjach, a śniadania i kolacje sam sobie pichcił - wyżej jego talentu kulinarnego ocenić by się nie dało.

Obładowany wracał do mieszkania na ulicy Chwytwo, wspominając mile wczorajszy wieczór spędzony u Marii Małgorzaty, gdy naraz ze zdziwieniem spostrzegł wyłaniającego się opla, za którego kierownicą rozpoznał swojego ojca. Paweł szybko uskoczył w bok, schował się za kioskiem, prawie przewracając jakąś staruszkę, która grzebała w koszu na śmieci. Nie stwierdził, żeby został przez ojca dostrzeżony, ponieważ on akurat spoglądał w drugą stronę, na dom, w którym Paweł zamieszkał. Samochód zatrzymał się.

— Psiakrew - syknął Paweł, widząc wysiadającego ojca. Nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z nim. Patrzył, jak ojciec idzie pod jego adres i znika w środku. Po dwóch minutach Zawada senior wyszedł. Zatrzymawszy się na chodniku, spojrzął na zegarek i rozejrzał się. Jakiś czas chodził tam i z powrotem, aż wrócił do samochodu i odjechał. Paweł opuścił kryjówkę.

Wynajęte w obskurnej kamienicy, stykającej się szczytem z placem Poznańskim, dwupokojowe mieszkanie było skromnie urządzone; wziął je wraz z meblami od wdowy nazwiskiem Kierblewska. Chwilowo warunki

nie były dla niego najważniejsze, albowiem wiedział, że wiecznie tu nie będzie mieszkać. Na półkach leżało sporo oprawionych w ramki zdjęć, przedstawiających przeważnie sceny z jego życia teatralnego; nie powiesił ich na ścianach. Mnóstwo książek poupychał w rozmaitych miejscach, a także pozostawił w kartonach. Zresztą nie zaliczał się do wybrednych w doczesnych sprawach

36

37

bytowych, co w przeszłości matka często mu wypominała; jego głowa pękała od wznioślejszych celów, przebijała chmury.

Po spóźnionym śniadaniu usiadł do pracy nad konspektem nowej sztuki - pomysłem natchnęło go niedawne wydarzenie w jego życiu. Poprzedni dramat, napisany w połowie, odłożył do szuflady; nie wydawał mu się tak pilny, ważny i uniwersalny w wymowie jak ten. Pisał eleganckim piórem ze złotą stalówką; nie cierpiał długopisów, uważał je za pospolite, w sam raz dla urzędników, tak jak dla furmanów ołówki kopiowy i splunięcie. Zgodnie z obietnicą Roman wrócił do klienta. Mrotek wiercił się na krześle i raz po raz oglądał swoje niezbyt kształtne dłonie i przybrudzone paznokcie.

- Naprawdę jestem niewinny, panie mecenasie - ponowił zapewnienie bez przekonania w głosie.

- To dla mnie za mało. - Tym razem w określeniu „panie mecenasie”

Roman dopatrzył się respektu dla zawodu adwokata.

- Za mało?

- Stanowczo. Musi mi pan powiedzieć znacznie więcej niż policji, abym mógł się zastanowić nad najlepszą linią obrony. Pańska sytuacja nie

wygląda korzystnie, chociaż bywają gorsze. Rozmawiałem z aspirantem Kowalskim.

Mrotek wydawał się przygaszony słowami obrońcy; bezsilnie wzruszył ramionami.

- On może mi wszystko przypisać - stwierdził zrezygnowany - a ja nie wiem, jak to odeprzeć.

- Od tego ja jestem. Ale musi pan ze mną współpracować.

- Facet wziął się, bo już byłem karany. I huzia na Józia!

- Dowcip polega na tym, żeby przekonać sąd o kruchości oskarżenia. Bo mamy do czynienia z poszlaką.

- Właśnie, właśnie - potwierdził Mrotek z nagłym błyskiem w oczach.

- Wątpliwości obracają się na moją korzyść.

Roman zignorował tę skądinąd słuszną uwagę.

- Proszę mi opowiedzieć o tamtym dniu. I dobrze by było, żeby był pan wobec mnie naprawdę szczery, skoro mam panu pomóc. Jestem pańskim sprzymierzeńcem, a nie przeciwnikiem. Wszystko zostanie między nami, wie pan przecież.

Mrotek obejrzał się, jak gdyby chciał skontrolować, czy drzwi są dokładnie zamknięte.

- Najpierw poszedłem do niej osiemnastego, wieczorem. Byłem mocno wstawiony. Nie wiem, czemu pijany do niej poleciałem. Chciałem pogadać z nią o przesunięciu terminu zwrotu forsy, którą pożyczyłem w maju. Ten dług mnie gryzł, a szkoda mi było rozwalać interes, który nie szedł naj lepiej, przeliczyłem się. Urządzały mnie miesiąc. Niestety, niewiele pamiętam z tamtego wieczoru, wiem jedynie, że ona nie chciała ze mną gadać na ten temat.

- Wpuściła pana do mieszkania? Mrotek oparł podbródek na dłoniach.
- Tak, wpuściła.
- Na pewno? - Roman uśmiechnął się chytrze.
- Nie wierzy pan? -Nie.
- Dobrze. Teraz powiem naprawdę szczerze. Jak Boga kocham, nie pamiętam, czy mnie wpuściła. Urwał mi się film.
- Wierzę.
- I zjawiłem się u niej nazajutrz, o jedenastej. Nie żyła, gdy tam wszedłem!
- Skąd pan wiedział, że była jedenasta?
- Proszę? Aha. Bo w radiu, które grało w jej mieszkaniu, podawali godzinę.
- Skoro nie żyła, to kto panu otworzył?
- Drzwi nie były zamknięte na klucz. Zadzwoiłem. Ponieważ nikt nie otwierał, a słyszałem grające radio, odruchowo nacisnąłem klamkę i wszedłem. Zobaczyłem rozwalony wazon w głębi korytarza, co mnie jakby obudziło i poszedłem dalej. Leżała w pokoju na podłodze. Na jej piersiach była krew. Podeszedłem do niej, przyjrzałem się jej, w końcu się przestraszyłem i zwałem.
- Dlaczego pan nie powiadomił policji?
- Byłem raz karany, w marcu, za kradzież - wyjaśnił. - Dostałem rok na dwa. Bałem się, że przypiszą mi to morderstwo.
- Teraz również zarzucają panu kradzież biżuterii.
- Fakt. W trakcie rewizji znaleziono w naszym mieszkaniu złoty naszyjnik z okrągłym wisiorkiem, należący do zamordowanej, jak potem mi Kowalski powiedział.
- Skąd on się u pana wziął? To poważne dodatkowe obciążenie.



- Miesiąc temu okazji go kupiłem na bazarze. Przypadek.

38

- Proszę dokładnie.

- Kupiłem go od drobnego handlarza. Gliny nie dały mi wiary, gdyż zanim do niego dotarli, facet zdążył dzień wcześniej wykorkować. I mi dołożyli, że pozostałe kosztowności także posprzedawałem. A było to, mówię, miesiąc temu, pod koniec września. Przysięgam, panie mecenasie.

- Powiedział pan przedtem żonie o naszyjniku? - zapytał.

- Nie. Miał być dla niej prezentem z okazji rocznicy naszego ślubu. Na zewnętrznej stronie koperty wisiorka był monogram JM, więc przypadkiem pasował do Joanny i dlatego go kupiłem. W kopercie można było trzymać małe, okrągłe zdjęcie. Zamierzałem je później wyciąć z jakiejś fotografii Joanny i tam wsadzić. W środku tej koperty policja odkryła odcisk palca Mar-gowskiej, no i nie było żadnych wątpliwości, że naszyjnik stanowił jej własność.

Roman skinął głową; ten szczegół także znał z akt śledztwa.

- Niech mi pan wierzy albo nie, ale nie zabiłem tej baby - zapewnił znowu Mrotek.

- W porządku.

- I niczego z jej mieszkania nie ukradłem, byłem zbyt przerażony.

Przyznaję, że na kradzież mógłbym się zdobyć, lecz nie na morderstwo! - dorzucił z desperacją i zaraz złagodniał. - Co pan proponuje, panie mecenasie? Jakie są szanse na wyciągnięcie mnie?

- Zawsze jakieś są - odparł Roman wymijająco. - Pańska żona wspomniała mi, że owego dnia był pan pijany.

- Fakt. Właśnie prosto stamtąd poleciałem do baru na Jasnej i się

urznąłem.

- Czemu?

- Byłem przerażony i musiałem zalać robaka. Później przypomniałem sobie, że Margowska ma mój weksel.

- To jeszcze nie dowodzi, że pan ją zamordował.

- Jasne - potwierdził Mrotek skwapliwie i dodał ostrożniej: - A świadkowie, sąsiedzi Margowskiej z naprzeciwka, ci Rymarscy, którzy mnie widzieli wychodzącego?

- Podobnie. Gdzie go trzymała? -Co?

- Weksel.

- Nie wiem - odparł Mrotek, a jego wzrok stał się podejrzliwy.

- Długo pan siedział w barze?

- Dosyć.

- Sam pan pił?

- Początkowo tak. Potem ktoś się dosiadł. Nie znałem faceta.

- O czym rozmawialiście?

- Nie bardzo sobie przypominam, bo byłem wstawiony. Lecz on zeznał, że podobno gadałem, jakobym miał coś na sumieniu w związku z tym morderstwem.

-Niech mi pan wyjaśni motyw kradzieży w marcu. Czy kradł pan wcześniej?

Mrotek zakłopotał się.

- Nie, wcześniej nie - odrzekł wbijając wzrok w blat stołu. - W marcu obrobiłem faceta na parę baniek, bo... bo nadarzyła się okazja, a byłem na bruku. Pomyślałem, że to poratuje moją rodzinę. Joanna dużo nie zarabia, a dzieciaki chcą jeść... Człowiek obawia się o przyszłość. Niestety, miałem

pecha, ktoś się akurat u faceta zjawił, zwiąłem, ale szybko mnie schwytano. A teraz ani nie okradłem, ani nie zabiłem tej baby.

- Znał pan ją przedtem?

- Tak, dość dobrze. To była przyjemna kobieta. Parokrotnie trafiłem do niej ze swoim kramem. Lubiła pogadać, poczęstować kawą ciastkami, nawet kielichem. Mieszkała sama, więc ciągnęła do ludzi, to się wyczuwało.

- Kiedy ostatnio pan u niej był? Przed osiemnastym października. - Koło dziesiątego października. Raz sprzedałem jej żelazko parowe, wie pan, takie, którym niczego się nie przypali...

- Ani nie wyprasuje - wszedł mu w słowo Roman. - Niedawno kupiłem je żonie, a ona po pierwszym użyciu wyrzuciła je na śmietnik.

Mrotek przez chwilę wydawał się zbity z tropu. Podrapał się za uchem.

- Poważnie?

- Całkowicie. - Nie do końca to było prawdą lecz Romanowi chodziło o coś zupełnie innego, mianowicie wykorzystał okazję, aby przełamać pewną nieufność klienta oraz zasugerować mu również w ten nieco podstępny sposób, że jest całkowicie po jego stronie, że on powinien w nim widzieć równego faceta. - Czy obok zwłok zauważył pan narzędzie zbrodni? - zapytał znienacka.

Mrotek zmarszczył czoło. - Nie.

- Pomówmy teraz o pańskim alibi, którego pan nie ma. Czy rzeczywiście?

- Nie, jak na złość nie mam.

- Może jednak coś znajdziemy?

40

41

- Wątpię.

- Co pan robił tamtego dnia, zanim pan poszedł do Margowskiej?
  - Wstałem późno, o dziewiątej. Joanna była w pracy, a dzieciaki w szkole i u teściowej, która niedaleko nas mieszka i zajmuje się najmłodszymi. Krótka po dziesiątej wyszedłem z domu. Po drodze nigdzie nie wstąpiłem.
  - Nawet na piwo?
  - Gdy mam kaca, żadnego alkoholu nie ruszę. -Nie? A co się stało godzinę później?
  - Fakt. Ale powiedziałem, że z tego wrażenia poleciałem do baru.
  - Czy ktoś po drodze pana widział, kiedy pan szedł do Margowskiej?
  - Pewnie - uśmiechnął się ironicznie. - Lecz trzeba by było moją gębę pokazać w gazetach. Przyzna pan, jest przeciętna.
  - Nikt pana nie widział wchodzącego nawet do kamienicy?
  - Jak na złość nie.
  - Hm, policja istotnie nie znalazła nikogo, kto by pana tam spostrzegł wchodzącego. Gdyby udało się ustalić moment pańskiego pojawienia się w tym domu tuż przed jedenastą miałyby to decydujące znaczenie na pana korzyść.
  - Widać szczęście mnie opuściło.
- Roman rozłożył ręce i rzucił zaskakujące pytanie:
- Niech mi pan powie, skąd pan wiedział, kiedy nastąpił zgon Margowskiej? - Rozsiadł się wygodniej na krześle.
  - Proszę? Nie rozumiem. - Mrotek szerzej otworzył oczy. Jego wodniste tęczówki jakby się rozjaśniły.
  - Zakładam, że jeśli zwłoki byłyby zimne, to zgłosiłby pan na policji przypadek zabójstwa, bo mógłby pan się wykazać alibi.
  - Tak - przyznał po namyśle. - Zwłoki były ciepłe, normalne, miękkie. Od

razu się domyśliłem, że załatwiono ją krótko przed moim przyjściem.

- Nie doczytałem się o tym w pańskim zeznaniu. Dotykał pan ciała.

- Przypuszczałem, że ona żyje, ale pulsu już nie wyczułem.

- Czy jest jeszcze coś, o czym pan mi nie powiedział w związku z tą sprawą?

Mrotek zastanowił się i zaprzeczył. Roman podjął:

- Jak pan zatem wytłumaczy ślady włókien pod jej paznokciami? Te włókna mogą pochodzić z pańskiego odzienia.

- Nie wiem.

- Wygląda na to, że osiemnastego Margowska próbowała pana... wyprowadzić z mieszkania.

Piotr Mrotek spojrzał na niego z nagłym błyskiem wzmożonego zainteresowania.

- Wyprowadzić? Tak, chyba tak. Czy można uzupełnić zeznanie?

- Zrobimy to na procesie. A ślady krwi na pańskim płaszczu? Nie ma wątpliwości, że to jej krew.

- Też nie wiem, skąd się wzięła. Prawie nic nie pamiętam odnośnie tamtego wieczoru poza tym, że poszedłem do niej... - urwał i zmarszczył czoło, pocierając dłonią skroń. - Stałem w drzwiach - podjął - i patrzyłem, jak mi otworzyła. Nie wiem, co mówiłem ani co było dalej.

- Sąsiadka Margowskiej widziała pana stojącego przy drzwiach. I częściowo słyszała waszą rozmowę. Nie widział jej pan, prawda?

- Nie. Dowiedziałem się o tym w śledztwie.

- Odgrażał się pan Margowskiej.

- Podobno. Cholera, nie pamiętam. Naprawdę, panie mecenasie, nie pamiętam. Jak sobie więcej wypiję, to mam luki w pamięci.

- To także trudna przeszkoda do pokonania.
- Czy oni mnie chcą na siłę udupić?
- Nie sądzę.
- Zdarzają się przecież takie przypadki.
- Owszem - przyznał Roman niechętnie. - A jak pan wyjaśni odciski pańskich palców na rozbitej szklance, którą znaleziono w kuchni w wiaderku na śmieci?
- Nie mam pojęcia! - zawołał. - Mógłbym panu teraz nałgać, a nie chcę tego robić.
- Słusznie. Cóż, dobrze by było, żeby pan jednak sobie przypomniał ów wieczór. Oczywiście osiemnastego - zaznaczył dobitnie. - Do zobaczenia.
- Co pan zamierza?
- Bronić pana. - Roman wstał, zapukał do drzwi i wyszedł. Zastanawiał się, ile Mrotek mu nakłamał, a ile powiedział prawdy. Zwykle przyjmował wobec klienta zasadę ograniczonego zaufania, podobnie postąpił wobec Mrotka. Tak czy inaczej, na podstawie zebranych materiałów musiał zbudować linię obrony. Obawiał się jednego - zmory adwokatów - że tuż przed rozprawą bądź potem, jeśli proces nie zakończy się na jednym posiedzeniu, jego klient zmieni zeznania, co zniweczy obroną linię obrony, a tym samym mozolny wysiłek włożony w tę sprawę. Zdarzały się takie historie.

Miał przed sobą sporo pracy.

42

43

Magda denerwowała się, jak zawsze przed premierą.

W sobotę trzydziestego października około osiemnastej trzydzieści jej

podniecenie i niepewność sięgały zenitu. Aktorzy byli w swoich garderobach i przygotowywali się do występu, a ona, po krótkiej rozmowie z dyrektorem, który swoim przyjemnym sposobem bycia dodał jej otuchy, kręciła się w pobliżu foyer, zerkając co chwila na przybywających ludzi. Zanosilo się na to, że widownia będzie wypełniona do ostatniego miejsca. Zobaczyła Romana z żoną odchodzących od szatni i podeszła do nich. Przywitali się.

- Denerwujesz się? - zapytała Iwona.

- Lepiej mi o tym nie przypominaj.

- Będzie dobrze - rzekł Roman. - Burzliwe oklaski, a w poniedziałek wspaniałe recenzje.

Magda powątpiewała. Po krótkiej rozmowie zwróciła ich uwagę na wchodzących rodziców Romana, a sama poszła za kulisy. Mimowolnie stwierdziła, że Henryk Zawada, którego od dłuższego czasu nie widziała, wyraźnie zmizerniał.

Cała rodzina Zawadów, z wyjątkiem oczywiście Pawła, siedziała pośrodku szóstego rzędu - Iwona obok Romana, a dalej jego ojciec i matka.

Wszyscy z zainteresowaniem oglądali Cyda Corneille'a, sztukę znakomitego francuskiego dramaturga z siedemnastego wieku. Ze zrozumiałych względów ich czujność gwałtownie wzrastała, ilekroć na scenie pojawiał się Ro-dryg, czyli Paweł.

Aż trzykrotnie nie uszło uwagi Romana, że ojciec wzruszał się, raz nawet do łez, co nieudolnie próbował ukryć; znamienne jednak, że wyłącznie w scenach, gdy Rodryg rozmawiał z don Diegiem, swoim scenicznym ojcem. Strach zawsze ma wielkie oczy, a nieraz nawet boi się samego siebie - rzekła w duchu Magda, kiedy premiera dobiegła końca i aktorzy zbierali

oklaski. Wprawdzie wychwyciła w spektaklu drobne potknięcia, także Pawła, ale ogólnie była zadowolona z zespołu.

W kwadrans później weszła do garderoby Pawła, gdzie zastała rodzinę Zawadów w komplecie. Roman otwierał butelkę szampana, a Iwona ustawiała na toalecie kieliszki. Głucho huknął korek i pienisty trunek polał się do naczyń. Wzniesli toast za udaną premierę i co najmniej setkę przedstawień przy pełnej widowni.

W pewnym momencie Magda uświadomiła sobie, że między Pawłem i jego ojcem istnieje nienaturalne napięcie, wyraźne w krótkich chwilach, gdy spotykali się wzrokiem. Znała pana Henryka na tyle, iż wiedziała, że w sytuacjach towarzyskich potrafił tryskać humorem. Teraz mało się odzywał, jedynie zagadnięty, a Paweł w ogóle się do niego nie zwracał, jeżeli nie liczyć dwóch uwag. Pani Helena również wydawała się jej nieswoja. Na szczęście Iwona, dusza towarzystwa, skupiała na sobie uwagę wszystkich, toteż na pozór wszystko wyglądało jak należy.

Zastanawiające - pomyślała o Pawle, jego ojcu i matce, gdy goście się pożegnali. Nie zagadnęła przyjaciela na ten temat, choć mocno ją korciło. Ósmego listopada o dziewiątej trzydzieści w sali numer sto jedenaście Sądu Wojewódzkiego rozpoczęła się rozprawa przeciwko Piotrowi Mrotkowi w sprawie o zabójstwo Jadwigi Margowskiej i kradzież kosztowności z jej mieszkania.

Sala była niezbyt duża, ze ścianami wyłożonymi do połowy ciemną, zdobioną boazerią. Od strony okien wychodzących na hałaśliwą ulicę stało sześć długich ław dla publiczności, w których znajdowało się kilkanaście osób, wśród nich Joanna Mrotek i Maria Małgorzata Lewandowska, siedzące oddzielnie.



Odziany w togę Roman zajmował miejsce w ławie bocznej tuż pod wielkim oknem i miał po swojej lewej stronie Mrotka w towarzystwie dwóch policjantów. Jeden z nich trzymał w dłoni kajdanki, które przed chwilą zdjął oskarżonemu z przegubów rąk. Dokładnie naprzeciwko Romana siedział prokurator Maciej Radwański. Przez krótki moment Roman wyobrażał sobie, że widzi ojca, który wielokrotnie siadywał także w tej sali na miejscu Radwańskiego.

Roman zerknął na instalującą się przy końcu długiego stołu sędziowskiego młodą protokółantkę, która miała jakieś kłopoty z maszyną do pisania, gdyż pochylona nad nią manipulowała przy wałku. Uporała się z usterką i posłała mu krótki uśmiech. Odwzajemnił go i spojrzał na publiczność.

45

Nie uszło jego uwagi, że przygląda mu się dyskretnie córka zamordowanej. Widział ją po raz pierwszy. Spostrzegł też, że w przeciwieństwie do niej Joanna jest spięta, tępo wpatruje się w plecy siedzącego przed nią policjanta.

Wreszcie drzwi się otworzyły i na salę wszedł pięcioosobowy skład orzekający z przewodniczącą, sędzią sądu wojewódzkiego Aliną Stefaniak. Roman lubił tę niewysoką, starszą, miłą panią o siwawych włosach, starannie zaczesanych do tyłu. Nieraz żartował sobie, że urodziła się w todze, bo prezentowała się w niej wyjątkowo wspaniale. Ale lubił ją nie tylko z tego powodu. Uważał sędzinę za prawnika surowego, aczkolwiek wyrozumiałego na tyle, na ile to było w określonej sytuacji możliwe, a przede wszystkim błyskotliwego, o fenomenalnej pamięci oraz koncentracji umysłowej i żelaznej logice.

Sędzina otworzyła przewód sądowy. Poprosiła oskarżonego o powstanie i rozpoczęła od rutynowej procedury ustalenia jego tożsamości, a gdy strony nie wniosły uwag co do personaliów, zapytała go o dotychczasową karalność. Mrotek krótko wyjaśnił, kiedy i za co był karany, co przewodnicząca skwitowała skinieniem głowy i podała jego zeznanie do protokołu.

- Czy oskarżony otrzymał kopię aktu oskarżenia? - zapytała.

- Tak, Wysoki Sądzie - potwierdził Mrotek.

- Panie prokuratorze, proszę odczytać akt oskarżenia - zwróciła się do Radwańskiego.

Radwański wstał i odczytał akt oskarżenia monotonnym głosem. Był krótki i treściwy, zawierał dwa podstawowe zarzuty: morderstwo z premedytacją i kradzież kosztowności z mieszkania ofiary.

- Oskarżony zrozumiał akt oskarżenia? - zapytała sędzina.

- Tak, Wysoki Sądzie - odrzekł Mrotek.

- Czy oskarżony przyznaje się do zawartych w akcie oskarżenia zarzutów?

-Nie, Wysoki Sądzie!

- Czy w dniu dzisiejszym oskarżony pragnie przed sądem złożyć jakieś wyjaśnienia bądź uzupełnić zeznanie złożone w śledztwie?

Mrotek spojrzał na obrońcę.

- Tak, Wysoki Sądzie. Zarzuty po prostu są... są bezpodstawne.

- Proszę opowiedzieć swoją wersję zdarzenia z dziewiętnastego października bieżącego roku, do którego doszło około godziny jedenastej na ulicy Śląskiej trzynastie w mieszkaniu numer jeden - poprosiła i zagłębiła się w aktach.

- Tamtego dnia - rozpoczął Mrotek - poszedłem do pani Margowskiej,

żeby porozmawiać o przesunięciu terminu zwrotu pieniędzy, które pożyczyłem od niej piętnastego maja tego roku. O jedenastej zadzwoniłem do jej mieszkania. Ponieważ nikt nie otwierał, zamierzałem odejść, ale że słyszałem grające wewnątrz radio, nacisnąłem klamkę i drzwi się otworzyły. Zawołałem, czy ktoś jest w domu. Nikt się nie odezwał. Właściwie chciałem odejść, lecz to grające radio i rozbity wazon jakby wciągnęły mnie do środka. Przeszedłem parę kroków i stanąłem w progu pokoju, w którym zobaczyłem leżącą na podłodze kobietę, Margowską. Podszedłem do niej. Na jej piersiach była krew. Nie wiedziałem, co zrobić. Wystraszyłem się i szybko wyszedłem. Na klatce schodowej natknąłem się na mężczyznę i kobietę. Poniosło mnie do baru na wódkę. Policji nie powiadomiłem, bo się bałem, że mnie przypiszą to morderstwo, gdyż w marcu byłem karany za kradzież i mam wyrok w zawieszeniu. Nie zabiłem tej kobiety ani nie ukradłem z jej mieszkania żadnych pieniędzy czy kosztowności, co mi się zarzuca.

- Czy to wszystko, co oskarżony ma do powiedzenia w tej sprawie?

-zapytała przewodnicząca.

Mrotek znowu zerknął na Romana.

-Wysoki Sądzie, chciałbym uzupełnić zeznanie.

- Proszę.

- Chodzi o wieczór osiemnastego października. W śledztwie powiedziałem tylko, że tego wieczoru także byłem u Margowskiej. Ponieważ znajdowałem się wtedy pod wpływem alkoholu...

- W śledztwie?

-Nie, nie! Osiemnastego października.

- Proszę ściśle się wyrażać.

- Tak jest, Wysoki Sądzie. Więc nie mogłem sobie przypomnieć szczegółów. Dopiero niedawno przypomniało mi się, że Margowska zaprosiła mnie i poczęstowała herbatą.

Roman popatrzył na Radwańskiego, który przysłuchując się zeznaniu Mrotka, stłumił niesforny uśmiech na twarzy.

- Gdzie oskarżonego zaprosiła? - zapytała sędzina.

- Do mieszkania.

- Do pokoju czy kuchni?

- Do kuchni, Wysoki Sądzie.

- Dobrze, proszę dalej.

- W pewnym momencie upadłem i zwałem szklanke na podłogę.

Szklanka się zbiła. Pani Margowska ją pozbierała i skaleczyła się w palec.

Pamiętam też, że namęczyła się, żeby mnie wyprowadzić na korytarz. Stąd wzięły się

46

47

ślady krwi na moim płaszczu i ślady włókien z płaszcza pod paznokciami Margowskiej.

- Cóż to się stało, że oskarżony dopiero teraz przypomniał sobie szczegóły owego wieczoru?

-Po prostu... myślałem, myślałem...

- Dobrze. Zatem oskarżony stanowczo twierdzi, że nie popełnił zbrodni, o którą jest posądzony, ani kradzieży, i że gdy wszedł do mieszkania Jadwigi Margowskiej, ona leżała już zamordowana, oraz że bał się zgłosić ten fakt policji.

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

- I oskarżony powiedział, że nie wiedział, co zrobić. I szybko opuścił mieszkanie.

-Tak.

Sędzina podyktowała protokółantce zeznanie Mrotka i podjęła:

- Zakładając, że to wszystko prawda, dlaczego oskarżony obawiał się powiadomić policję, skoro nie wiedział, kiedy Margowska została zamordowana?

- Podeszedłem do zwłok i dotknąłem ich, próbując wybadać puls. Nie wyczułem go, a zwłoki były ciepłe. Dlatego nie powiadomiłem policji. Nie byłem pewien, czy mam alibi. W śledztwie pomiąłem ten szczegół, uważając go za nieistotny.

- Rozumiem. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że znaleziony w mieszkaniu oskarżonego naszyjnik był własnością Margowskiej. Jak oskarżony to tłumaczy?

- Tak jak powiedziałem w śledztwie, że kupiłem go pod koniec września na bazarze od pewnego handlarza.

- Który zdążył umrzeć, nim policja do niego dotarła - skonkludowała sucho sędzina.

- Widać miałem pecha, Wysoki Sądzie.

- Oskarżony zeznał, że po wyjściu z mieszkania ofiary poszedł prosto do baru „Czerwony As” na wódkę.

-Tak.

- Proszę opowiedzieć o pobycie w tym lokalu.

- Wziąłem dużą wódkę, usiadłem i popijałem. Potem wziąłem następną i jeszcze jedną... Później ktoś się do mnie przysiadł i gadaliśmy o takich różnych rzeczach.

- Jakich?

- Nie bardzo pamiętam.

- Czyżby? Oskarżony przypominał sobie szczegóły poprzedniego wieczoru, kiedy był porządnie pijany, a nie może sobie przypomnieć szczegółów pobytu w barze w dniu następnym, gdy nie był tak pijany? Oskarżony coś kręci.

Mrotek zatarł nerwowo rękę.

- Pouczam oskarżonego - podjęła sędzina - że wolno mu zmieniać poprzednio złożone zeznanie, uzupełniać, ale należy się liczyć z tym, że sąd to wszystko podsumuje i wyciągnie odpowiednie wnioski. Niekiedy opłaca się mówić po prostu prawdę. Mówienie prawdy ma i tę zaletę, że nie można się potem pogubić w zeznaniach.

- Wysoki Sądzie, w barze plotłem różne głupstwa, kompletne bzdury, bo już też byłem pijany.

Sędzina spojrzała w akta, podyktowała protokółantce kolejny fragment zeznania oskarżonego i zerknęła na listę świadków.

- Proszę wezwać świadka oskarżenia Zenona Piechockiego. Właściwie to polecenie było kierowane nie wiadomo do kogo, gdyż obecnie poczciwych woźnych przy drzwiach, usłużnych na każde skinienie sądu i pilnujących, żeby żaden świadek nie zjawił się na sali rozpraw, zanim nie złożył zeznań, ze świecą by sienie znalazło, przynajmniej nie w każdym sądzie. Świadka wezwał trzeci ze znudzonych policjantów, siedzący opodal drzwi.

Na salę wszedł mężczyzna w średnim wieku, w dżinsach i zamszowej kurtce. Stał przy barierce, rozejrzał się na boki i skupił obojętny wzrok na Mrotku, który także obdarzył go spojrzeniem bez wyrazu.

- Pouczam świadka, że za składanie fałszywych zeznań lub zatajenie prawdy grozi kara pozbawienia wolności do lat pięciu - powiedziała przewodnicząca. - Wolno również świadkowi uchylić się od odpowiedzi na jakieś pytanie, jeśli stwierdzi, że jej udzielenie mogłoby w przyszłości narazić świadka bądź mu najbliższych na odpowiedzialność karną. Wolno też świadkowi żądać przesłuchania z wyłączeniem jawności, jeżeli treść zeznań mogłaby narazić świadka lub mu najbliższych na wstyd, hańbę. Czy się rozumiemy?

- Tak, pani sędzio.

- Wysoki Sądzie - poprawiła go. - Proszę o podanie swoich personaliów.

- Nazywam się Zenon Piechocki, jestem właścicielem baru „Czerwony As” na ulicy Jasnej trzy. I tam mieszkam.

- Był pan karany sądownie? -Nie.

- Czy strony życzą sobie odebrania przyrzeczenia od świadka? - przewodnicząca się rozejrzała.

48

Oskarżyciel i obrońca zaprzeczyli.

- A oskarżony? - spytała sędzina. -Nie.

- Proszę wyjaśnić, od jak dawna pan zna Mrotka.

- Od jakichś trzech lat.

- Czy to jest zażyła znajomość?

- Jak między barmanem a sporadycznym klientem.

- Rozpoznaje pan Mrotka na tej sali?

- Tak, siedzi pomiędzy policjantami.

- Czy oskarżony często zaglądał do baru „Czerwony As”?

- Raz po raz.

- Kiedy był ostatnio?
- Dziewiętnastego października około wpół do dwunastej. Otwieram o dziesiątej.
- Proszę opisać, w jakim stanie się pojawił.
- Był podenerwowany. Poprosił o dużą wódkę.
- Określił swój stan w jakiś sposób?
- Powiedział coś o „pieskim świecie”. Takich słów użył.
- Próbował pan dowiedzieć się od niego coś więcej? Po koleżeńsku, oczywiście.
- Tak, ale bezskutecznie. Po chwili poprosił o następną wódkę, którą równie szybko wypił, i jeszcze następną.
- Co wydarzyło się później?
- Krótco przed pierwszą przyszedł jakiś klient. Kupił napój pomarańczowy i dosiadł się do pana Mrotka.
- Czy podjęli rozmowę? -Tak.
- Czy, zdaniem świadka, oni się znali?
- Nie wiem. Może z widzenia.
- Słyszał pan, o czym rozmawiali? -Nie mam zwyczaju podsłuchiwać.
- Lecz z pewnością pan na nich patrzył raz po raz. Co pan zauważył w pewnym momencie? Jaki gest oskarżonego?  
Piechocki wykrzywił twarz i lekko wzruszył ramionami.
- Po prostu pokazał coś takiego - wyjaśnił i zademonstrował pociągnięcie dłoni po szyi.
- Czy strony mają pytania do świadka? Oskarżyciel zaprzeczył, a Roman potaknął.
- Proszę, panie mecenasie - powiedziała sędzina.



- W co oskarżony był ubrany, gdy wszedł do baru? - zapytał.
  - W płaszcz, spodnie i buty.
  - Jakiego koloru był to płaszcz? -Bordowy.
  - Wysoki Sądzie, obrona pragnie zaznaczyć, że poprzedniego wieczoru oskarżony miał na sobie płaszcz tego samego koloru, w którym zjawił się nazajutrz u Margowskiej. Dziękuję świadkowi.
  - Czy oskarżony chciałby zadać świadkowi pytania w związku z jego zeznaniem? - sędzina zwróciła się do Mrotka. - Pouczam oskarżonego o przysługującym mu prawie do zadawania pytań osobom przesłuchiwanym oraz do składania wyjaśnień co do każdego dowodu.
  - Nie, Wysoki Sądzie.
  - Świadek jest wolny.
- Przewodnicząca zapisała coś w dokumentach i wezwała następnego świadka oskarżenia.
- Właściciel baru wyszedł, a jego miejsce zajął łysawy mężczyzna około czterdziestki. Po rutynowym pouczeniu przez sędzinę wyjaśnił, że pracuje w zajezdni tramwajowej, jest mechanikiem.
- Proszę powiedzieć sądowi, w jakich okolicznościach świadek poznał Mrotka.
  - Trudno mówić o jakiejś znajomości. Ot, po prostu przysiadłem się w barze do niego i zaczęliśmy rozmowę.
  - Proszę określić czas i miejsce.
  - To było dziewiętnastego października, gdzieś o pierwszej po południu w barze „Czerwony As” na Jasnej.
  - Jak się oskarżony zachowywał, kiedy przebywaliście w barze?
  - No... popijał. Był wstawiony. Zagadnałem go, ale on nic, aż nagle

chwycił szklanke i trzasnął o stół, prawie ją rozbił. I zaczął oglądać swoje ręce.

W końcu nawiązał pan rozmowę?

- Tak. W pewnym momencie powiedział, że jest ostatnim osłem.

Zapytałem, czemu, a on odrzekł, że nieważne. Potem dorzucił, iż popełnił największe głupstwo w swoim życiu.

- Sprecyzował to określenie?

- Powiedział, że chyba ma stryczek na szyi i gestem to pokazał. -Wyjaśnił, dlaczego?

- Nie wprost.

51

-A jak?

- Powiedział, że wszystko przez baby i dodał, że gdy go gliny dopadną, to się nie wyłga.

- Czy i to sprecyzował?

- Tak. Powiedział: „Ta stara Margowska będzie mi się śnić po nocach”. A po chwili dodał, jakby do siebie: „Nie, nie udowodnią mi, że ją załatwiłem”. Dopił resztę wódki i wyszedł z baru.

- Czy strony mają pytania do świadka? - Sędzina spojrzała najpierw w prawo, później w lewo.

Prokurator skinął głową. Zapytał:

- Zewnętrzną czy wewnętrzną stronę swoich dłoni oglądał oskarżony?

- Wewnętrzną, o tak - wyjaśnił demonstrując.

- Długo to trwało?

- Dosyć długo.

- Jakie to zrobiło wrażenie na panu?

- Wysoki Sądzie - odezwał się Roman - wnoszę o uchylenie tego pytania.  
To prywatne odczucia świadka.

- Zgadza się z wnioskiem obrony - powiedziała sędzina Stefaniak.

- Proszę oskarżenie o rzeczowość w stawianiu pytań.

- To wszystko. Dziękuję świadkowi.

Przesłuchiwanie przejął Roman. Przez kilka sekund skupił uwagę na Joannie, po czym zwrócił się w stronę stołu sędziowskiego, a następnie skoncentrował się na przesłuchiwanym i zapytał:

- O czym Mrotek panu mówił?

- Słucham? - bąknął zdziwiony mężczyzna.

- O czym właściwie mówił oskarżony? - powtórzył Roman.

- Powiedziałem przecież.

- Pan zrelacjonował tylko słowa swojego rozmówcy. Słowa, które są odzwierciedleniem rozmaitych stanów wewnętrznych mówiącego. Co naprawdę wyrażał oskarżony w rozmowie z panem?

- Skąd mam wiedzieć, panie mecenasie?

- Proszę zwracać się do Wysokiego Sądu - pouczył go Roman.

- Nie wiem, Wysoki Sądzie, o czym właściwie mówił pan Mrotek - powiedział świadek.

- Dziękuję.

- Czy oskarżony chciałby coś powiedzieć w związku z zeznaniem świadka? - zachęciła sędzina.

- Tak. Nie jestem pewien, czy dokładnie takich słów użyłem, jak powiedział świadek. Zresztą pod wpływem alkoholu człowiek plecie różne głupstwa, nie zastanawiając się nad ich sensem.

- Oskarżony ma niewątpliwie rację, ale chcę zaznaczyć, że to świadek był

wtedy trzeźwy, a oskarżony pijany. Świadek nie zmienia swoich zeznań, prawda?

- Nie - odrzekł mężczyzna.

- Czy jeszcze są jakieś pytania do świadka? - Sędzina rozejrzała się, a widząc zaprzeczenia stron, zwolniła go.

- Wysoki Sądzie, wnoszę o powołanie trzeciego świadka oskarżenia, Hannę Pleszyńską- powiedział prokurator.

Na sali pojawiła się starsza kobieta o siwych włosach. Po rutynowych czynnościach przewodnicząca rzekła:

- Proszę podać swoje personalia.

- Nazywam się Hanna Pleszyńska, jestem rencistką i mieszkam na Śląskiej trzynaście pod numerem drugim. Przez ścianę sąsiaduję z mieszkaniem Jadwigi. Jadwigi Margowskiej, zamordowanej, niestety.

- Czy strony życzą sobie odebrania przyrzeczenia od świadka?

Oskarżyciel zaprzeczył, a Roman odpowiedział twierdząco. Na czas składania przysięgi przez Pleszyńską wszyscy powstali z miejsc, ze składem sędziowskim włącznie.

- Proszę opowiedzieć sądowi, co świadek widziała i słyszała osiemnastego października wieczorem w klatce schodowej, kiedy wracała do domu -podjęła przewodnicząca.

- Około ósmej to było. Weszłam do klatki i zobaczyłam przy drzwiach mieszkania Jadwigi jakiegoś pijanego mężczyznę i ją samą stojącą w progu. Usiłowała nie wpuścić pijaka do środka. Jadwiga krzyczała: „Wynoś się, pijaku!” A on, też krzykiem, takim pijackim: „Co? A co z pieniędzmi?” „Musi mi pan oddać”, powiedziała Jadwiga ciszej. A on: „Za miesiąc”. Jadwiga się nie zgodziła. „Jutro”, powiedziała, popchnęła pijaka,

tak że on prawie by upadł, i zatrzasnęła drzwi. Wychodząc z klatki, mówił pod nosem: „Zobaczmy, ty stara krowo”.

- Czy pani poznaje tego mężczyznę na sali? Kobieta obejrzała się.

- Tak, siedzi z policjantami.

- Czy pani rozmawiała z Margowską o owym incydencie? -Nazajutrz rano.

Wybierałam się do sklepu i weszłam po nią, poszliśmy

razem, co często robimy. Jadwiga skarżyła się, że ten człowiek był

nachalny,

próbował wejść do mieszkania, ale nie wpuściła go. Przyznała, że zna go.

Ponieważ był pijany, nie miała zamiaru zapraszać, bo jej mieszkanie to nie jakaś tam spelunka.

- Czy wspomniała coś na temat rozmowy z oskarżonym?

- Powiedziała, że chodziło o jakieś pieniądze, lecz szczegółów nie zdradziła. Dodała jedynie, że gdy ujrzała go w drzwiach, on zaczął od razu o pieniądzach, a ona nie chciała z nim rozmawiać.

- Proszę teraz opowiedzieć, co pani słyszała później, już w swoim mieszkaniu.

- O godzinie za piętnaście jedenasta doszły mnie zza ściany podniesione głosy. W pierwszej chwili się nie zorientowałam, kto to mówi, ale w następnej już wiedziałam, że to Jadwiga. Jadwiga krzyknęła: „Przestań nawracać i wynoś mi się stąd!”, a potem usłyszałam, że coś spadło na podłogę. To wszystko.

Strony mają pytania?

- Czy pani usłyszała też inny głos? - zapytał prokurator.

- Nie. Chciałam wyjść na korytarz, ale akurat zadzwonił u mnie telefon, więc podniosłam słuchawkę.

- Dziękuję - rzekł Radwański i zwrócił się w kierunku stołu sędziowskiego. - Z zeznań świadka jasno wynika, że oskarżony kłamał, uzupełniając zeznanie o fakt bytności w mieszkaniu Margowskiej osiemnastego października wieczorem, sugerując tym samym, że to wtedy pozostawił odciski palców na szklance, z której pił herbatę, a którą potłuczoną znaleziono w wiadrze na śmieci, i że ślady krwi na jego płaszczu oraz mikroślady włókien z płaszcza zaczepione na paznokciach zamordowanej powstały wówczas, kiedy to pijany upadł, a Margowska pomagała mu się pozbierać, przy okazji brudząc jego płaszcz krwią ze zranionego palca. Co oznacza to kłamstwo, nie trzeba wyjaśniać - miałoby być dowodem odciążającym go od popełnienia zbrodni.

Zgadza się, zawtórował mu Roman w głębi duszy, jeżeli rzeczywiście było to kłamstwo. Na razie nie potrafił udowodnić ani że Mrotek powiedział prawdę, ani że skłamał. Zerknął na Mrotka - wydał się przybity druzgocącymi słowami prokuratora.

Przewodnicząca szepnęła coś do kolegi po prawej stronie i spojrzała na ławę obrony. Przesłuchanie przejął Roman.

- W co był ubrany oskarżony, gdy pani go widziała osiemnastego października wieczorem?

Miał na sobie płaszcz.

- Czy potrafi pani określić kolor płaszcza?

- Bordo.

- Na pewno bordo?

- W korytarzu paliło się światło.

- Ma pani doskonałą pamięć wzrokową - wtrąciła się sędzina.

- Jestem malarką, artystą plastykiem - odrzekła z dumą. - Nadal zajmuję

się twórczością artystyczną.

- Rozumiem. Proszę dalej, panie mecenasie.

- Czy pani także pamięta, w co tego wieczoru była ubrana Margowska?

-zapytał Roman.

- Miała zieloną suknię.

- Osiemnastego października rozmawiała pani z Margowską?

- Osiemnastego?

- We wtorek, w przeddzień jej zabójstwa.

- Aha. Tak, rozmawiałam.

- O której godzinie?

- Przed południem gdzieś o dziewiątej i wieczorem około siódmej, kiedy obie wynosiłyśmy śmieci do śmietnika.

- Zatrzymajmy się ponownie na dniu następnym. Czy o godzinie dziesiątej czterdzieści pięć, podczas rozmowy telefonicznej, usłyszała pani oprócz słów Margowskiej również odgłos otwieranych drzwi w klatce schodowej?

- Nie. Telefon mam w pokoju od podwórza. Po krótkiej rozmowie z synem zapomniałam o tym incydencie, ubrałam się i wyszłam.

- O której to było godzinie?

- Wychodziłam za dziesięć jedenasta, pamiętam, bo ręczny zegarek mi stanął i musiałam spojrzeć na ścienny, taki z kukułką.

- Czy przechodząc obok drzwi mieszkania Margowskiej usłyszała pani jakieś odgłosy w jej mieszkaniu?

-Nie.

- Panowała kompletna cisza?

- To znaczy, słyszałam grające u niej radio.

- Cofnijmy się o parę godzin. Proszę powiedzieć, w jakim stanie

znajdowała się Margowska, gdy pani do niej rano weszła.

- No... normalnym.

- Czy pani wyczuła od niej woń alkoholu?

- Wysoki Sądzie, wnoszę o uchylenie tego pytania - odezwał się Radwański, poprawiając okulary. - To niczego nowego nie wnosi do meritum.

55

Protokół sekcji zwłok wyraźnie wyjaśnia kwestię poruszoną w pytaniu obrony.

- Wysoki Sądzie - zaprotestował Roman - obrona próbuje się zorientować, czy świadek zna inne szczegóły dotyczące życia Margowskiej, gdyż mieliśmy okazję usłyszeć precyzyjne określenie czasu zarówno incydentu za ścianą jak i wyjścia świadka z domu.

- Proszę odpowiedzieć - rzekła przewodnicząca do świadka.

- Tak, poczułam od niej woń alkoholu — przyznała.

- Czy wiedziała pani o alkoholizmie Margowskiej? - ciągnął Roman. -Nie, to znaczy... raz czy dwa zdarzyło mi się ją widzieć jakby trochę... podchmieloną.

- Czyli pijaną? -No... tak.

- Czy Margowska mówiła pani albo w jakiś inny sposób dawała do zrozumienia, iż nie stroni od alkoholu?

- Nie. Raczej się wstydziła swojego stanu. Ale to była porządna kobieta, dobra sąsiadka. Bardzo ją szanowałam.

- Czy poprzedniego dnia podczas wieczornego spotkania w drodze do śmietnika pani stwierdziła, że Margowska jest pod wpływem alkoholu?



- Nie wydaje mi się.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań.

- A oskarżony pragnie o coś zapytać świadka? -Nie.

- Wysoki Sądzie, wnoszę o odroczenie procesu - rzekł Roman.

- Czym obrona to uzasadnia?

- Wysoki Sądzie, pomimo moich zabiegów nie udało się do tej pory rozmawiać z wszystkimi osobami mogącymi pomóc wyjaśnić zawiłości sprawy, których tu nie brakuje. Ponieważ Wysoki Sąd ma wydać wyrok na człowieka oskarżonego o najcięższe przewinienie, proszę o przychyłność. Przewodnicząca zastanowiła się, zajrzała do akt i zwróciła się do prokuratora:

- Czy oskarżenie zgadza się z propozycją obrony dotyczącą odroczenia procesu?

Radwański poprawił zsunięte nieco okulary i zmierzył Romana wzrokiem.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzina sięgnęła po kalendarz i przewertowała go.

- Odraczam rozprawę do dwudziestego czwartego listopada, godziny jedenastej - powiedziała. - Jednocześnie przypominam stronom o ekonomii procesowej - dodała surowiej.

Roman zerknął na Joannę, której twarz wyrażała obojętność, a następnie zamienił z Mrotkiem parę słów. Kiedy policjanci wyprowadzili oskarżonego, zdjął toge, przełożył ją przez ramię i opuścił salę rozpraw; podszedł do Joanny, stojącej naprzeciwko drzwi sali. Idący z policjantami Mrotek obejrzał się.

- Dlaczego poprosiłeś o odroczenie? - zapytała.

- Słyszałaś przecież.

- Tak. Jakie widoki?

- Wiele będzie zależało od tego, co teraz ustalę. Parę punktów jest niejasnych i istnieje szansa, że da się je podważyć. A w praktyce wygląda to tak, że często wystarczy nikła wątpliwość w akcie oskarżenia, aby wykorzystać ją w obronie.

- Uniewinnienie wchodzi w grę?

Roman przyjrzał się jej uważniej. Wydawało mu się, że ona dziwnie wypowiedziała te słowa.

- Wierz mi, że postaram się zrobić wszystko, co możliwe, żeby do tego doprowadzić. - W głębi duszy ciągle nie miał pojęcia, czy uniewinnienie będzie realne.

- Wierzę.

- Bądź dobrej myśli.

- Doceniam twoje zaangażowanie.

- To mój obowiązek, skoro się podjąłem.

- Aha, o co właściwie chodziło prokuratorowi, gdy pytał drugiego świadka, którą stronę swoich dłoni oglądał Piotr w barze?

- Wewnętrzną czy zewnętrzną? -Tak.

- Chciał zasugerować, że jeśli się ogląda wewnętrzną stronę, to tak, jakby się w akcie gorzkiej refleksji patrzyło na ręce zbrukane krwią.

- On patrzył na wewnętrzną stronę. -Tak.

- Do widzenia — powiedziała i skierowała się ku schodom.

Roman odprowadził ją wzrokiem i podszedł do jednego z kolegów. Po krótkiej rozmowie ruszył na dół, gdzie w wydziale cywilnym miał coś do załatwienia. Na parterze spostrzegł siedzącą na ławce Marię Małgorzatę Lewandowską która na jego widok się podniosła.

- Panie mecenasie, czy mogę na słowo?

56

57

- Proszę - zgodził się zaskoczony i podszedł do niej. Dostrzegł w jej oczach oznaki wyjątkowego zaciekawienia jego osobą co wydało mu się podejrzane. - Słucham panią?

- Nazywam się Maria Małgorzata Lewandowska, jestem córką zamordowanej.

- Roman Zawada.

- Chcę zapytać, czy wierzy pan w niewinność oskarżonego?

- Ale pytanie - spróbował wziąć je humorem.

- Złe? - Błysnęła kokieteryą w oczach i sięgnęła do torebki po paczkę marsów i zapalniczkę. - Wolno tu palić?

- Tutaj tak.

- Zapali pan?

- Chętnie. - Roman zdobył się na dżentelmeński gest i wziął od niej zapalniczkę, aby usłużnie podać jej ogień, a następnie przypalić sobie.

-Dziękuję.

- Elegancka - stwierdził, oglądając zapalniczkę.

- Owszem.

- Nie pasuje do pani.

- Czemu?

- Za wielka. - Oddał ją.

- Ma pan rację. Lecz nie odpowiedział pan na pytanie.

- Cóż, istotnie, nie wierzę w winę mojego klienta.

- Z obowiązku?

- Jest pani dociekliwa - rzekł uprzejmie.
- To dobra cecha u kobiety, nie sądzi pan?
- Zależy od sytuacji.
- Mężczyzny czy kobiety?
- Obojga.
- Pewnie. - Jej oczy znowu wesoło zaiskrzyły. - Tak czy inaczej, to jedyny sposób, by kobieta mogła się czegoś dowiedzieć od mężczyzny. Innego nie wynaleziono. Może pan zdradzić, dlaczego pan nie wierzy?
- Przykro mi, nie mogę.
- I słusznie. Zdrada ma swoje granice. Miło mi było poznać pana, panie mecenasie. Do widzenia.
- Mnie również. Do widzenia.
- Czy już panu ktoś powiedział, że do twarzy panu w todze? -  
Bezceremonialnie puściła do niego oko i odwróciła się na pięcie.  
Oniemiał z wrażenia. Niezła, pomyślał ścigając ją spojrzeniem, a gdy zniknęła za wielkimi wahadłowymi drzwiami, westchnął rozmarzony i ruszył do cywilistów.

## VI

Przyjemny zapach wołowej pieczeni roznosił się z kuchni po całym parterze. Pani domu z widoczną lubością krzątała się przy robieniu obiadu, strofując raz po raz dzieci, które zawsze miały tysiące pomysłów, aby zwrócić na siebie uwagę, jeśli się nudziły. Beatka była równie zadziorna jak Marek.

Iwona Zawada, smukła blondynka o zielonych oczach i jasnej cerze, była zdolną dekoratorką wnętrz; każdy centymetr obszernego domu o tym świadczył. Urządziła wszystkie pomieszczenia według własnego gustu, co

Roman skwapliwie zaakceptował, między innymi dlatego, że sam uchodził za zaprzeczenie estety. Gdyby nie żona, nie widziałby nic niestosownego w tym, żeby do brązowych spodni założyć czarne buty, granatową marynarkę, zieloną koszulę i popielaty krawat. Od stóp do głów ubierała go Iwona, więc dzięki niej miał opinię wytwornego faceta. Raz, do pracy, chciał założyć białe skarpetki. Iwona się wściekła.

Strofując po raz kolejny dzieci, zajrzała do piekarnika, a potem zerknęła na zegar. Skończyła przyrządzanie pieczeni w momencie, gdy w domu pojawił się Roman. Pochlebiała sobie, że potrafi dobrze gotować, zresztą często wychwalano pod niebiosa jej zdolności kulinarne. Lubiła, kiedy mogli jeść, zwłaszcza obiady, całą rodziną. Uważała takie spotkania za coś więcej niż tylko zwyczajne napełnianie pustych żołądków.

Gdy w czwórkę siedzieli przy stole, a dzieci uspokoiły się i zajęły jedzeniem, Iwona powiedziała do męża:

- Spotkałam dziś Pawła. Nie wygląda najlepiej. Z parodniowym zarostem wcale mu nie do twarzy, powinien się codziennie golić. Zalaatywał alkoholem. Kiedy się ostatnio widzieliście?

- W teatrze - westchnął Roman, nie zwróciwszy uwagi na zwadę dzieci.

Przypomniała mu się rozmowa z Magdą.

- Dlaczego właściwie wyprowadził się od rodziców?

- Nie mam pojęcia. Widocznie chce mieszkać sam.

- Jakiś powód musi być. Zagadkowo się wówczas zachowywał wobec rodziców, a szczególnie względem ojca.

-Kiedy?

- W teatrze, w garderobie po spektaklu. Nie zauważyłeś? -Czyja wiem?

- Wobec tego marny z ciebie obserwator. Albo dobry oszust. - Zerknęła na dzieci, a stwierdziwszy, że nie interesują się ich rozmową dodała: - Myślę, że coś musiało się wydarzyć między Pawłem a ojcem.

- Nie przypuszczam.

- Jedź do niego.

- Do Pawła?

- Pojechać z tobą? -Nie.

- Dobrze. - Iwona była na ogół wyrozumiała, nie dało się z nią zawzięcie kłócić, miała łagodne usposobienie. Ktoś ze skłonnością do sporów mógłby przy niej wyskoczyć ze skóry tylko dlatego, że nie jest w stanie dać upustu swojej namiętności. - A poza tym co nowego u twoich rodziców?

-Nic.

Paweł siedział przy stole, pisał sztukę, ale nie bardzo mu szło. Miał parę wersji niepełnego konspektu całości i próbował stworzyć z nich szkic wersji ostatecznej. Od pracy oderwał go dźwięk dzwonka u drzwi. Ruszył na korytarz. Przez wizjer dostrzegł brata. Otworzył mu.

- Kogo widzę w moich skromnych progach? - ucieszył się nie bez odrobiny dystansu. - Myle się, czy istotnie pierwszy raz tu zaglądasz?

- Trudno cię namówić na spotkanie - odciął sucho Roman.

- Zdaje się, że od długiego czasu oboje wpadamy do siebie jak po ogień.

- Czyja to wina?

- Racja, wspólna.

- Można by pomyśleć, że nieoczekiwanie odezwała się w tobie dusza pustelnika, tylko że nie wiem, po kim. Chyba nie mieliśmy żadnego ascety

w naszym rodzie.

- Ascety nie, lecz znalazłby się ktoś z przeciwległego bieguna, prawda?

Roman zmilczał tę uwagę. Zdjął płaszcz. Przeszli do pokoju i usiedli.

Z postury i spojrzenia byli do siebie podobni, poza tym się różnili. Roman rozejrzał się po pokoju.

- Piękne mieszkanko - rzekł uszczypliwie.

- Mam to gdzieś.

- Jasne.

- Piwo? Kawa? Co wolisz? Może kielicha?

- Nie, dzięki.

- Jak chcesz.

- Twoje życie zawodowe mnie nie obchodzi, aczkolwiek cieszę się z twoich sukcesów - rzekł Roman. - Natomiast wewnętrzne życie tak, przynajmniej do pewnego stopnia.

- Od kiedy uważasz się za moją niańkę?

- Nigdy tak nie było.

- O co ci chodzi?

- Doskonale wiesz.

- Wiem?

- Zastanów się.

Paweł wyciągnął nogi i położył głowę na oparciu rozklekotanego fotela, który niebezpiecznie zatrzeszczał. W jego oczach pokazał się cień triumfu.

- Tata wreszcie cię nasłał.

- Bez żartów! - zachnął się Roman. Łziesz jak pies, bracie, pomyślał Paweł.

- No więc? - ponaglił go.

- Nie udawaj. Ciągłe trujesz się tym listem. Bo on jest przyczyną że się

wyniosłeś z domu. Ja także dostałem list, założę się, że identyczny w treści. - Wyjął z kieszeni kopertę i podsunął ją bratu.

Paweł wzruszył ramionami.

- Powinniśmy naprawdę szczerze pogadać - podjął Roman, opierając się łokciem o stół, na którym walały się butelki po piwie i arkusze papieru.

Schował kopertę do kieszeni.

- Ty masz swoje problemy, ja mam swoje. - I mamy też wspólne.

- Pewnie, po raz pierwszy, odkąd dorośliśmy - zadrwił Paweł. - Ale ciebie one za cholerę nie ruszają.

- A ciebie za bardzo.

-Zatem i ty, i ja zachowujemy się nienormalnie.

- Kwestia spojrzenia.

- Raczej wrażliwości, ty słoni. Powiem ci coś: ty też byłeś i jesteś tym przerażony, i to tak mocno, że unikasz rozmyślenia o tej przeklętej historii.

Możesz sobie wyobrazić tatę w...

- Owszem, mogę - przerwał mu.

- Piorunem to powiedziałeś.

- Co za różnica?

- Istotna. Bez mrugnięcia okiem jesteś w stanie przypisać tacie nawet najgorsze łajdactwa. Pomijam ten list.

60

61

- To znaczy, że sądzisz, iż ta kobieta nałgała?... Bo ja tak sądzę. Zemsta, mój stary. Ona dziś jest w szczególnych łaskach, cieszy się niemal ogólnym wzięciem.

-Powiedziałeś to ironicznie.



- Oczywiście. Zemsta to nie sprawiedliwość, to coś znacznie więcej. Odróżnić sprawiedliwość od zemsty jest wielką sztuką, której umiejętność posiadli nieliczni, bo większość prędzej odróżni płec u dwóch kropel wody.
- Zemsta - zastanowił się ze smutkiem Paweł. - Zapewne, w jakimś sensie. Lecz to nie łgarstwa, sprawdziłem. Roman wychylił się do przodu.
- Co zrobiłeś?! Sprawdziłeś?
- Tak. Po cóż podała w liście swój adres? W liście do ciebie również był? - Był.
- Ten adres to jakby zaproszenie do weryfikacji. Żaden tam świński anonim.
- Powiedzmy.
- Więc ja w przeciwieństwie do ciebie z niego skorzystałem i w efekcie zjeździłem kawałek Polski.
- Bawiłeś się w detektywa? - Nie uważałem tego za zabawę.
- Zdziwiasz mnie.
- Ty, prawnik, mi to mówisz? - I co ustaliłeś?
- Mamy do czynienia z prawdą o naszym staruszku, którego w naszej naiwności mieliśmy za... Właśnie, za kogo? Chodzącą świętość? Ideał? Roman popadł w zadumę.
- Za poczciwego i w miarę uczciwego faceta - odrzekł spokojnie.
- Czyli tylko trochę nieuczciwego, tak? Czyli jak większość ludzi.
- Naturalnie.
- Co w tym przypadku obchodzą mnie ludzie?
- Paweł, jego życie, jego sprawa. Po diabła ci to całe rozpamiętywanie?

- Też nie wiem.
- Daj sobie spokój.
- Nie potrafię. I nic na to nie poradzę. Postaraj się mnie zrozumieć.
- Staram się, od dawna - odrzekł Roman wpatrzony w karton z książkami.
- Wątpię, chyba jeszcze nie zacząłeś.
- Zazdrościsz mi mojej równowagi, co?
- Nie umiem odpowiedzieć.
- Wkroczyłeś na cholernie niebezpieczny obszar. Paweł rzucił bratu ostre spojrzenie.
- Ostrzegasz mnie? - zapytał.
- Nie to mam na myśli. Wstąpiłeś na głęboką wodę, jeżeli tak można powiedzieć o sferze własnej psychiki. Uciekaj z tego diabelskiego kręgu wyobraźni, gdyż dłuższe przebywanie w mocy jego oddziaływania zazwyczaj nie wróży niczego dobrego.
- Wiesz co? Takie uczone rady nadają się do roztrzaskania o kant stołu.
- W porządku. Czyż to moja wina, że sprawy tak się mają?
- Makiawel się kłania, co? Dobrze, skoro rozumiesz, to przestań, do diabła, mnie pouczać.
- Próbuję ci pomóc. Może na taty miejscu tak samo byś postępował?
- Przypuszczam, że tata jednak cię nasłał. -Nie. Przysięgam.
- Dobra. - Paweł machnął ręką ale głowy nie dałby sobie uciąć, że brat mówił prawdę. - Za wiele sobie wyobrażam?
- Tak sądzę.
- Czy mama zna przeszłość taty?
- Nie mam pojęcia. -A jeśli zna?
- No to ją zna. Co, według ciebie, miałyby zrobić po tylu latach

małżeństwa? - I tu cię mam! - zawołał Paweł.

- Masz mnie?

- Powiedziałeś „po tylu latach!”

- Co z tego?

- To, że gdyby знаła jego prawdziwą przeszłość przed zamążpójściem, mogłoby nas nie być na świecie.

-Ale jesteśmy.

- Zmierzam do tego, że ciebie, do cholery, także dręczy świadomość, iż poznałeś ciemną stronę przeszłości taty. Powtórnie ci to uświadamiam.

- Lecz nie rozwodzę się nad tym, w każdym razie uporałem się z tą historią w miarę szybko i bezboleśnie. To jedynie rozsądne rozwiązanie. Cokolwiek uczynił - jego problem.

- Idź, wyściskaj go - syknął.

- Nie popadaj w skrajność.

-To nie skrajność, to wściekłość — odrzekł Paweł gasnącym głosem i umilkł.

- Zawsze twierdziłem, że rozpamiętując czyjąś przeszłość, stracisz swoją przyszłość - odezwał się Roman bez przekonania. - Czy warto przyszłość poświęcać? W imię czego? Historii? Owszem, historia to niewątpliwie rzecz równie dobra i pożyteczna, jak dziura w moście. Ale trzeba ją wyminąć i ostro do przodu.

- Skoro nie masz szacunku dla historii, to nie wymagaj, żeby ciebie szanowano. A dziury w moście się łąta. Albo most się burzy. Wiesz, ze zdumieniem odkrywam w tobie nihiliste.

- Chcesz mnie wprawić w zakłopotanie? -Bynajmniej.

- Przestań pieprzyć komunały, Paweł.

- Historia kołem się toczy.
- I tu ja cię mam! Czego zatem oczekujesz od ludzi? Zmiany na lepsze? Poluzuj sobie. Chrzanić młodość rodziców. Ich życie ma dla nas tę samą wartość, co zrealizowane czeki bankowe. Popatrz na ojca jak na zwykłego faceta, z wszystkimi jego wadami i zaletami. Lecz nie przez szkiełko nie skażone własnym doświadczeniem, bo widać wszystko w nadnaturalnych kolorach. W wirze życia barwy mętnieją. Tylko głupiec tego nie dostrzega.
- Miły jesteś.
- Cholera, staram się. Zapadła długa cisza.
- Gdybym miał takie szkiełko - westchnął Paweł z goryczą.
- Jak to, nie masz?
- A ty masz?
- Skąd?
- Właśnie.
- Wpadłeś, Paweł. Sam teraz widzisz, że wobec braku doświadczenia nie mamy moralnego prawa osądzać poprzedniego pokolenia. Jeden robił źle, drugi dobrze. W porządku. Wiemy o tym - i koniec, gdy o nas idzie. Jedyne, co możemy, to nie powielać błędów popełnianych dawniej przez innych.
- Nie we wszystkim się z tobą zgadzam.
- I prawidłowo. Jedyne rozbieżności mają moc twórczą. Zdaje się, że ty nadal zaliczasz się do tych, którzy święcie wierzą w postęp moralny.
- To jedyny, który się liczy.
- A ludzie mnożą się przez pączkowanie.
- Przestań chrzanić, co?
- Pomimo wielu różnic powinniśmy się trzymać razem - westchnął

Roman. - Jesteśmy rodziną.

Twarz Pawła w jednej sekundzie uległa przeobrażeniu; parsknął gniewnie.

- Podobno zdrowo się urzynasz - podjął Roman.

- Skąd wiesz?

- Parę razy widziałem cię na bani. A raz natknąłem się na Magdę. Jeśli dobrze wyczułem, to chciała się ze mną spotkać.

Paweł zmrużył oczy zastanawiając się, o czym Roman teraz myśli; wiele by dał, żeby się tego dowiedzieć. -Wypaplałeś jej o liście?

- Coś ty! - obruszył się. - Ta decyzja należy do ciebie.

- Otóż to!

- Powinieneś wrócić do poprzedniego trybu życia. Skończ z tym psychicznym masochizmem, niczego nie zmienisz.

- Wyobraź sobie, że wiem o tym. Co, twoim zdaniem, kształtuje wolę człowieka?

- Do licha z tą twoją filozofią!

- Powiem ci: przypadek. Nic innego, przypadek.

- Zamieszkał u Magdy, to jedyny rozsądny pomysł.

- Nie wiem. - Paweł ociężale podniósł się i wyszedł do niewielkiej zagraconej kuchni. Wziął ostatnią butelkę piwa. Otworzył ją, pociągnął spory łyk i głośno czknął. Wracając zobaczył, że Roman zainteresował się rękopisem jego sztuki, i stwierdził, że im dłużej brat zagłębiał się w lekturze konspektu, tym wyżej unosił brwi.

- Pisziesz coś nowego - powiedział Roman.

- Nie bardzo mi idzie.

- Co za temat obrałeś... -Zły?

- Chcesz napisać sztukę o tej historii?

- Piszę.
- Oszalałeś?! - zawołał z wyrzutem.
- Nic podobnego.
- Oszalałeś - powtórzył.
- Nie, do diabła!
- Naprawdę?
- Uwierz.

Roman z niesmakiem odrzucił kartki i zapalił papierosa. Dociekliwiej wpatrzył się w brata.

- Magda może zacząć dochodzić przyczyny twojej frustracji i w końcu
- 65

sama odkryje prawdę - powiedział z nie znośnym sprzeciwu uporem opiekuna. - Dzięki twojej sztuce.

- Owszem - przyznał Paweł zmęczonym głosem. - Szczerze mówiąc, nie wiem, co robić. Naprawdę nie wiem. Podpowiedz mi coś.
- Obawiasz się jej reakcji, gdyby się dowiedziała?
- Jasne. A Iwona?
- Nie powiedziałem jej.
- A gdyby się dowiedziała?
- To trzeba by było spokojnie, bez emocji porozmawiać. I koniec. I zapomnieć.
- Zapomnieć...
- Wymieść wszystko w diabły.
- W twoim przypadku nic innego w grę by nie wchodziło. Jesteście rodziną, macie dzieci.
- Wskocz szybko w swoją skórę.

- A jeżeli teraz jestem w swojej skórze?
- Nie sędzę. To stan przejściowy, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.
- Ty samego siebie nie znasz, a co dopiero mnie.
- Daj sobie spokój z tanią psychologią. Życie to nie teatr, gdzie wszystko ujdzie.
- Dobra, dobra! Fakt, że jesteś starszy ode mnie, nie oznacza, iż wolno ci mnie pouczać.

Roman uśmiechnął się kwaśno.

- Ale z ciebie chimeryk. - Umilkł zerkając na niego sondująco.
- A teraz cię zaskoczę, zaskoczę jak diabli. - Czym?
- Z wrażenia zamienisz się w słup soli.
- Dobra, wal.
- Mamy... siostrę, nieco starszą od nas - wycedził Paweł.
- Kogo?! Siostrę? - Roman zdębiał.
- A nie mówiłem?

Na twarzy Pawła pojawił się uśmiech triumfu, zaprawiony jednak kroplą goryczy. Roman dość długo patrzył na niego z kompletnym osłupieniem.

- Co ty pleciesz? - wyszeptał wreszcie. - Źle się czujesz czy jak?
- Siostrę, siostrzyczkę, siostrunię - potwierdził ironicznie Paweł i wyjaśnił mu, kim ona jest i jak ją poznał. - Powiedziałem jej o tobie.
- Nie do wiary - szepnął Roman, wstał i chodząc od ściany do ściany długo przetrawiał tę sensacyjną wiadomość. - Ty się pogodziłeś z tym faktem?
- Powiem ci, że nawet gładko.
- Wobec tego i ja muszę.

- Nie ma innego wyjścia.
- Racja. Cóż, oko za oko: teraz ja cię zaskoczę. -No?
- Margowska została zamordowana.
- I nie udało ci się - rzekł Paweł spokojnie. - Wiem o tym.
- Tak, istotnie - zgodził się z miną przyłapanego na ewidentnej pomyłce.
- Kto to jest ten Mrotek?
- Mąż Joanny. Bronię go.
- Tej Joanny?
- Raczej tamtej - rozrzewnił się Roman.
- No tak... Dlaczego ją zamordował? Dla forsy?
- Nie wiadomo, czy on jest mordercą.
- Aha... - Paweł zasepił się. - Jesteś przekonany o jego winie?

Na typowe pytanie brata Roman zareagował w typowy dla siebie sposób - wzruszył ramionami i zapytał retorycznie:

- Co za różnica?
- Pewnie. - Paweł lekceważąco machnął ręką.
- Wiem, o czym teraz myślisz. O mojej moralności, którą zacząłeś poddawać w wątpliwość, kiedy zostałem adwokatem.
- Nie! - sprostował z nagłą pasją Paweł, w którym obudził się duch przeszłości. -Wtedy, kiedy wygrałeś tę skomplikowaną sprawę o zabójstwo taksówkarza, która nieomal z dnia na dzień uczyniła cię gwiazdą. A doskonale wiedziałeś, że facet jest winny i powinien siedzieć. Dzięki tobie wyszedł na wolność. Po cichu chełpiłeś się tym sukcesem, pamiętasz? Że zrobiłeś w konia gliny, prokuratora i sąd. Po tym procesie wszelkie męty zaczęły się do ciebie ustawiać niczym dziwki do ginekologa.



Roman przystanął i wsadził ręce do kieszeni spodni; wyglądał na przygwożdżonego niespodziewaną agresywnością brata.

- Zgoda, do tego zawodu trzeba mieć powołanie, podobnie jak do aktorstwa - ciągnął Paweł - ale nie pieprz mi więcej o wyostrzonym poczuciu odpowiedzialności w związku z odkrywaniem tajemnic ludzkiej duszy. Że gdy siada przed tobą morderca, to widzisz w nim przede wszystkim zbłąkanego człowieka, którego należy bronić, co nie oznacza, że dajesz mu, jak to określiłeś, swoje przebaczenie. Powiem ci, kogo i co widzisz w tego rodzaju

66

67

sytuacjach - siebie i kupę szmalu. Dusza twojego klienta ma dla ciebie takie samo znaczenie jak te opasłe księgi prawnicze, z których wkuwałeś paragrafy. Owszem, próbujesz go zrozumieć, ale po to, aby on ci pomógł zarobić, czego już mu nie mówisz. Zresztą delikwent, któremu grozi kara śmierci czy długa odsiadka, oddałby samemu diabłu duszę za pomoc. Zdaje się, że jedynie w środowisku lekarskim i adwokackim wiele się mówi o etyce i sztampie zawodowej. Niestety, tylko się mówi.

- Jesteś w błędzie - uśmiechnął się ironicznie Roman - w ogóle się o tym nie mówi.

Paweł najpierw zmarszczył czoło, a później przesadnym, teatralnym gestem puknął się w nie palcem.

- Jasne! W ogóle.

- Ta twoja wrażliwość - warknął Roman. - Na jakim świecie żyjesz?

Baranek wśród stada wilków i szakali. Gdzie ty się wychowałeś? W jednej rodzinie ze mną? Chyba gdzieś obok.

- Nie chrzań! - rzucił Paweł zadziorniej.
  - Właśnie teraz, kiedy mamy demokrację, ujawniają się w nas cechy natury, bo państwo totalitarne tępiło je na wszelkie sposoby.
  - Co ty powiesz! Zaraz usłyszę o gloryfikacji totalizmu. Jak u taty w przypiływie wylewności, czyli po paru głębszych.
  - Przestań.
  - Jesteś adwokatem. W porządku. Zwracają się do ciebie także różne szumowiny. W porządku. Czy jednak nie powinno być tak, że adwokat najpierw pomaga sądowi w ustaleniu prawdy obiektywnej, a dopiero potem broni klienta?
  - A gównu. Bronię klienta, pomagając jednocześnie sądowi ustalić prawdę obiektywną - odparł z uśmiechem zwycięzcy. - Zauważ ten niuans.
  - Rzeczywiście, widzę, różnica jak między płotką a wielorybem - ironizował Paweł i obejrzawszy swoje wypiełgnowane dłonie, zapytał znienacka: - Podjąłbyś się obrony kogoś takiego jak nasz tata, gdybyś wiedział, że on wcześniej zaszkodził twojej rodzinie?
  - Tak. -Co? -Tak.
  - Kurwa, czy ty jesteś normalny?! - spienił się gwałtownie Paweł.
  - Za to ty, kurwa, jesteś mściwy i!...
- Patrzeli na siebie wrogo, gotowi skoczyć sobie do oczu, co ostatnio zdarzyło im się jakieś dziesięć lat temu.
- A lekarz! - rzekł ostro Roman.
  - Lekarz?
  - Czy lekarz może odmówić udzielenia pomocy swojemu wrogowi?!  
Który z nas jest zatem bardziej człowiekiem?
  - Walnąłeś mnie w jaja. -Co?

- Cios poniżej pasa, z tym lekarzem. To nie było w porządku. Roman zacisnął zęby.

- Rozumiem, że miałeś na myśli doktora Judyma, nieprawdaż? - dokończył Paweł z sarkazmem i zaraz dodał pojednawczo: - Wiesz, przestańmy sobie wyjaśniać zawilości etyki, bo jak wszystko wyprostujemy, to nic nie zostanie i cały wymiar sprawiedliwości pójdzie z torbami.

- Słusznie.

Nastąpiła znowu cisza; emocje z wolna opadły jak poranna mgła na łące. Pawła ogarnęło poczucie winy, w głębi duszy zawstydził się, że sprowokował tę ostrą rozmowę, która i tak do niczego nie doprowadziła poza kłótnię zresztą nie mogło być inaczej, gdyż ich poglądy na pewne sprawy były równie zbieżne jak dwa pasma autostrady, a ich podejmowanie zawsze groziło starciem.

- Naprawdę nie interesuje cię, co się dzieje w domu? - odezwał się łagodnie Roman.

- Jakaś nowa rysa pojawiła się na kominku? Roman stłumił irytację i rzucił okiem na zegarek.

- Dobra, czas na mnie. Mam spotkanie z klientem. Paweł, zastanów się nad tym wszystkim i wynieś się z tej nory, bo zgnijesz do reszty.

Wyszli na korytarz. Paweł przysiadł na krawędzi szafki przed zabrudzonym lustrem i po krótkim wahaniu zapytał:

- Powiedz mi teraz, czy zabójstwo Margowskiej ma jakiś związek z nami?

- Nie, absolutnie. Zbieg okoliczności.

- Wiesz, Romek, im rzadziej się widzimy, tym łatwiej się zgadzamy ze sobą.

- Coś w tym musi być.

- Aha, jeszcze jedno. Podejrzany jest mąż Joanny, tak? W ubiegłym tygodniu widziałem ją z tatą.

- Tatę z nią? - zdziwił się Roman i potarł brodę. - Gdzie ich widziałeś?

- Koło „Staromiejskiego”.

- Hotelu? Wychodzili czy wchodzili?

- Stali na ulicy. Poznałem ją natychmiast, choć od lat jej nie widywałem. Nadal jest zabójczo piękna.

68

69

- Zgadza się. Na razie. - Roman podał bratu rękę i wyszedł.

Paweł zamknął za nim drzwi i wrócił do pokoju. Nie zasiadł do pisania.

Wypił resztę piwa i dalej krążył po mieszkaniu. Ze zdumieniem uświadamiał sobie, że odkąd obydwaj dorośli, nigdy aż tak otwarcie nie rozmawiali ze sobą. Zazwyczaj były to półsłówka, niedopowiedzenia, uniki i niezręczne aluzje, w których szczerości było tyle, co w gładzeniu notorycznego łgarza.

Roman wszedł do samochodu i ponownie zastanowił się nad rewelacyjną wiadomością o istnieniu siostry, a także nad tym, dlaczego dopiero teraz Paweł mu o niej powiedział. Szybko zrozumiał powód, gdy uświadomił sobie, w jakim tonie przebiegła ich rozmowa. Czuł się nieomal jak po wykonaniu jakiejś delikatnej misji. Nawet był zadowolony, że ma za sobą to, co i tak było nieuniknione.

Naraz wpadł mu do głowy pewien pomysł. Zajrzał do notatnika i odszukał adres Alicji Rokity. Zapalił silnik i ruszył na północny kraniec miasta, na Czyżkówko. Po kwadransie jazdy zaparkował na ulicy Pszenicznej.

Wszedł do kamienicy na rogu i po skrzypiących schodach wspiał się na

drugie piętro. Drzwi otworzyła mu młoda rudowłosa kobieta. Roman przedstawił się i zapytał:

- Pani Alicja Rokita? -Tak.

- Chciałbym z panią porozmawiać.

- Proszę.

Przeszli do niedużego, ładnie urządzonego pokoju. Usiedli. Roman rozpiął płaszcz.

- Czy mogłaby pani potraktować tę rozmowę jako poufną? To jest moja prośba, nie mogę pani do tego zmusić, zresztą nie miałbym takiego zamiaru.

- To znaczy, że nikomu nie mogę jej opowiedzieć? Skinął głową.

- Będzie trudno, bo trafił pan na niczego sobie plotkarę - powiedziała wesoło. - Żartowałam. W porządku, niech pan mówi.

- Świetnie. Bronię człowieka posądzonego o zamordowanie matki pani przyjaciółki.

- Ach tak. Od razu wiedziałam, że to ma związek z tą tragiczną historią.

- Pani razem z przyjaciółką odkryła zwłoki jej matki, prawda?

- To był okropny widok, pierwszy raz oglądałam coś takiego. Przez parę następnych nocy śniło mi się to i budziłam się ze strachem.

- Często się pani widuje z tą przyjaciółką?

- Od czasu do czasu.

- Czy tamtego dnia, zanim panie pojechały na Śląsk, pani ją odwiedziła, czy ona przyjechała po panią?

- Tak, wpadła do mnie krótko po trzeciej z wiadomością na którą długo czekałam. Wyszłyśmy z zamiarem pójścia w jedno miejsce. Ponieważ Marina, tak ją nazywam, miała coś do załatwienia u swojej matki, a było

nam po drodze, wstąpiłyśmy do niej. Lecz ona już nie żyła... - umilkła i westchnęła.

- Rozumiem.

- Przepraszam, dlaczego pana to interesuje?

- Po prostu muszę sprawdzić parę rzeczy. Taka moja rola w tej historii. Jeszcze raz proszę o zachowanie dla siebie naszej rozmowy.

- Nie ma obawy.

Roman pożegnał się i wyszedł.

## VII

Zdecydowała się w środę pod wieczór. Pomimo zacinającego nieprzyjemnie deszczu Magda pojechała do Pawła. Wsiadła z autobusu i przez chwilę mocowała się z parasolem, a gdy sobie poradziła, wiatr prawie wyszarpnął go jej z ręki. Weszła do budynku i zadzwoniła do mieszkania na pierwszym piętrze.

Zdecydowała się na rozmowę z Pawłem, bo nie mogła dłużej dusić w sobie tego wszystkiego, zwłaszcza że wiele dało jej do myślenia jego zachowanie po premierze Cyda.

Paweł dość szybko otworzył drzwi; przez moment patrzyli na siebie w milczeniu.

- Wejdz - rzekł wreszcie.

W korytarzu zdjęła płaszcz, rozłożyła parasol, poprawiła rozpuszczone włosy i przeszła do pokoju. Paweł, jakby nie wiedząc, co z sobą począć, zaczął chodzić od okna do drzwi i z powrotem. Magda usiadła.

Zdobywając się na ogromną cierpliwość, starała się zachowywać z godnością; postanowiła udawać, że nie ma pojęcia o jakiejś brunetce w jego życiu.

- Powinniśmy w końcu szczerze porozmawiać - odezwała się łagodnie.

-Co się z tobą dzieje? Od dłuższego czasu jesteś inny.

70

71

- Wydaje ci się.

- Bądź rozsądny, nie pleć głupstw, nie jestem gęsią. Mimo wszystko trochę cię znam. Czym się gryziesz? Muszę cię o to zapytać. Czy to ma jakiś związek z tym, że oszedłeś od rodziców?

Rzucił na nią spojrzeniem Meduzy.

- Gdzie jest napisane, że nie mogę mieszkać samodzielnie?

-Nie zadzieraj. Oczywiście, nigdzie. Czuję jednak, że za tą zmianą adresu coś się kryje. Rozumiem, że to twoje osobiste sprawy, ale jeśli na mnie spadają odpryski twojego zachowania, to chciałabym wiedzieć...

- Odpryski zachowania...

- Tak! Mam serdecznie dość takiego stanu. - Poczwała się nieswojo, nie wiedziała, co zrobić; ostatecznie zdecydowała się na ryzykancki krok: podeszła do niego i uwiesiła mu się na szyi. Paweł wydał się jej równie czuły jak wieszak na odzież. Nie zraziła się tym. - Pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy?

- Co za pytanie?

- A naszą pierwszą randkę?

- Słuchaj, Magdo, wyprowadzam się - brutalnie zmienił temat, oderwał się od niej i oparł o ścianę.

Nie wytrzymała. Spojrzała na niego niczym na upiora.

- Wyprowadzasz się?! - stłumiła okrzyk. - Nie rozumiem.

- Wynoszę się stąd, w ogóle z tego miasta, z tej przeklętej Bydgoszczy!

-Co takiego?!

- Po prostu... musimy, musimy się rozstać. Magdę wręcz замуrowało, nie mogła uwierzyć.

- Musimy się rozstać?... Ty powiedziałaś serio? -Tak.

- Czemu się musimy rozstać?! Kompletnie mnie zaskoczyłeś.

- Trudno.

- Ni z tego, ni z owego musimy się rozejść?! O co chodzi? Oczekuję wyjaśnienia, to mi się należy.

- Dlaczego ludzie się rozchodzą? - uśmiechnął się ironicznie Paweł.

- Z tysiąca różnych powodów. -Zazwyczaj wystarcza jeden.

- Rozumiem, inna kobieta... - szepnęła. - Brunetka? Paweł na moment zastygł.

- Może i brunetka.

- Szkoda, że dopiero teraz mi o tym mówisz - szepnęła z goryczą.

- Chciałem wcześniej, lecz za każdym razem, gdy ciebie zobaczyłem, odwagę diabli brali. Nareszcie się zdobyłem.

-Nareszcie... Dzięki mnie. Tak, to zabrzmiało szczególnie wymownie... Co ja mam myśleć o przeszłości z tobą? -Cokolwiek...

Magda usiadła na krawędzi krzesła, choć już miała zamiar ubrać się i bez słowa trzasnąć drzwiami, tak, by się rozleciały.

- Boże - szepnęła - wydawało mi się, że ciebie znam. Nie przypuszczałam, że jesteś zakłamany.

- Każdy człowiek jest zakłamany.

- Tak, ale gdzieś istnieje granica.

- Nie gdzieś, tylko tuż za pierwszym, najniewinniejszym kłamstwem.

- Chcesz powiedzieć, że cały czas mnie oszukiwałeś?



- Sama sobie odpowiedziałaś. - Wyszedł do kuchni.

- Jesteś wyjątkowo szczery i miłutki! - zawołała. - Naprawdę, szkoda, że tak późno. Czy mam cierpieć jak więzień pozbawiony szansy ucieczki?

-Poszła za nim.

- Skończ z tym patosem, bo przypominasz mi moje skrzywienie zawodowe. Szansa ucieczki najczęściej przychodzi z zewnątrz.

Chwyliła go za ramiona i z wściekłością o jaką siebie nie podejrzewała, zaczęła nim potrząsać.

- Ja cię nie poznaję! Jesteś cynikiem! Przecież ja cię kocham. Jak ty sobie wyobrażasz, co mam z sobą zrobić?

- Wybacz.

- Wybacz? I to wszystko?! Jaki ten twój świat jest prosty! Zmieniasz kobietę jak samochód. Chyba powinnam ci być wdzięczna, że do końca mnie nie zużyłeś, tak że nie nadaję się jeszcze na złomowisko. - Zamilkła i podjęła ironicznie: -Podwozie nie uszkodzone, silnik też w porządku, no, jedynie coś w blacharce by się znalazło. Ale to się da wyklepać i zalakierować. -Ponownie umilkła, po czym odezwała się z jadem w głosie:

- Ty oszalałeś! Jak mogłeś zrobić mi coś takiego?! Nadużyłeś mojego zaufania. Dobrze grałeś swoją rolę w życiu, wyjątkowo przekonująco, lepiej niż w teatrze. A ze mnie marny reżyser, skoro dałam ci się omotać.

- Przeżyliśmy wspólnie wiele pięknych chwil...

- Jak śmiesz teraz coś takiego mówić do mnie?! - krzyknęła oburzona.

-Brak mi... brak mi słów.

Zapadło długie milczenie. Przerwała je Magda.

-Nie, nie wierzę ci... Ty kłamiesz... To niemożliwe, co mi powiedzia-

łeś... Nie wierzę ci. Po prostu ci nie wierzę! Może zrobiłeś sobie mały wyskok...

- Na jakim świecie żyjesz, że mi nie wierzysz?

- Gdybyś istotnie chciał odejść ode mnie, tobyś odszedł bez słowa, wyjechał i koniec.

- Nie, nie mógłbym tak postąpić.

- Co za poczucie przyzwoitości! A jednak w to wszystko nie wierzę. Grasz. Jak pokerzysta. Czemu ze mną?

- Ta gra wciągnęła mnie całkowicie, wręcz zafascynowała. Niedawno doszedłem do wniosku, że przestaje mnie bawić. No bo w końcu, jak długo można grać, stale wygrywając? To się po prostu staje nudne, nudne jak diabli. Wiesz zapewne, że w hazardzie, jeżeli jeden z partnerów jest marnym graczem, to nie daje żadnej satysfakcji drugiemu. Żadnej. Przykro mi, że musiałem ci to wszystko powiedzieć.

- Ty mówisz... poważnie? - Oczy Magdy zaczęły się rozszerzać i gasnąć.

- Czy wyglądam na kogoś, kto żartuje?

- Nie, nie mogę uwierzyć.

- To uwierz, do diabła! Zawsze mnie intrygowało, na ile potrafi się zdobyć kobieta wobec ukochanego mężczyzny. Zbieranie takich doświadczeń jest niezwykle pasjonujące. Muszę przyznać, że twoje możliwości są przeogromne... Tak, jadłaś mi z ręki niemal od razu. Pamiętasz nasze trzecie spotkanie?... Wziąłem cię po kwadransie. Kim więc jesteś? Dziwką. W okamgnieniu rozwaliłem twój niepewny po rozwodzie świat, zagościłem w twoim umyśle na dobre. Taka byłaś naiwna.

Patrzyła na niego zaszklonym wzrokiem.

- Wydawałeś mi się uczciwy...

- A cóż to za stwór, ta przesławna uczciwość. Powiem ci - to coś, co w gruncie rzeczy nie istnieje na tym świecie. Bo nie ma ludzi uczciwych. Także ty nie jesteś uczciwa...

- Kiedy się oszukałam?

- Nie chodzi o mnie. Zrób sobie mały rachunek sumienia, a przyznasz mi rację. Świat to dżungla. Silniejszy bądź sprytniejszy wygrywa. Przetrwąć za każdą cenę, ofiary sienie liczą. Banaly, prawda? Uczciwość, sprawiedliwość? W bajkach. Albo kryminałach. Dobro w nich zawsze zwycięża, a zło jest ukarane. Kto uważa, że w życiu też tak być powinno, musi się nad sobą mocno zastanowić... czy jest normalny. Bo według mnie taki ktoś ma coś z głową. Nawet książe ta Kościoła lubią sobie dobrze zjeść, wypić, pobalować, opływać w luksusy, a to, że gdzieś ludzie przymierają głodem, obcho-  
dzi ich tyle, co guzik przy sutannie. Chyba że już jest wytarty. Człowiek jest tylko człowiekiem, a nie zaprogramowaną maszyną. Zatem te wszystkie żale, kierowane do drugiego człowieka, to jedna wielka pomyłka, gdy idzie o adresata. Nie do bliźniego z żalami. Ci, co wierzą w Boga - do Niego, a pozostali niech się pofatygują do zoo i od serca pogadają z małpami. A kiedy pewnego ranka obudzimy się i stwierdzimy, że słońce wstaje po zachodniej stronie, będzie to oznaczało ni mniej, ni więcej, jak zmianę wszelkich wartości i pojęć.

Sprawiedliwość - zachnął się lekceważąco i po krótkim milczeniu, nie zważając, że Magda wpatruje się w niego przerażona, ciągnął z gorzkim przejęciem: - Niestety, tu już wkracza się w sferę szczęścia, loterii, gdzie wszyscy mają równe prawa i szanse, gdzie panuje naprawdę ta okrzyczana

sprawiedliwość, bo tylko w tym kontekście można o niej mówić. To, co ustalają sami ludzie, nie jest żadną sprawiedliwością to naginanie norm natury do własnych celów, to jej zniekształcanie, podobnie zresztą jak w sztuce, którą nazywa się zdeformowaną rzeczywistością.

- Ja cienie poznaję... Ty nie jesteś sobą, nie wiem, kim jesteś. - Teraz już nie wytrzymała. Szybko ubrała się, wzięła parasol i wyszła, mocno trzaskając drzwiami.

Na dworze ciągle padało, ale zdawała się tego nie odczuwać, bo nie otworzyła parasola. Prawie biegła, chcąc być jak najdalej od miejsca, w którym została do cna upokorzona przez najbliższego przyjaciela.

Henryk Zawada zjadł kolację, otarł usta serwetką, wstał i sięgnął po zapalki, leżące obok gazowej kuchenki. Przeszedł do pokoju i zapalił cygaro. Gdy rozsiadł się wygodnie na sofie i wziął gazetę, zadzwonił telefon. Nawet się nie ruszył. Usłyszał, jak żona podnosi słuchawkę i podejmuje rozmowę.

- Dobrze. Na razie - zakończyła po paru minutach pani Helena i weszła do pokoju. - Roman był wczoraj u Pawła. Och, Paweł o siebie nie dba.

Obojętnie popatrzył na nią.

- Ciężko mu się rozmawiało - ciągnęła. - Paweł się upija, wręcz nie jest sobą.

- Upija się?

- Nie, Roman mi tego nie powiedział, lecz wyczułam z jego słów, że zgadłam.

74

75

- Każdy raz po raz lubi sobie wypić. Pani Helena przyjrzała mu się

uważnie.

- Ty nadal to wszystko traktujesz z lekceważeniem.

- Wszystko, to znaczy co?

- Może mi wreszcie wyjawisz, co się w naszej rodzinie dzieje?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem. No, coś chłopakowi odbiło i wyprowadził się - dorzucił rozeźlony i wziął pilota; włączył telewizor. Akurat nadawano program związany z obchodami jutrzejszego Święta Niepodległości.

- Odbiło! Żeby tak się wyrażać o własnym synu! Jutro się do niego wybiorę.

- Lepiej zostaw go w spokoju - upomniał ją szeptem, ale tak nie znoszącym sprzeciwu, że pani Helena prawie struchlała.

- Doprawdy, nie pojmuję cię! - uniosła się po chwili. - Skoro ty się nim nie interesujesz, to ja muszę coś zrobić!

- Powiadam ci, że Paweł ma jakieś osobiste kłopoty i chce je załatwić po swojemu. Jest dorosły. Jak się ożeni, to się odmieni. Na mój gust, za długo zwleka i Magda gotowa mu zrobić przykrą niespodziankę.

Pani Helena podrażniona obrzuciła go wzrokiem.

- Zastanawiające, że z Romanem wszystko jest jak najlepiej - powiedziała, siadając obok niego.

- Jezu, ty znowu swoje... Właściwie co chcesz mi dać do zrozumienia, Heleno?

- Nic. Po prostu mówię to, co myślę.

- Nieraz warto coś przemyśleć. Zaraz, zaraz. Z twoich słów wnoszę, że Roman także powinien być, nie wiem, inny. Bo coś się wydarzyło, o czym obaj wiedzą, co?

- Tak, dokładnie tak, Henryku.

- No to myśl sobie tak dalej - warknął i powrócił spojrzeniem na ekran telewizora.

- Dobrze, masz rację, nie pojedę do Pawła. Prędzej czy później sam do nas przyjdzie.

Mruknął aprobowująco.

- A to łotry - rzucił pod adresem dyskutujących polityków. - Zobacz, co te sukinsyny wygadują jak się wymądrzają. Tak długo w pierdłu siedzieli i niewiele się nauczyli. Za mało w dupę dostali.

- Wyrażaj się, mój drogi. Na szczęście trzymam się z daleka od polityki.

- Paweł ma to po tobie - rzekł i wypuścił z ust chmurę dymu - choć wcześniej wydawało się, że na dobre zacznie się w tym paprać.

76

Maria Małgorzata wysiadła z ciemnozielonej skody favorit i poszła do swojej przyjaciółki. Zastała ją przymierzającą nową suknię. Kiedy wymieniły opinie na temat ubioru i usiadły przy herbacie, Alicja zapytała:

- Znalazłaś znawcę antyków?

- Tak. Obejrzał meble, ocenił i stwierdził, że jest szansa na ich sprzedaż.

Matka dobrze o nie dbała. Powiedział, że rozejrzy się za klientami i da mi znać. To trochę potrwa. A na śmietnik ich nie wyrzucę, choćbym miała długo czekać na jakiegoś nabywcę.

- Zrozumiałe. Słuchaj, muszę ci jednak o tym powiedzieć.

- O czym?

- Wczoraj był u mnie pewien adwokat, obrońca tego faceta, który zamordował twoją matkę.

- U ciebie był?! - nie dowierzała Maria Małgorzata.

- Tak, tutaj, nawet siedział na twoim miejscu. Nic z tego nie rozumiem.

Pytał, czy tamtego tragicznego dnia, zanim wstąpiłyśmy do twojej matki, ty do mnie przyjechałaś, czyja do ciebie.

- Co takiego? - Maria Małgorzata złowieszczo przymrużyła oczy. -I co jeszcze?

-To wszystko.

W czwartkowe popołudnie Iwona zaproponowała Romanowi:

- Co byś powiedział na przejażdżkę za miasto do tego przyjemnego motelu? Pogoda jest ładna - dodała, nie widząc jego zainteresowania.

Roman oderwał wzrok od dokumentów, nad którymi siedział od obiadu, i zapatrzył się w okno. Ciemnopomarańczowe słońce zachęcało do wyprawy. Zerknąwszy na Iwonę, która wydała mu się ponętnie rozmarzona, przygryzł koniec długopisu i zapytał:

- Dzieci zabierzemy?

- Wątpię, czy Marka odciągniemy od komputera, a Beatkę od lalek. -To nawet lepiej.

- Pewnie. Dalej, zostaw te papierzyska i odpręż się. Ostatecznie, mamy dziś święto.

- Masz rację. - Odchylił się na krześle i wyciągnął ręce, aż zatrzeszczały w stawach. Ziewnął.

77

-Wydaje mi się, że za dużo pracujesz.

- Dziwne, że nigdy nie powiedziałaś czegoś podobnego w odniesieniu do pieniędzy, które zarabiam.

Iwona pogroziła mu palcem i pochyliwszy się, cmoknęła go w skroń.

- Rusz tyłeczek i jedziemy - szepnęła z nieco lubieżną zachętą w głosie. Po kwadransie mknęli samochodem w stronę Białych Błot, do motelu

„Karina”, gdzie w przeszłości parokrotnie już bywali. Iwona podziwiała jesienne uroki lasu. W przeciwieństwie do Romana lubiła tę porę roku. Dla niego istniało jedynie lato, co uważała za nader pospolite.

Na parkingu stało kilkanaście wozów, połowa z nich to ciężarowe z zagraniczną rejestracją. W restauracji siedziało parę osób. Usiedli przy oknie. Postanowili dogodzić swoim podniebieniom. Zamówili kawową roladę i po kieliszku czerwonego wina. Jedząc rozmawiali najpierw o rodzinnych problemach, zwłaszcza o dzieciach, wreszcie łagodnie, jak z niezbyt stromego zbocza, schodzili na znacznie przyjemniejszą stronę małżeństwa, gdzie kłopoty są w niepamięci, a tylko seks się liczy. Naraz rozemocjonowana Iwona spojrzała przez okno i zauważyła z entuzjazmem:

- Popatrz, Paweł przyjechał!

Roman podniósł wzrok. Paweł zatrzymał się swoim autem o trzy wozy od ich peugeota i wysiadł z niego razem z młodą kobietą.

- To nie jest Magda - stwierdziła Iwona, przyglądając się wysmukłej brunetce, która mówiła coś do Pawła i wskazywała na pobliską ścianę lasu.

- Nie. - Roman włożył do ust kolejny kęs rolady i ponownie zainteresował się bratem i Marią Małgorzatą.

- Wydaje mi się, że oto mamy prawdziwą przyczynę wyprowadzenia się Pawła z domu. Magda mu się znudziła?

- Och, przestań - zachnął się i zajął się swoim przysmakiem.

Iwona nadal gapiała się przez okno. Wtem spostrzegła coś znamiennego. Paweł wskazał brunetce granatowego peugeota Romana, a ona zaraz coś mu powiedziała i po chwili oboje zawrócili. Wsiedli do wozu i odjechali.



- Rozumiesz coś z tego? - dociekała Iwona zauważywszy, że Roman także zerka w okno. - Paweł wyraźnie nie chciał się z nami spotkać. Bądź z tobą. Co?

Roman wydał policzki.

- Nie jestem prokuratorem - powiedział.

- Tyle to i ja wiem. - Iwona odłożyła widelec, upiła nieco wina i zamyśliła się.

- O co chodzi? - zapytał Roman.

- Wydawało mi się, że Paweł jest w porządku wobec Magdy.

78

- O rany, ale ci się zebrało.

- Nic takiego, po prostu mimowolne stwierdzenie czegoś. Nie - dodała zasepiona - to nie to, tu musi chodzić o coś innego, że wyprowadził się z domu.

-O co?

- Skąd mam wiedzieć? W każdym razie znacznie więcej was dzieli, niż łączy. Czy on jest zazdrosny o twoje sukcesy zawodowe?

-Nie. Ani ja o jego. To chyba jedyna dziedzina, w której mi nie zazdrości.

- Ooooo!... Nic mi dotąd nie powiedziałaś, jak przebiegła wasza wczorajsza rozmowa.

- Powiedziałem.

- A ja jestem zakonnica. O ile pamiętam, rzekłeś „tak sobie”. Przyznasz, że jak na wygadanego prawnika nie była to wyczerpująca wypowiedź.

Gdybyś takie mowy wygłaszał w sądzie, to wszyscy twoi klienci byliby skazywani.

Roman zignorował tę uwagę.

- Smakuje ci rolada? - zmienił temat.
- Smaczna. Rzeczywiście, jestem zakonnica. Bardzo mi smakuje. Słuchaj, czy znalazłby się tu wolny pokój?
- Teraz? - Roman zerknął na nią zaintrygowany. Iwona czarowała go uwodzicielsko.
- Jasne, że teraz, adwokaciku. Jak zjemy. Co ty na to? Pokiwał głową.
- Załatwię ten pałacy problemik.
- Nie tyle chodzi o pałacy problemik, ile o wspomnień czar.
- Niepoprawna romantyczka.
- Niepoprawny antyesteta. - Rozejrzała się i pochyliła nad stołem. - Pocałuj mnie na dobry początek.

Zrobił to.

- Rany, jak cię chcę - westchnęła lubieżnie.

To, co lubił u swojej żony, to właśnie owo nieskrępowanie w rozmowach o seksie. Nie istniał dla niej temat tabu. Lubiła nazywać rzeczy po imieniu, rządzić nim w łóżku, co mu bardzo odpowiadało. Miłość miłością, a seks seksem, lubił jej wtedy mówić, a ona nie pozostawała mu dłużna i odpowiadała z zacięciem, że seks i miłość są jak brat i siostra - od pewnego momentu się rozchodzą.

I zwykle nie miał nic do dodania.

79

VIII

Minęło kilka dni. Magda ciągle nie mogła dojść do siebie po rozmowie z Pawłem, która spowodowała u niej niemały szok. W głębi duszy liczyła, że Paweł nie był szczery, utrzymując ją w przeświadczeniu, iż chodzi o jego nowy romans - może ta brunetka to nic nie znaczący epizod. Gotowa

była mu przebaczyć. Łudziła się, że Paweł przyjedzie do niej, Magdy, w minioną sobotę czy niedzielę, ale się przeliczyła. Nawet nie zadzwonił. Swoją przyszłość u jego boku zaczęła widzieć w ciemnych barwach. W teatrze dyskutowali z sobą wyłącznie o kwestiach zawodowych. Mimo że wielokrotnie miała ochotę wrócić do rozmowy na tematy osobiste, a okazji nie brakowało, powstrzymała się przed takim krokiem, częściowo dlatego, że tym razem kobieca ambicja trzymała ją krótko na uwieży, ona zaś nie próbowała się wyrywać. Inna rzecz, że to ją zwyczajnie krępowało. Siedziała w swoim mieszkaniu, popijała herbatę z cytryną i bezwiednie wpatrując się w obraz na ścianie, pejzaż Kandinskiego, reprodukcję niestety, słuchała Błękitnej rapsodii Gershwina, którą bardzo lubiła, i rozmyślała o nich obojgu - Pawle i tajemniczej brunetce. Przypominała sobie także wcześniejszą rozmowę z Romanem. Coś jej nie pasowało. Nie pasowało. Któryś z nich kłamał, a przynajmniej nie był szczery wobec niej, czuła to; rozważała też możliwość, że obaj nie mówili całej prawdy. Postanowiła, że nie podda się tak łatwo, musi się przemóc i walczyć do końca, do całkowitego wyjaśnienia konfliktu. Sukcesu albo klęski. Taka już była.

Nazajutrz, gdy Paweł zjawił się w teatrze i z innymi aktorami stanął na scenie, zaproponowała po godzinnej próbie przerwę. Wyjaśniła, że ma coś pilnego do załatwienia w jakimś urzędzie. Jak przewidywała, nikt ze sceny nie zszedł, po prostu próba szła dalej.

Poszła do garderoby, zdecydowana na desperacki czyn, jakiego w żadnej innej sytuacji by nie popełniła, nie zważając na ewentualne przykre następstwa - wykradła Pawłowi z płaszcza klucz i taksówką pojechała do jego mieszkania. Spodziewała się, że znajdzie tam rozwiązanie zagadki.

Zresztą nie miała pojęcia, czego właściwie poszukuje.

Poszperawszy tu i tam, znalazła w wewnętrznej kieszeni jednej z marynarek kopertę, a w niej zapisaną kartkę. Rzuciła na nią pobieżnie okiem i chciała ją wcisnąć z powrotem, ale przeczytawszy parę linijek, przysiadła na brzegu krzesła i zagłębiła się w lekturze, która z każdym zdaniem pochłaniała ją coraz bardziej.

Skończyła czytać. Przez pewien czas nie umiała sobie przyswoić rewelacji zawartych w liście. Utwierdziła się w absolutnym przekonaniu, że oto właśnie znalazła przyczynę odejścia Pawła z rodzinnego domu. Schowała list z powrotem do marynarki, zamknęła szafę i przeszła do kuchni. Na parapecie zobaczyła opróżnioną do połowy litrową butelkę wody mineralnej. Napełniła wodą szklankę i wypila prawie duszkiem. Głęboko odetchnęła, jakby chciała się pozbyć balastu.

Wróciła do pokoju i usiadła przy stole. Jej wzrok padł na rękopis Pawła. Wzięła go do ręki, domyślając się od razu, że jest to jego nowa sztuka, na razie w szczegółowym konspekcie. Jej ciekawość przerodziła się znowu w zdumienie, gdy się zorientowała, że to inny temat, nie ten, który zaczął pod koniec sierpnia.

- Boże - szepnęła - on pisze o tym...

Paweł spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej.

- Zróbmy przerwę - poprosił partnerów. Nie czekając na ich zgodę, choć Mirosław Rzeszowski, jego znacznie starszy kolega, zaczął coś tam wykrzykiwać o poszanowaniu barowych kamratów, bezceremonialnie opuścił scenę i poszedł do baru z tyłu budynku.

Był to nieduży, ładnie urządzony lokal na modłę tej świątyni słowa. Parę osób siedziało przy stolikach. Często tu zaglądali ludzie z zewnątrz, nie

mający z teatrem nic wspólnego. Paweł rozpoznał jedynie młodą charakteryzatorkę, która dawniej podkochiwała się w nim, i garderobianego, starszego faceta o ujmującym sposobie bycia - oboje byli zajęci rozmową.

Paweł kupił piwo i zajął miejsce nie opodal nich. Wyciągnął z kieszeni gazetę, przeczytał krótki artykuł z kolumny kulturalnej i na nim poprzestał. „Dlaczego nie ma nic o mnie?” - pomyślał nieco zawiedziony i zadumał się nad swoimi problemami rodzinnymi, chyba po raz setny, odkąd nieoczekiwanie - nawet dla samego siebie - wyniósł się z domu. Pamiętał, że zrobił to bez namysłu: wiedziony impulsem, po prostu opuścił rodziców, a zwłaszcza ojca. Na zawsze - tak postanowił. Nie mógł dalej z nim mieszkać pod jednym dachem, chociaż go kochał, bo to jego ojciec, a może właśnie dlatego...

Nigdy nie zapomni tej daty, piątego września, gdy dostał nieoczekiwany list, który wręcz z godziny na godzinę wywołał niesamowite zamieszanie w jego życiu. Do tamtej pory bowiem żył beztrąsko. Jedyne problemy, którymi się przejmował, wiązały się z pracą, karierą. Czy dobrze wypadnie na scenie, czy krytyka orzeknie, że był przekonujący w tej czy innej roli i doskonale

80

oddał rys psychologiczny postaci, czy też nie zostawi na nim suchej nitki. Na razie wiodło mu się nie najgorzej, także jako dramaturgowi. Śmieszne problemy, doprawdy.

Zdawał sobie sprawę, że ma w sobie coś z masochisty, no bo ciągle powracał do tego samego. Lecz nie użalał się nad sobą, raczej miotał się w pułapce, którą los na niego zastawił. Od rozmów z Romanem i z Magdą

czuł się podle.

Nadal nie miał pojęcia, jak sobie ułożyć życie; wynajęte lokum uważał za przystanek, a nie stację. Sytuacja, w jakiej się znalazł, coraz częściej skłaniała go do rozmyślań o małżeństwie z Magdą i zamieszaniu się w jej obszernym, ładnym mieszkaniu, bynajmniej nie z powodu wygodnictwa. Lecz dotąd nie był gotowy na taki krok, jakkolwiek mogłoby to przecież załatwić szybciej niż ekspresowo, a związek małżeński był ostatnią rzeczą która pozwoliłaby im na wspólne życie. Poza tym musiały się jej zwierzyć ze swoich problemów spowodowanych nieszczęsnym listem, a nie wiedział, z jaką reakcją się spotka, mimo że doskonale Magdę poznał (tak przypuszczał); czy nagle sienie okaże, że to będzie koniec ich przyjaźni. Cholernie mu na niej zależało.

Wypiwszy piwo, postanowił coś zjeść. Ponieważ tu nie widział nic, na co miałby ochotę, zdecydował się wyskoczyć do baru. Poszedł do garderoby, założył płaszcz i wyszedł.

- Wystarczy na dziś - powiedział Roman do sekretarki i położył plik dokumentów na jej biurku. - Niech pani też idzie do domu. Ostatnio sporo się pani napracowała, pani Bożenko.

Posłała mu wdzięczne spojrzenie.

- To prawda, ale muszę jeszcze parę spraw załatwić.

- Zawsze podejrzewałem, że mężczyźni wykorzystują bez skrupułów pracowite kobiety - powiedział żartobliwie.

- Zatem nie ma zmartwienia - rzekła wesoło.

- Jak to?

- Podejrzenie jest tylko podejrzeniem, dopóki się nie dowiedzie, iż jest prawdą. Nieprawda, panie mecenasie?

- Prawda, pani Bożenko - przyznał rozbawiony.

Gdy zakładał płaszcz, zadzwonił telefon. Sekretarka podniosła słuchawkę i po chwili przekazała ją Romanowi, który po krótkiej rozmowie wyszedł.

Na pierwszym piętrze wstąpił do biura maklerskiego, gdzie złożył zlecenie na zakup akcji. Grał na giełdzie papierów wartościowych od pół roku, ze zmiennym szczęściem. Kiedy załatwił z maklerem, przeszedł do holu. Tu już czekał jego telefoniczny rozmówca, łysawy mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Przywitali się.

Mężczyzna ów miał wobec niego dług wdzięczności, nie do spłacenia w żadnej walucie, toteż Roman raz po raz korzystał z jego usług. Polegały one na nieoficjalnym zbieraniu różnych informacji w sprawach, które Roman prowadził. Facet był inteligentny, sprytny i dość często zdobywał to, czego Roman potrzebował.

- Tamtego dnia Lewandowska wyszła ze swojej firmy o dziesiątej, a wróciła krótko po dwunastej - rzekł informator.

- Na pewno chodzi o dziewiętnasty października?

- Na pewno.

- Dokąd poszła?

- Do lekarza. Nie dotarła jednak do niego. Roman uniósł brwi.

- Ustalił pan coś więcej?

- Niestety. Ślad się urwał.

- Szkoda. Ale dziękuję za informację. - Podał mu rękę i wyszedł na ulicę, kierując się w stronę Gdańskiej, gdzie wstąpił do sklepiku z upominkami. Kupił to, czego poszukiwał - elegancką zapalniczkę, identyczną, jaką widział u Marii Małgorzaty.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, Magda zdecydowała się ponownie

pojechać do Pawła. Zamierzała postawić sprawę po męsku.

- Powinniśmy szczerze pomówić - oznajmiła stanowczo, gdy Paweł otworzył drzwi. Bezceremonialnie wepchnęła się do jego mieszkania. Zdjęła płaszcz, usiadła w pokoju i z wielką swobodą jak jakaś luksusowa dziwka, założyła nogę na nogę.

Paweł wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. Najpierw także usiadł, lecz zaraz wstał i podjął bezcelową wędrówkę od ściany do okna i z powrotem.

- Płacą ci za kręcenie kilometrów? - zapytała z ironią. Na jego twarzy pojawił się przelotny grymas.

- Nie spodziewałem się ciebie.

- Mógłbyś być miłszy - syknęła z zacięciem.

82

83

- Przepraszam.

- Paweł - odezwała się pogodnie, ale stanowczo, jak kobieta wreszcie pewna swego - nie wierzę w twoją bajeczkę. Jesteśmy dorośli, porozmawiajmy otwarcie, dobrze? Zdobądź się na zwyczajną męską odwagę. Różne bywają w życiu problemy i każdy, kto je ma, podchodzi do nich serio. Zwierzenie przynosi ulgę - dodała, chcąc mu dać do zrozumienia, że jest gotowa potraktować poważnie jego wyjaśnienie.

- Czasami - przyznał.

-Próbowałam dociec, dlaczego tak postąpiłeś wobec mnie, ponieważ ciągle nie mogę się pogodzić z tym, że nagle mnie potraktowałeś jak szmatę. To nie byłeś ty. A teraz zamieniam się w słuch - uzupełniła z powagą nauczycielki zwracającej się do krnąbrnego ucznia.



- Zdziwiasz mnie.

- Czyżbyś tak słabo mnie znał? No, słucham.

- Dobrze, masz rację, porozmawiajmy. - Podeszedł do szafy, sięgnął do marynarki i podał jej list. - Proszę, najpierw to przeczytaj. Przyjemnej lektury. - Wsadziwszy ręce do kieszeni, ostentacyjnie odwrócił się do niej plecami.

Wprawdzie Magda znała jego treść, lecz przeczytała raz jeszcze, a potem udała zaskoczoną, co nie przyszło jej trudno; przecież już tę historię zdążyła przetrwać i wysnuć z niej wnioski.

- Cóż, wygląda na to - powiedziała - że obawiałeś się, iż kiedy się pobierzemy, to ja prędzej czy później dowiem się o twoim ojcu. Powiedz, było tak?... Milczysz. Milczenie jest potwierdzeniem. Wolaleś zatem, bym cię teraz znienawidziła za porzucenie mnie, niż potem za prawdę o przeszłości twojego ojca. Zrobiłeś ze mnie ostatnią dziwkę, bym jak najszybciej cię przeklęła. Znam twój charakter. A co się tyczy przeszłości twojego ojca, to nie ma ona dla mnie żadnego znaczenia... Chcę, żebyś o tym wiedział.

Paweł wolno się odwrócił i wbił w nią pełen niedowierzania wzrok.

- Tak, nie ma - zapewniła z całą powagą.

- Co ty mówisz? - zdumiał się i pochylił ku niej.

- Nie ma - powtórzyła.

- Nie mogę pojąć, że tak nagle... jak, jak z bicia trzasł... wydajesz swój sąd o czymś tak poważnym...

- To uwierz.

- ...podczas gdy mnie...

- Proszę cię, Paweł, uwierz! - przerwała mu.

- Nie... - mamrotał i usiadłszy, objął głowę rękoma - nie... nie mogę, Magda, nie mogę uwierzyć... Nie jesteś szczerą, powiedziałaś to bez zastanowienia, jakbyś wybaczała mi pijacki wieczór. Magda, to nie ten kaliber sprawy. Rozumiesz?

Magda opuściła oczy i w duchu przyznała mu zupełną rację.

- Chryste - ciągnął - przecież kiedy bierzesz jakąś sztukę na warsztat, sztukę teatralną - podkreślił z zacięciem - to maglujesz ją dziesiątki razy, prześwietlasz, czy aby rzeczywiście dramat jest dla ciebie przekonujący, a tu, gdy masz do czynienia z kawałkiem autentycznego życia, nie z wymyśloną powiastką to przyklaskujesz od razu. Jak to możliwe, Magda?!

- Masz rację - przyznała zawstydzona i spojrzała mu prosto w oczy. - Przed południem byłam tutaj - dodała i wyjaśniwszy mu wszystko, przeprosiła go za ten występki.

- Nie, nie gniewam się... - odrzekł po chwili.

- Tylko mi teraz nie mów, że kilka godzin rozmyślenia o tej tragicznej sprawie, to za mało. Mnie wystarczyło, by powiedzieć ci to, co powiedziałam. I jeszcze raz powtarzam, że przeszłość twojego ojca nie ma dla mnie znaczenia.

Paweł ponownie rozpoczął wędrówkę.

- Ale dla mnie ma - szepnął. - To moje korzenie.

- Lecz dla nas nie może mieć!

- Dla nas?... Nas już nie ma.

- Jesteśmy. - Przełknęła ślinę i ostrożnie zapytała: - Kim jest ta brunetka?

Niedawno widziałam cię z nią.

Spojrzał na nią zaskoczony i odpowiedział:

- To moja siostra. Moja i Romana. Z ojca. Nazywa się Maria Małgorzata Lewandowska.

- Siostra? - zdumiała się. - Wy macie siostrę? Wyjaśnił jej.

- Rozumiem - powiedziała. Długo milczeli.

- Pragniesz zostać żoną syna takiego...

- Twoją żoną-przerwała stanowczo i podeszła do niego. Przykleiła się do jego pleców, obejmując rękoma jego piersi, a podbródek oparła mu na lewym barku. Patrzyli gdzieś na ulicę, skąd dochodził głośny hałas samochodów.

- Jaki ten twój świat nieskomplikowany.

- Mylisz się. Jest równie pogmatwany jak twój. Moje życie nie składa się wyłącznie z pewników. Pełno w nim wątpliwości, barw jaśniejszych i ciemniejszych...

84

- Twój ojciec w minionych latach, w odróżnieniu od mojego, stał po drugiej stronie czerwonej barykady. Jestem pewien, że gdyby dostał się wtedy w łapy mojego ojca, marnie by skończył.

- Miał trochę szczęścia... Ty jednak nie musisz chodzić z pochylonym czołem z powodu swojego ojca. Wolno ci, a nawet powinieneś śmiało patrzeć przed siebie.

- Krew jest krwią. Ledwo się począłeś, a już ci zakodowano znamię. Od momentu, gdy trafił do mnie ów list, poczułem się intruzem w twoim życiu.

- Opamiętaj się. Niesłusznie się obwiniasz. Jesteś stanowczo za surowy wobec samego siebie. Czyżbyś cierpiał na schorzenie polegające na zniewoleniu swojego ego za pomocą fałszywego obrazu samego siebie,

którego źródło bierze się z przeszłości twojego ojca? To paranoja! Za kogo się uważasz?... - Oderwała się od niego i odwróciła go twarzą do siebie.

- Za nikogo. Jestem sobą.

- Za Chrystusa? -Za Chrystusa?!

- Tak, za Chrystusa.

- Co za pomysł?

- W tej sytuacji całkowicie na miejscu. Masz zamiar wziąć na swoje barki grzechy ojca? Jesteś człowiekiem, a nie synem Bożym. Zbyt wielki ciężar chcesz udźwignąć, a że nie masz boskiej mocy, więc upadniesz pod nim. Nie dasz rady. Pamięć czasu minionego musimy i powinniśmy wziąć na swoje barki, ale nie czyjeś grzechy.

- Mogłabyś zamilknąć?

- Słucham? Zamilknąć?

- Wybacz, twój patos działa mi na nerwy.

- Na przekór tobie nie powinnam zamilknąć.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie stają się patetyczni, ilekroć mówią o tak zwanych wielkich sprawach, które faktycznie są bardzo pospolite, bo przecież ludzkie.

- Próbowales kiedyś wbić gwóźdź palcem? -Palcem?!

- Widzisz, tu potrzeba młotka. A patos jest akurat takim młotkiem. Paweł usiadł, uderzył otwartą dłońią o udo. Magda oparła się o parapet i podjęła:

- Jakim prawem ty - złodziej, kłamca, oszust, bezbożnik...

- Złodziej?! - zamarł z okrzykiem na ustach.

- Z sekretariatu teatru wzięles raz ćwierć ryzy papieru i na pewno nie oddales!

Paweł uniósł brwi i nic nie powiedział.

- Zatem jakim prawem wystawiasz świadectwo moralności własnemu ojcu?! - atakowała zajadle. - Skoro nie uważasz się za syna Pana Boga, to co cię do tego upoważnia? Prawo kaduka?!

- Wyjątkowo pouczające - próbował ironizować. -Raczej uświadamiające.

- Co by powiedział twój ojciec, Magdo, gdyby poznał prawdę o moim ojcu? Nie mów mi, że nic.

- Och, to byłaby woda na jego młyn. Jezu, jak by się cieszył! -Co?

- Chcę przez to powiedzieć, że w moim życiu wszelkie decyzje ja podejmuję. Mój ojciec rozumuje podobnie jak ty - że zło przechodzi z genami. Zapewne, przynajmniej w jakiejś części. Ale czy to cała prawda? Dziecko jest jak plastelina, resztę sobie dopowiedz. Nie nad tobą wisi miecz przeszłości.

- A nad kim?

- Nad nami! Bez wyjątku. Musimy stawić czoło wyzwaniu czasu. Po zmianie znienawidzonego porządku społecznego nic się w mentalności Polaków nie zmieniło. Rozejrzyj się. Co zobaczysz?... Oszustwo, chciwość, złodziejstwo, pogoń za przywilejami, ignorancję. Nie wiesz przypadkiem, skąd my to znamy? Nie wspomnę o obłudzie - świętego krzyża jeden z drugim nie zdąży zawiesić w publicznym miejscu, a już zadowolony, że dobrze przysłużył się Panu Bogu, spieszy do knajpy i dziwki, a gdy mu to ktoś wytknie, to robi z siebie błazna, bo nie ma za grosz honoru, aby przyznać się do hipokryzji... Milczysz? Przypomniałam ci coś?

Paweł wydawał się przygaszony.

- I jeszcze jedno - nacierała z pasją, o jaką by siebie nie podejrzewała- z

dwojga złego przyzwoicie]' być uczciwym grzesznikiem aniżeli hipokrytą!  
Chciałam z tobą porozmawiać, czego mi nie ułatwiłeś. A teraz reszta należy do ciebie. - Wyszła na korytarz i sięgnęła po płaszcz. Zaczęła się ubierać.

- Nie odchodź.

- Nie. Wolałabym, żebyś nic nie mówił pochopnie. Pośpiech nie zawsze bywa najlepszym doradcą zwłaszcza gdy w grę wchodzi emocje. Jesteś wewnętrznie rozdarty, zagubiony i najchętniej byś się pozbył tego balastu, ale wiesz, że to nierealne. Powinieneś jeszcze raz w spokoju nad tym wszystkim się zastanowić. Najlepiej... na zamku Kronborg.

86

- Gdzie?! - krzyknął.

- W Helsingor! - Stała w drzwiach pokoju.

- Kronborg - uśmiechnął się smętnie Paweł. - Jeeezu...

- Tak, właśnie tam, gdzie twój ulubiony Hamlet się miotał.

- Nie odchodź. - Zbliżył się do niej i objął ją. - Poczekaj.

Nagle się roześmiali, jak nigdy dotąd im się nie zdarzyło. To było coś tak niesłychanie spontanicznego, że oboje byli tym zaskoczeni.

- Jesteś głodna?

- Głodna?

- Głodna.

- Trochę.

- Nic w domu nie mam. Skoczę coś kupić.

- Dobrze.

Patrzyli na siebie długo, jakby poznawali się od nowa; złączyli usta w pocałunku i na długo zapomnieli o świecie.

- Kocham cię, Paweł.
- I ja cię kocham. Tak mi cię brakowało.
- Lepiej nie wspominać. Było, minęło. A jak wygląda w twojej kuchni?
- Przeszła do drugiego pomieszczenia. - Zamówiłeś sobie tornado do sprzątnięcia?

Paweł wcisnął głowę w ramiona, ubrał się w kurtkę i wyszedł. Magda zakasała rękawy i w doskonałym nastroju, z nieprawdopodobną ulgą zabrała się do robienia porządków. W zlewozmywaku piętrzyła się góra brudnych naczyń. Wkrótce Paweł wrócił i wyłożył zakupione wiktuały, także butelkę szampana.

- Zrobimy wspaniałą kolację - powiedział.
- Jasne. Zajmę się nią, a ty postaraj się uporządkować resztę mieszkania. Wiem, że potrafisz.

W pół godziny później jedli kolację przy świecach, które na gołym, drewnianym stole wydawały się bardziej na miejscu aniżeli na wyłożonym nieskazitelnym obrusem.

- Zaraz przyjemniej tutaj wygląda - zauważyła Magda i włożyła do ust odkrojony kawałek marynowanej czerwonej papryki.
- Co byś powiedziała, gdybym się wprowadził do ciebie? Uniosła brwi.
- Jesteś pewien, że chcesz tego? - zapytała wręcz oschle, bez poprzedniej żarliwości.
- Tak.
- Naprawdę?
- Człowiek jest jak dojrzewający owoc. Myślę, że dojrzałem.
- Czyli z pić również skończyłeś, tak?
- Definitywnie - zapewnił. - Lecz to przecież nie była sztuka dla sztuki

-dodał z wyrzutem, jakby chciał usprawiedliwić wyższakonicznościadługi okres pijaństwa.

-Uporałeś się z problemem? -Tak.

- I czujesz się na siłach, aby pisać o tym?

Zerknął na regał, gdzie leżał jego rękopis, i wpatrzył się w Magdę.

- Czytałaś.

-No, rzuciłam okiem. Ciężko przeżywasz tę historię-

- Cóż, każdy ma swoje problemy, a żyć trzeba dalej.

- Otóż to. Nie masz zamiaru wracać do rodziców? -Nie. Chcesz, żebym u ciebie zamieszkał?

Magda, nie odrywając od niego wzroku, długo się zastanawiała, sama nie wiedząc, dlaczego tak się ociąga z odpowiedzią. -Tak.

- I chcesz wyjść za mnie?

- Tak. Nawet chcę mieć z tobą dzieci - dodała tonem zaprawionym odrobiną figlarności.

Paweł wpatrywał się w nią zauroczony.

- Czemu mi się tak przyglądasz? - zapytała. - Dopatrujesz się nieszczęrości w moich słowach?

- Tak mnie teraz widzisz?

- Troszeczkę. Powinnam była inaczej zareagować? -Nie wiem, co odpowiedzieć.

- Powinnam była przejąć się twoją opowieścią? - atakowała. - Bądź szczery, co?

- Nie wiem, Magda, nie wiem...

- Chyba rzeczywiście nie wiesz. Lecz stało się jak się stało, i jest, jak jest.

Koniec, kropka.



-Magdo...

- Chcesz mnie? -Bardzo. A ty mnie? -Bardziej.

- Jesteś wspaniała...

89

Henryk Zawada siedział w swoim gabinecie. Lubił przesiadywać przy biurku i patrzeć na przeszklone szafy pełne książek. W przeszłości właśnie tutaj spotykał się z klientami bądź kolegami po fachu i omawiał rozmaite sprawy, szczególnie te skomplikowane, które wymagały iście dyplomatycznych zabiegów. Odkąd przeszedł na emeryturę, spędzał tu sporo czasu -rozpamiętując, patrząc, nudząc się...

Dzisiaj po raz kolejny wnikliwie roztrząsał swoje życie, dokonywał rachunku sumienia. Dzięki znakomitej pamięci niektóre wspomnienia rysowały mu się wyjątkowo wyraziście, pełną gamą barw, zapachów i dźwięków -były to wspomnienia zła, którego sporo rozsiał w swoim życiu. Nie mógł ich wyrzucić, jak się coś wyrzuca za drzwi, gdyż i tak by powróciły.

Zresztą nie chciałby tego robić, wiedział bowiem, że to normalna kolej rzeczy, gdy się jest u progu śmierci. Słyszał dawne rozmowy, nakładające się na siebie niczym w nieprecyzyjnie dostrojonym radiu i potrafiące nieprzyjemnie drażnić ucho, okrzyki bólu, rozpacz, wściekłe przekleństwa i złorzeczenia, wreszcie płacz...

Zmęczony wyszedł na balkon i utkwiał wzrok w ciemnogrnatowe niebo.

Wiedział, że za parę miesięcy przestaną go męczyć zmary przeszłości. Ale czy na pewno?

Przypomniał mu się sen sprzed jakiegoś czasu. Ten obraz...

IX

W piątek po południu Paweł zdecydował się wprowadzić do Magdy.

Wczorajszego wieczoru w teatrze w ogóle nic jej nie wspomniał o swoim zamiarze, oczekiwał więc, że będzie bardzo mile zaskoczona.

Cały swój niewielki dobytek spakował do trzech dużych neseserów, z wyjątkiem książek w kartonach, rozliczył się z panią Kierblewską, właścicielką mieszkania, i wyjechał, tak jak się wyjeżdża z marnego hoteliku, w którym są karaluchy, przykry zapach i wiecznie zepsute krany z rdzawą wodą - bez odrobiny żalu.

Nie omieszkał nadłożyć nieco drogi, aby z okien samochodu spojrzeć na rodzinny dom. Z pozoru minął go obojętnie, ale w głębi duszy coś mu drgnęło. Sentyment, którego trudno się pozbyć. Kiedy dotarł na miejsce, przestał się tym zadreć.

Magda otworzyła drzwi zaraz po dzwonku, jakby usłyszała alarm.

Ujrawszy Pawła i jego bagaż, uśmiechnęła się i bez słowa, wytwornym, scenicznym gestem zaprosiła go do siebie. Potem się przywitali, także w milczeniu.

Nie rozpakował się od razu. Postawił nesesery w korytarzu, książek na razie nie przyniósł, i rozejrzał się po obszernym, ze smakiem urządzonym mieszkaniu, pełnym rozmaitych drobiazgów, w których Magda się lubowała; jakby tu był pierwszy raz.

- Przyzwyczaisz się, prawda? - powiedziała. - Przecież twoje fluidy też tu krążą więc tym łatwiej... A ponieważ zamieszkasz u mnie, trzeba będzie przeprowadzić małe przemeblowanie. Właściwie to chcę wymienić meble w dużym pokoju i w sypialni. Dotąd mi nie wadziły, ale teraz będzie okazja.

- Stać nas na to? - zapytał, starannie dobrawszy słowa.

- Jasne. Nawet już sobie upatrzyłam ładne komplety. - Podeszła do niego i przytuliła się.

- Jesteś naprawdę pewna, że pragniesz mnie u siebie?

- Tak. A ty jesteś pewien, że chcesz być ze mną?

- Tak.

- Obyśmy zawsze byli tacy zgodni... - Oderwała się od niego na długość rąk i wpatrzyła się w niego. Pocałowała go. - Chodź, pomogę ci się rozpakować.

- Znajdziesz miejsce w swoich szafach?

- Są przepastne. Nawet gdy będzie z nami dwoje dzieci.

- Magda, kocham cię.

- Wiem. I ja cię kocham.

Roman postanowił ponownie porozmawiać z Joanną, żeby dowiedzieć się od niej czegoś więcej o jej mężu. Musiał być przygotowany na różne ewentualności, jakie mogą nieoczekiwanie wyniknąć podczas zbliżającej się drugiej rozprawy.

Ponieważ nie miała w domu telefonu, odwiedził ją bez uprzedzenia o szóstej wieczorem. Wyglądała na zażenowanego wizytą, ale okazała serdeczną gościnność.

Roman szybko się domyślił przyczyny jej zakłopotania, gdy stwierdził, że w mieszkaniu, dwóch pokoikach z małą kuchnią panuje spory bałagan. Znał Joannę jako dziewczynę dbającą o siebie i przypuszczał wtedy, że była-

90

91

by doskonałą panią domu. Mimo woli pomyślał również, że z taką urodą

mogła lepiej się w życiu urządzić i zastanowił się przy okazji, czy jest szczęśliwa z mężem.

- Powiedz mi coś więcej o nim - poprosił, kiedy Joanna zapędziła rozbrykane dzieci do ich pokoju. Siedzieli przy kawie, podanej przez nią w porcelanowych białych filiżankach, w skromnie urządzonego pokoju gościnnym.

- Co cię interesuje?

- Wszystko. Może coś z tego, co mi powiesz, przyda się na procesie. Nie chcę być zaskoczony - dorzucił nieco oschle.

- Czym?

- Nie wiem. Prokurator nagle wyciągnie królika z cylindra, a ja będę na niego patrzył z rozdziawioną gębą. Zdarzają się takie historie.

Joanna poprawiła włosy, spojrzała na wiszące na ścianie zdjęcie ślubne i boleśnie westchnęła.

- Piotr dawniej był nerwusem. Momentami zwariowany. Wówczas mnie to bawiło, lecz później... Wdał się w niezbyt ciekawe towarzystwo. Lubił szukać zaczepki, zwłaszcza gdy sobie popił. Odkąd wyrzucili go z pracy, zmienił się wręcz nie do poznania. Tyle że nadal lubił pić. Po prostu w kieliszku szukał zapomnienia, tak sędzę...

-A jego rodzina?

- Jedynie z niego taki odszczepieniec. Za późno się w tym połapałam. Przez niego zarwałam studia. No i mam, co mam. Każdy ma to, na co zasługuje...

-Niestety, nie każdy. A tamta jego kradzież... Były inne?

- Nic mi nie wiadomo o innych.

- Czy wiedziałaś wcześniej o naszyjniku?

- Który u nas znaleziono?... Nie, nie wiedziałam.
- Jak ci to wytłumaczył? Joanna zawahała się.
- Powiedział, że to miał być dla mnie prezent.
- Czy powiedział ci o tym na osobności, czy przy policji?
- Przy policji.
- Ile płaszczy ma twój mąż?
- Płaszczy? - zdziwiła się.
- Poza, powiedzmy, prochowcami i skórzanymi.
- Skóry w ogóle nie ma. Owszem, miał, ale ją przepił. Jeden, bordowy.
- Czyli ten, w którym w tamte dni chodził. -Tak.

92

Rozmowę przerwał hałas dzieci. Joanna poszła je uspokoić i wróciła.

- Różnie się w życiu układa. - Rozejrzała się, jak gdyby chciała w ten sposób wytłumaczyć i niedostatek, i nieporządek. Pod szafką walała się skarpetka i kawałek gazety.

- Nieraz sami decydujemy o swoim losie.

- To prawda - stwierdziła żałośnie. - Ty zrobiłeś karierę, a ja zostałam domową kura... z mnóstwem problemów.

- Ciągle nie brak ci urody.

- Lecz cóż z tego?

- Mogę cię prosić o szczerą?

- Oczywiście.

- Jesteś szczęśliwa w małżeństwie? Zasmuciła się.

- Trudno mówić o szczęściu, gdy mąż nie pracuje i...

- A przedtem?

- Boże, kiedy to było... Teraz są dzieci i dla nich trzeba utrzymać to, co się

ma.

Zza ściany znowu doszedł hałas jej pociech. - I mnie problemów nie brakuje, Joanno.

- Zapewne. Przepraszam. - Wyszła najpierw do dzieci, a potem do łazienki. Roman zaciekawiał się paroma zdjęciami wiszącymi na ścianie, gdy do pokoju cicho wsunęła się dziewczynka i odważnie, choć z nieśmiałością w oczach, zaczęła się przyglądać gościowi. Buzię miała umorusaną sukienkę podartą, a rajstopy w paru miejscach dziurawe. Roman uśmiechnął się do niej. Zbeształ się w duchu, że nie pomyślał wcześniej o jakichś słodyczach.

- Jak ci na imię?

- Basia - szepnęła i podeszła bliżej, zerkając na korytarz, jakby się obawiała, że ktoś ją obserwuje. - Proszę pana, czy tata zostanie w więzieniu?

Roman otworzył usta, zdumiony jej pytaniem.

-Nie-szepnął. - Ja jestem obrońcą twojego taty i zrobię wszystko, aby twój tata stamtąd wyszedł.

Dziecko ponownie zerknęło bojaźliwie na korytarz i podeszło jeszcze bliżej Romana.

- Proszę pana, niech pan nie będzie... obrońcą taty, niech tata siedzi w więzieniu... Do końca życia.

Na takie słowa, wypowiedziane przez dziecko z jakąś niesłychaną prostotą i szczerością, Roman znieruchomiał. Był kompletnie zaskoczony.

93

- Dlaczego tego chcesz? - zapytał bardzo cicho, przykucnąwszy przy dziewczynce. Chciwie wpatrzył się w jej szeroko otwarte oczy, w których

dostrzegł nieśmiało promyki nadziei wylaniające się zza chmur strachu.

- Bo tata ciągle pije i bije nas i mamusię - wyszeptała zatrwożona.

-Mamusia ciągle płacze i my też. Nie chcemy takiego taty. Mamusia bez niego sobie poradzi i my też. Tata jest niedobry, zły...

Roman nie wiedział, co powiedzieć. Dopiero teraz pojawił się sens rozmowy z Joanną w kawiarni; jej drugie dno. Uświadomił sobie, że ona wcale nie wyglądała na żonę prawdziwie zatroskaną losem męża, wręcz przeciwnie — przecież nawet nie zapytała, czy jej mąż mógłby zostać zwolniony z tymczasowego aresztu i odpowiadać z wolnej stopy, czego przecież by pragnęła każda kochająca żona.

- Od dawna twój tata taki jest? - szepnął również.

- Od zawsze. Proszę pana, a za co tata siedzi? Ukradł coś?

- Tak - odrzekł po zastanowieniu. - Słuchaj, Basiu, czy mamusia kazała ci powiedzieć mi o tym?

-Nie - zaprzeczyło dziecko stanowczo.

- Sama pomyślałaś, żeby przyjść z tym do mnie? -Tak.

- Rozumiem. - Poglaskał ją po buzi. - A skąd wiedziałaś, że jestem obrońcą taty?

- Jurek mi powiedział, on jest mądry!

- To twój starszy brat? -Tak.

- A ty masz siedem lat?

- Siedem. Muszę iść, bo mamusia zaraz przyjdzie - dodała i wybiegła. Po minucie wróciła Joanna, już uspokojona, choć w jej oczach czaiła się niepewność.

- Basia do ciebie zaglądała?

- Tak.

Joanna zagryzła wargi.

- Co ci powiedziała?

Roman rozłożył ręce, próbując w ten sposób uniknąć odpowiedzi, lecz wiedział, że musi powiedzieć prawdę. Był pewien, że wyraz jego twarzy nie idzie w parze z ogólnikowym gestem, który czasem pomaga wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

- Sądzę, że to, co ty przede mną ukrywasz.

Joanna stanęła przy oknie, obserwując bezwiednie młodzież wychodzącą  
94

z pobliskiego ogólniaka. Roman podszedł do niej. Nagle przywarła do niego, wtuliła mu głowę w ramiona i cicho się rozplakała.

- Nigdy bym się do ciebie nie zwróciła - szlochała - ale on mnie do tego zmusił. Zmusił. Wiedział, że jesteś najlepszym adwokatem od spraw karnych. Bałam się, że potem odpokutuję, jeśli tego nie zrobię. Sam krępował się poprosić cię o to. Romek, Romuś, Rom - ja od lat go nienawidzę! Życzę mu... życzę mu jak najgorzej.

- Jestem... jestem zaskoczony - wyszeptał.

- Wierzę.

- Dlaczego przed laty nie pomyślałaś o rozwodzie?

- Rozwodzie?! - stłumiła okrzyk. - On w życiu by się na to nie zgodził. W życiu! Jest nieprawdopodobnym zazdrośnikiem. Uważa mnie za swoją własność, której nikt nie ma prawa nawet dotknąć. Gwałcił mnie, kiedy mu się zachciało. To skończony łajdak! A gdybym uciekła z dziećmi, zresztą nie mam dokąd, szybko by nas odszukał. Tak, mam to, na co zasłużyłam. Roman, pomóż mi! Dzieci także go się boją. Boże, dłużej tego nie wytrzymam, jeżeli on tu wróci...



Zapadło długie, przykre dla obojga milczenie.

- Czy on, twoim zdaniem, zamordował tę kobietę? Joanna zastanawiała się, Roman jej nie ponaglał.

- W to wątpię, chociaż... Nie mam pojęcia, w jakich stosunkach oni byli ze sobą. Musiał jednak wzbudzić jej zaufanie-ato potrafi, o czym sama się przekonałam przed laty - skoro pożyczyła mu pieniądze. Nie powiedział mi, w jakim interesie je ulokował, ale chyba coś mu nie wyszło. Może ktoś go oszukał, nie wiem. Co zaś się tyczy tych kosztowności, zakładając, że nie zabił Margowskiej, to jestem pewna, iż wykorzystał okazję. On kradnie, gdzie i co się da.

- Przedtem mówiłaś co innego.

- Wstydziałam się, wstydziałam... A skoro Basia wypaplała... - oderwała się od niego i usiadła, ciągle ocierając łzy. - Powinnam była zostać dziwką z pewnością moje życie potoczyłoby się o wiele lepiej - dodała cicho i ukryła twarz w dłoniach.

Roman zapalił papierosa i zrobił kilka kroków, co chwila zerkając na Joannę.

- Gdybyś... gdybyś nie bronił go tak do końca-wyszeptała zalekniona.

-Mógłbyś?

Odwrócił od niej wzrok i na chwilę wstrzymał oddech. Spojrzał na portret ślubny Joanny i jej męża. Nim zdążył się zastanowić, cóż to takiego jest to

95  
sławetne szczęście, które podobno łączy mężczyznę i kobietę na dobre i na złe, Joanna się odezwała, nieco śmieiej. Jednak wyczuł w jej głosie odrobinę trwogi...

- Wiesz, o co mi chodzi, prawda, Rom?

- Tak - odrzekł ochryple. Nie przypominał sobie, aby jako adwokat znalazł się w podobnej sytuacji. Jeszcze nikt nie prosił go o nieprzykładanie się do pracy, aby jego klient przegrał.

-Wiem, że to, co ci proponuję, jest nieetyczne z twojego punktu widzenia... Wszystko w twoich rękach. Nie odpowiadaj mi teraz. Zrobisz, jak zechcesz. Nastąpiła cisza, zakłócana tylko odgłosami z dziecięcego pokoju.

- Pójdę już - rzekł w końcu.

- Oczywiście. - Odprowadziła go na korytarz. - Romek, gdybym miała dość odwagi i pewność, że ujdzie mi to płazem, to... - urwała z zakłopotaniem.

To zabiłabym go, dokończył w duchu Roman, zdejmując z wieszaka płaszcz; ubrał się i dłonią dotknął twarzy Joanny.

- Wybacz, że się rozkleiłam, ale sam teraz wiesz - usprawiedliwiła się.

- Rozumiem cię. Moje życie też nie jest usłane różami - próbował ją naiwnie pocieszyć.

- Sądy też się mylą prawda? - zapytała znienacka. Zabrzmiało to jak stwierdzenie.

-Niestety. Do zobaczenia, Joanno.

- Romek, pomóż mi...

Wsiadł do samochodu, ale nie odjechał od razu. Obojętnie gapił się przed siebie, widząc nieomal wiszące nad nim, niczym miecz Damoklesa, błagalne słowa Joanny. Z jednej strony pragnął jej pomóc, z drugiej chciał być uczciwy wobec samego siebie. To tak, jakby się chciało pogodzić ogień z wodą. Myślał również o tym, jaka ona była dawniej - pomysłowa, sprytna, zadziorna. Dziś jest zmieniona nie do poznania.

Wreszcie odezwał się w Romanie zimny, bezlitosny prawnik. Nie pojechał

prosto do domu, tylko do swojego informatora.

Musiał mu przekazać kolejne zlecenie.

Magda leżała nago na tapczanie, wspierając jedną ręką podbródek, a drugą głaszcząc Pawła po owłosionym torsie. On od paru minut zawzięcie pisał w podręcznym notatniku. Nie przeszkadzało jej, że krótko po kochaniu wziął

do ręki pióro. Raz po raz zdarzało mu się tak zachowywać, rozumiała jego pisarską duszę, która rządziła się po swojemu, potrafiła mieć za nic wszelkie konwenanse, a nawet świadomie je ignorować. Kiedy przerwał pisanie, zapytała:

- Dobrze ci idzie?

- Szczerze mówiąc, trochę mi się gmatwa, choć pierwszy akt widzę bez zmian.

- Jasne, życie go napisało. Obawiam się, że na drugi i trzeci przyjdzie ci poczekać. Chyba że zamierzasz trzymać się konspektu.

- Sam nie wiem. - Odłożył notatnik na stolik i utkwił wzrok w sufit.

- Nie zdołałam na razie wyrobić sobie zdania o tej dramaturgii. Twoja koncepcja cokolwiek odstaje od życia - zbyt gnoisz człowieka, człowieka jako takiego!

- A ty za bardzo się ujmujesz za człowiekiem.

- Bo sama nim jestem. Tak mi się wydaje.

- Masz rację.

- Nie wyprzedzaj życia, idź równoległe z nim.

- Życia? Chciałaś powiedzieć: faktów. -Nie.

- Zresztą człowiek ma to do siebie, że chciałby życie wyprzedzać, sięgać, gdzie wzrok nie sięga, jak powiada poeta. Dążenie do nieznanego tkwi w

nas.

- Ja nie jestem pewna, czy chciałabym posiadać mądrość przyszłości.

- Wobec tego boisz się własnego cienia - zażartował.

- Nie szkodzi. Skoro chcesz pisać tę rzecz dalej, to musisz się przełamać i odwiedzić rodziców, a raczej ojca.

Paweł wydał z siebie pełne cierpienia westchnienie.

- Ciągłe nie jestem do tego gotowy, Magdo.

- Będiesz.

- Wiem.

- Nie zamierzam się mieszać w ten problem, sam musisz go jakoś rozwiązać.

-Niekiedy samodzielność mocno ciąży.

- Jesteś przekonany, że już naprawdę się uporałeś z tą historią?

- Tak. Tak przypuszczam.

- Zatem nie naprawdę.

- W życiu można być pewnym jedynie tego, co minęło.

- Bardzo mądre. - Magda wstała, założyła kolorową podomkę z jedwabiu i poszła do kuchni. Zaparzywszy dwie herbaty, wróciła do pokoju. Paweł

96

97

zawzięcie pisał. Postawiła filiżanki jemu i sobie i sięgnęła po list, który dziś dostała ze Starego Teatru z Krakowa. Usiadła, przeczytała go po raz kolejny i zamknęła oczy.

- Znowu marzysz? - rzucił Paweł.

Otrząsnęła się i popatrzyła na niego pogodnie, marzycielsko.

- Gdy zabraknie marzeń, pozostaną wyłącznie wspomnienia, a to tak... -...

jakby życie się kończyło.

- Właśnie. Nie spodziewałam się tak miłego listu, na dodatek z propozycją pracy w ich świątyni, od przyszłego sezonu. Nobilitujące.

- Bez wątplenia. W odpowiednim czasie będziesz musiała podjąć decyzję-

- Podjęłam. - Odłożyła list, ściągnęła podomkę, podeszła do Pawła i położyła się na nim. - Weź mnie znowu - szepnęła mu do ucha i zaczęła je lekko kąsać.

X

Po długim, bardzo długim okresie wahania, w którym rozterki nabierały momentami nieziemskich rozmiarów, Paweł zdecydował się pojechać do ojca. Kiedy oznajmił o tym Magdzie, odpowiedziała mu potaknięciem i lekkim przytuleniem go, co odebrał jako równoznaczne z jej wcześniejszym „Musisz to sam załatwić”.

Było wietrzne niedzielne popołudnie, dwudziestego pierwszego listopada. Nie pojechał swoim samochodem, tylko taksówką, ponieważ najpierw musiał wstąpić na małą wódkę. Wypił dwie. Miał nadzieję, że odrobina alkoholu go odpręży. Mimo to z obawą stanął u drzwi. Nacisnął dzwonek, chociaż w kieszeni miał klucz i mógł swobodnie wejść do rodzinnego domu. Coś mu jednak podszeptywało, że nie powinien tego robić.

Nie trwało długo, jak otworzyły się drzwi. W progu stanął ojciec, któremu jakby mowę odjęło. Patrzeli na siebie zażenowani.

-Paweł?

- Jak widzisz. Dzień dobry.

Ojciec nic nie odrzekł. Paweł wszedł. Zatrzymał się w korytarzu, niby obcy, czekający na wskazówkę gospodarza, gdzie zająć miejsce.

- Mamy nie ma?

- Pół godziny temu pojechała do cioci Zosi. Co tak stoisz? - ofuknął go. -  
Zdejmij płaszcz i wejdź dalej.

Paweł powiesił płaszcz i stanął przed lustrem, przeczesał potargane wiatrem włosy. Przeszli do pokoju, usiedli - ojciec na sofie, Paweł przy stole. Zapadło kłopotliwe milczenie.

Obaj zachowywali się nienaturalnie - to zerkali na siebie, to na cokolwiek, na czym choćby przez sekundę można zawiesić wzrok, jakby to miało uzasadniać przedłużającą się ciszę. Pawłowi przyszedł mimo woli na myśl Ożenek Gogola. z kapitalną sceną zalotów podstarzałych amantów do Agafii Tichonowny. Życie to nie teatr, powiedział sobie w duchu.

- Zdaje się, że ostatnio jesteś zapracowany - odezwał się zachęcająco ojciec.

- Tak, dużo mam pracy.

- Pisziesz też jakąś sztukę? - Tak.

- Coś ciekawego?

- Jak dla kogo. Współczesna historia.

- Powiedz mi... czy ty unikasz matki?

- Unikam mamy? - zdziwił się Paweł.

- Od dnia, w którym się od nas wyprowadziłeś. Mama raz chciała do ciebie zajrzeć, ale nie otworzyłeś jej drzwi.

- Widocznie mnie nie było. - Byłeś.

- Wobec tego spałem. Zapewne byłem przepracowany.

- Taa... Wszyscy jesteśmy przepracowani, odkąd poznaliśmy smak prawdziwej demokracji... Lecz co u ciebie? W kogo tym razem zamierzasz się wcielić? Do jakiej wielkiej roli się sposobisz?

Paweł wstał i wsadziwszy ręce do kieszeni spodni, zaczął krążyć wokół

stołu. Kątem oka spostrzegł, że ojciec obserwuje go podejrzliwie, jakby próbował wybadać, z której strony padnie cios.

- Rzeczywiście, do wielkiej - odrzekł po długiej pauzie. - Nawet bardzo wielkiej. Zastanawiam się, czy nie za wielkiej...

- Czyżby Hamlet? To przecież ciągle twoje marzenie. Czas, by się spełniło, bo jeszcze trochę, a - roześmiał się z wyraźnym wymuszeniem - będziesz na Hamleta za stary. Tylko Król Lear ci pozostanie.

- Nie, nie Hamlet. Coś znacznie większego.

- Wydawało mi się, że Hamlet jest największy... No, powiedzmy, Kordian. Kordian, dobrze mówię? Jesteśmy w końcu na własnym podwórku. Czy raczej we własnym domu, jak to się niedawno szumnie na cały świat gadało. A dziś przycichło - dorzucił ironicznie.

98

99

- Hamlet, Kordian - to wyłącznie papierowe postaci.

- Czyli wymyślone.

- Niekoniecznie. Największe role są te prawdziwe. ,

- Aha. Po prostu przeżywasz swój dramat, przy którym Hamlet, Kordian i wszyscy inni święci razem wzięci są co najwyżej tłem.

- Tak, można tak to ująć.

- No tak, oczywiście, że prawdziwe. Na przykład?

- Jakakolwiek. Bez różnicy. Choćby najmniejsza.

- Jesteś wyjątkowo chimeryczny. Zresztą zawsze miałeś takie skłonności, inaczej nie byłbyś aktorem. Bawiło cię, jeżeli nie zostałeś rozszyfrowany. Nawet więcej - uważałeś się w takich sytuacjach za kogoś lepszego.

Paweł zatrzymał się przy oknie. Na ulicy jakiś mężczyzna gonił kapelusza,

który wiatr zerwał mu z głowy. Wyglądało to dość komicznie, ale Paweł się nie uśmiechnął.

- My, Polacy, potrafimy snuć wspaniałe marzenia - rzekł sentencjonalnie, patrząc na ulicę - ale kompletnie nie mamy pojęcia o ambicjach. Tak było prawie zawsze, a niestety jest nadal.

-Nie mów, że doszliśmy donikąd. Bo zdaje się coś takiego próbujesz mi dać do zrozumienia. Czyżbyś miał dość rzeczywistości, tej wytęsknionej demokracji, która w III Rzeczypospolitej zapanowała?!... Gdzie wreszcie kieliszek przemienił się w drinka, sklep w butik, prywaciarz w biznesmena, gdzie mówić wolno wszystko, co się tylko chce, nawet największe brednie?!... Prawie wszyscy się garnęli do nowego ładu - mądrzy i głupi, bogaci i biedni, chrześcijanie i ateści, uczciwi i nieuczciwi... Naprawdę weryfikujesz swoje poglądy? Nie ty jeden, nie ty jeden, mój drogi...

Z jakąś trudną do opisaną satysfakcją w oczach umilkł i podszedł do barku po butelkę wina. Napelnił dwa kieliszki, jeden podsunął Pawłowi.

- Coraz więcej ludzi - podjął - nawet twoich rówieśników, z sentymentem idealizuje przeszłość, starając się zabiżniać rozdrapywane rany narodowe. Namalowany kiedyś na ścianie czerwony diabeł wyblakł, a w jego miejsce pojawił się inny, prawdziwie czarny. A co do tej demokracji, to cóż ona według ciebie oznacza, he? Rządy ludu? Nic podobnego!... Rządy spryciarzy, kameleonów, którzy jedynie siebie mają na uwadze! By z życia wydoić tyle, ile się tylko da, a przy okazji trafić na karty historii, nawet za wszelką cenę. I o to właśnie toczy się gra, która się polityką nazywa.

Paweł się odwrócił. Ojciec wydał mu się w swoim żywiole: te gwałtownie błyskające oczy, ślina w kącikach ust, nastroszone brwi, nerwowe gesty.



- Ja się nie zaliczam do zawiedzionych z powodu istniejącego stanu rzeczy  
- odrzekł spokojnie.

Ojciec zastygł, ale bardzo szybko się ożywił.

- Co takiego?! - zawołał podniecony. - Czy dobrze słyszę?

- Dobrze.

- Nie zaliczasz się do zawiedzionych, gdy wokół ludzie mają po dziurki w nosie tego bałaganu, marazmu, rozboju i bandytyzmu?! Klną i złorzeczą na wszystko! I co chwila strajkują! Z kimkolwiek porozmawiasz spośród tych, którzy tak gorąco pragnęli demokracji i sprawiedliwości...

- Zależy, na co kto liczył, tato. Od tego trzeba rozpocząć jakiegokolwiek rozważania na ten temat. A poza tym, wolność to przede wszystkim coś w sensie duchowym...

- Ha! Że nawet za kratami człowiek czuje się wolny, tak? I w głębi duszy śmieje się w nos swoim gnębicielom?... To ci powiem, synu! Nic bardziej błędnego! Ta śpiewka jest tak stara, jak głupia! Każdy, każdy bez wyjątku, ofiary i ich kaci mają zdolność do poruszania się w świecie ducha, abstrakcji. Zarówno ciemieżony, jak i ciemieżyciel mogą się w równym stopniu upajać uczuciem tej wolności. Lecz jest jedna zasadnicza różnica - ciemieżyciel może dodatkowo kosztować uroków życia realnego. Przestań więc gloryfikować wolność duchową bo to naprawdę żaden luksus; to coś tak powszechnego, jak chleb nasz powszedni.

- Każdy ma swoją miarkę.

- Śmiem twierdzić, że ty się posługujesz podrobioną i, co gorsza, nawet o tym nie masz pojęcia. Ty także wykrzykiwałeś ze sceny, że nareszcie jesteśmy we własnym domu!... Mylę się?

- Każdy jest podatny na emocje - odmruknął Paweł, nieco zbity z tropu.

-Dowcip polega na tym, że gdy idzie o relację między marzeniami a ambicjami, to nic się nie zmieniło. Mam na myśli twoje młode lata. Oczywiście, można by sięgnąć aż do początku ludzkości.

Ojciec wziął ze stołu pudełko z cygarami. Przypalając cygaro zapałką nie odrywał oczu od Pawła. Nie uszło uwagi Pawła, że ojcu drży ręka.

- Powiedz mi, tato, dlaczego zrezygnowałeś z pracy w prokuraturze?

-zapytał sucho.

- Posmakuj wina.

Paweł dostrzegł w jego oczach błysk bazyliuszka, nie pierwszy zresztą raz, w przeszłości zdarzało mu się widywać u niego podobne spojrzenia. Wziął kieliszek i upił nieco wina z głogu.

- Dobrze.

I

100

101

- Mówiłem ci, czemu odszedłem z pracy.

- Tak, tak. Powszechna nagonka, lustracja, teczkowa histeria, honor zawodowy... Zbyłeś mnie magicznymi ogólnikami, które połknąłem jak smakowite grzybki w occie. Cóż, pewnie podświadomie tak zareagowałem.

- Uważałem, że nie ma nad czym się rozwodzić. Czytujesz gazety, więc z grubsza się orientujesz w tych sprawach...

- Tak. Ale o tobie nic nie znalazłem. -Szukałeś?!

- Możesz to sobie wyobrazić?

- Aaa! - wydusił z siebie ojciec z zaskoczeniem i wypił pół kieliszka.

-Cóż... Dopatrzyli się w moim życiorysie pewnych drobiazgów słusznych

czy niesłusznych, wolałem w tej sytuacji sam odejść. Zresztą mam swoje lata, a i zdrowie... zdrowie nie najlepsze. Dlaczego to cię teraz zainteresowało?

-Widać są powody. Zastanawiam się, czy byłbyś równie dobrym adwokatem jak prokuratorem... Uchodziłeś za dobrego prokuratora.

- Czyżbyś miał dla mnie konkretną propozycję? - zażartował ojciec nieco sztucznie. - Kogo miałbym bronić?

- Siebie.

-Słucham?!... Siebie?! Przed kim?

- O to właśnie chodzi... Trudno mi być prokuratorem i sędzią zarazem. I synem.

- Możesz jaśniej?

- Niestety, jednak mogę. Jak myślisz, czemu się stąd wyniosłem?

- Skąd mam wiedzieć, u licha? Ty zawsze miewałeś najdziwniejsze pomysły.

- Zdaje się, tato, że dla ciebie życie jest taką grą w karty, co?

- Do pewnego stopnia. Zresztą dla ciebie również. Życie to najuczciwsza z gier, wierz mi, synu. Tu karty rozdaje los, a los to nie szuler. Jakie karty rozda, takimi się gra, czy ci się to podoba, czy nie.

- No i jak w każdej grze, oszustwa są dozwolone dopóty, dopóki się nie zostanie schwytanym na gorącym uczynku, tak?

- Żebyś wiedział.

- Na początku września dostałem interesujący list - rzekł Paweł bardzo wyraźnie, pilnie wypatrując reakcji ojca. Ale ojciec tylko uniósł brwi.

- Interesujący list? Od kogo?

-Odpewnej kobiety, twojej pierwszej żony. Paweł wytrzymał jego

spojrzenie.

- Od... Jadwigi? - szepnął ojciec, po paru sekundach wstał ociężale i założywszy ręce do tyłu, rozpoczął wędrówkę po pokoju.

- A jak mnie tu znalazła?

- Nie ciebie, tylko nas. Mnie i Romana.

- Co na jedno wychodzi - syknął opryskliwie. - Tutaj mieszka?

- Tak, w Bydgoszczy.

- I cóż w jej liście? Jak ją dobrze pamiętam, miała skłonności do fantazji. -  
Naprawdę?

- Duże!

- Od razu się ubezpieczasz?

- Ubezpieczam? Nie mam przed czym.

- Toteż chwilowo lepiej rozciągnąć parasol nad wszystkim, prawda?  
Jeszcze nie wiesz, co napisała, a już spekulujesz.

- Zatem lektura jej listu spowodowała, że postanowiłeś stąd odejść?

- Celujące pytanie.

- Ha, krótko i dosadnie! Jak ze sceny. Cały ty!

- Wydaje mi się, że jakbyś wiedział bądź przeczuwał, iż kiedyś coś takiego nastąpi. Że ona się odezwie do ciebie nawet z za grobu...

- Nic podobnego. Powiedz mi, czy tyją chociaż widziałeś?

- Taka brzydka?

- Brzydka?! - Ojciec przystanął i gwałtownie wyciągnął szyję.

- Co ty pleciesz?

- Chciałem przez to powiedzieć, że dla mnie nie ma znaczenia, czy ją widziałem.

- Ach tak... Mógłbyś jednak wyrażać się jaśniej.

- Nie mam powodu, by jej nie wierzyć.
- Naiwność jest także twoją cechą. Zresztą zawsze byłeś trochę naiwny. Ta kobieta mogła ci nałgać, co jej się podobało. Za jakieś urazy do mnie. Ostatecznie nasze małżeństwo nie było idealne.
- Sugerujesz zemstę swojej byłej żony? Po tylu latach?
- Zemstę? Co napisała?
- Same nieprzyjemności. O tobie.
- Istotnie wygląda mi to na jakiś rodzaj zemsty. A ty bezkrytycznie wierzysz nie znanej sobie kobiecie!
- Właśnie o twojej przeszłości chciałbym z tobą porozmawiać. Jeżeli masz na to ochotę i odwagę. Ojciec zwiesił głowę i podjął wędrówkę, pochmurnie spozierając pod nogi.
- Nie mam ochoty - przyznał zakłopotany - lecz mam odwagę, żeby o tym pomówić.
- Masz czy musisz mieć?
- Dobrze, muszę. A ty masz?
- Nie mam ani ochoty, ani odwagi. Ale też będę musiał mieć.
- Szczerść godna podziwu. Co ma ci dać to roztrząsanie problemów z moich młodych lat?
- Nie mam pojęcia...
- Syn zamierza sądzić ojca...
- Nie, nie sądzić. -A co?
- Cholera, gdybym to potrafił sprecyzować! - wybuchnął Paweł.
- Po prostu chcę porozmawiać.
- Nieraz bywa to trudne — szepnął z ubolewaniem ojciec.

- Wolałbym teraz być pozbawionym wszelkich uczuć robotem, lecz coś mnie zapędziło w pułapkę emocji i nie umiem sobie z tym poradzić. - Odwrócił się od ojca, skupiając uwagę na marnym obrazie wiszącym naprzeciwko kominka.

-Nie chcesz, ale musisz... No cóż, jak ze sceny, jak ze sceny. Zaczynaj...

- To nie takie łatwe - rzekł do obrazu. - Przez te półtora miesiąca starałem się tłumić w sobie gniew i bunt. Nie dałem rady. Dlatego w końcu zjawiłem się u ciebie. Jeśli mam być szczery, jestem zły na tę kobietę. Wolałbym o tym po prostu zapomnieć. A to jeszcze trudniejsze. Do licha, chyba ty jesteś w zręczniejszej sytuacji.

-Zręczniejszej? Dlaczego?

- Nie wiem. O wiele łatwiej byłoby rozmawiać o tego rodzaju sprawach obcym sobie ludziom...

-Do diabła, o jakich sprawach? Zaczynj wreszcie! Naprawdę, Paweł, jak ze sceny! To przecież potrafisz.

- Starasz się kpić ze mnie, co? Słabo ci to wyszło. Nadrabiasz miną.

-Odwrócił się.

- Pomówmy poważnie.

- Czy mama zna twoją przeszłość?

Ojciec zawahał się i podszedł do stołu. Wypił resztę wina z kieliszka.

-No... zna, pewnie.

- Tę do początków pięćdziesiątego roku także?

- Owszem... to i owo...

- To i owo, czyli nie tak dobrze, jak twoja pierwsza żona.

- Do diabła, co ona ci za bzdury napisała?! - zdenerwował się ojciec.

- Nie uważam tego za bzdury. A szkoda.

- Masz ten list? -Mam.

- Pokaż!

Paweł zastanowił się, czy go dać ojcu, czy poprosić, aby najpierw opowiedział mu o swojej młodości.

- Pali cię ciekawość, co? - zapytał, wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na stole.

Ojciec niepewnie sięgnął po nią i nerwowym ruchem wyciągnął papier, po czym przeszedł na krzesło koło okna i zaczął czytać, ukazując stopniowo lekceważenie do treści listu. Paweł obserwował zmiany zachodzące na jego twarzy.

- Bzdury, bzdury! - syczał ojciec, wymachując listem. - Połowa z tego, to wyssane z palca brednie! Zemsta, nic innego! Perfidna zemsta za nasze... nieudane pożycie. Mój Boże, ależ była zazdrosna, kłótniwa i tak dalej... W każdym razie, mój drogi, powiadam ci, że połowa to jej wymysł!

- Która połowa?

- Jak to, która? - Wrócił do stołu i niedbale rzucił list.

- Ta wstrząsająca?

- Wstrząsająca?... Skoro tak to określasz, niech będzie wstrząsająca.

Zemsta, tak, w perfidny sposób chce mi zepsuć opinię. Wcześniej zapewne się bała, bo czemu tak długo z tym siedziała cicho? A teraz stała się nagle odważna, nie boi się o siebie. Przedtem szkoda byłoby zmarnować sobie życie, co? Sam widzisz, co za charakterek... Jeżeli to wszystko jest prawdą

- ponownie wziął list i potrząsnął nim gwałtownie - to dlaczego nie napisała do prokuratury, co?!

- Bo osobiście nie czuła się pokrzywdzona przez ciebie w tym znaczeniu, o którym pisze. Ale istotnie, chciała się w perfidny sposób zemścić,

wysyłając listy do mnie i Romana.

Zaległa grobowa, pełna napięcia cisza.

- Ona już nie żyje - dorzucił Paweł.

- Nie żyje? - Ojciec odchylił się na krześle i znieruchomiał. - Zmarła...

Zawsze była słabego zdrowia, biedaczka...

- Została zamordowana. -Zamordowana?! Kiedy?

- W ubiegłym miesiącu.

- Kto ją zamordował?

104

105

- Oskarżonym jest niejaki Mrotek, Piotr Mrotek.

- Czemu ją zabił?

- To było morderstwo na tle rabunkowym, Roman go broni.

- Roman?!

- Lecz nie to jest istotą rzeczy. Z córką nie układało się jej najlepiej, nie traktowała jej z troskliwością kochającej matki, może więc jest coś racji w tym, że bała się po prostu o siebie.

- Zaraz, powiedziałaś „z córką”?

- Tak.

- Ona nie mogła mieć dzieci.

- Mogła.

Ojciec znowu znieruchomiał.

- Mogła? Przecież była bezpłodna.

- Nic podobnego.

- Jak to?!

- Nie chciała mieć z tobą dzieci i robiła wszystko, by do tego nie doszło.



Tobie mówiła, że jest bezpłodna.

- Wmówiła?

-Kazałeś jej się leczyć. Oszukiwała cię z tym lekarzem.

- Mogła mieć dzieci... - wyszeptał ojciec.

- Ale nie przechytryła natury, a na aborcję nie umiała się zdecydować.

Macie córkę. A Roman i ja - nieco starszą siostrę.

Nastąpiła długa pauza. Henryk Zawada nerwowo zatarł dłonie. - I z jej córką również rozmawiałeś?

- Tak. Nie chce cię znać, nie ma zamiaru nanosić korekty w swoim życiorysie.

- Jadwiga oszukała mnie... - mruknął i zamilkł, żeby podjąć z wyrzutem: - I tak po prostu wierzysz słowom jakiejś kobiety... I ani cienia wątpliwości? Nie widzę bowiem tego na twojej twarzy, spoziera z niej oskarżenie, zimne, bezlitosne, z wyrokiem czającym się w oczach, którymi mnie prześwietlasz.

- Widzisz, zadałem sobie sporo trudu, żeby sprawdzić informacje zawarte w tym liście. Przynajmniej te najistotniejsze. Bo jej nie dowierzałem.

- A!... Najistotniejsze.

- To było konieczne. Nie mogłem przyjąć bez sprawdzenia tak ciężkich zarzutów pod twoim adresem. Jesteś prawnikiem, zatem przyznasz mi rację.

-Ico?

- Odnalazłem ludzi, rozmawiałem z nimi. Niestety, wszystko potwierdzili. Że na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych byłeś nieźle zapowiadającym się... zapowiadającym się, tato... rzeźnikiem w katowni bezpieczeństwa na warszawskim Mokotowie. - Nie uszło jego uwagi, że ojciec

zbladł pod wpływem tak dosadnego określenia.

- Czyżby?

—Chyba nie chcesz powiedzieć, że opowiadałeś aresztowanym bajki bądź rozmawiałeś z nimi tak, jak ja teraz z tobą.

- Dziś każdy może mówić wszystko, co chce, może się odkuwać -odrzekł ojciec roztrzęsionym głosem. - Dopiero od niedawna ci niby pokrzywdzeni otrzymują odszkodowania, mogą łącać w żywe oczy. Czy wiesz, że w pięćdziesiątym siódmym wzięto się za tych prawdziwych oprawców z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, wytoczono im procesy...

- Których równie szybko zaprzestano! Nikogo z ówczesnych dygnitarzy nie osądzono, nikogo. Ty nie trafiłeś na salę sądową gdyż byłeś zaledwie pionkiem...

- A widzisz!

- ...lecz takim, że jednego faceta tak zatłukłeś, iż w końcu zmarł, a kilkanaście osób zrobiłeś kalekami. Niektóre z nich do dziś żyją. Twoje nazwisko wypowiadało się szeptem. Miałeś wtedy zaledwie dwadzieścia parę lat... Twoja żona przypadkiem się dowiedziała o tobie od pewnego więźnia, którego ułaskawiono w pięćdziesiątym szóstym - że zmieniłeś nazwisko, wyprowadziłeś się z Warszawy... Bo kiedy w czerwcu pięćdziesiątego piątego pobieraliście się, nie miała pojęcia, czym naprawdę się zajmowałeś. Gdy poznała prawdę, przeżyła szok, co starannie przed tobą ukrywała. Ale postanowiła odejść od ciebie. Też się wyprowadziła. Los chciał, że po latach oboje trafiliście tutaj. Powiedziała mi, że w lipcu tego roku zobaczyła cię na ulicy, ale ty nie zwróciłeś na nią uwagi. Jak stwierdziła, wszystko w niej na nowo ożyło, choć nie zaliczała się do twoich ofiar.

Ojciec napełnił kieliszek winem. Wypił od razu i znowu nalał. Długo siedział jak zakłęty. Paweł go nie ponaglał, najchętniej wyszedłby stąd; skoro jednak zdecydował się przyjść, chciał tę rozmowę mieć już za sobą bez względu na to, jak ona się zakończy.

- Widzisz, Paweł, to były inne czasy, zupełnie inne.

- A co to ma do rzeczy? Do tego, jaki człowiek chce być, jaki jest?

- Co ty wiesz o życiu? - burknął ojciec z lekceważącym uśmiechem. - Co ty w życiu przeszedłeś? Jakie przed tobą pojawiały się problemy?...

Żadne! Wręcz śmieszne, gdy porównać je z moimi. Ty w ogóle nie masz pojęcia o tej stronie życia. A skoro już mnie osądzasz, to weź pod uwagę taki drobiazg, że

106

107

przeżyłem okrutną wojnę, że dla mnie, zresztą dla wielu, istniał wówczas jeden wróg - okupant hitlerowski.

- O sowieckim zapomniałeś?

- Wtedy nie miałem o tym pojęcia - rzekł szorstko i zaraz łagodniej ciągnął: - Jak każdy pragnący wyzwolenia Polski, chciałem go stąd przepędzić. A skąd nadeszła do nas wolność? Z Zachodu?!... Kto nam pomógł? Anglia? Francja? Nie wiem, czy się orientujesz, lecz później my im pomagaliśmy, polscy żołnierze - dodał i pociągnął łyk wina. - Sikorski, Anders, Maczek, wielkie nazwiska...

- Dzisiaj, bo za komuny byli sprzedawczykami, a całe AK nosiło piętno organizacji przestępczej - warknął Paweł i także sięgnął po kieliszek. Wstał i podjął wędrówkę.

Ojciec, nieco zbity z tropu, kontynuował:

- Widziałem w nowym ustroju równość społeczną a już najmarniej różnicę między bogatymi a biednymi znacznie mniejszą niż w kapitalizmie. Moi rodzice, a twoi dziadkowie, byli biedni. Przed wojną często głodowaliśmy. W co więc miałem wierzyć po wyzwoleniu? W kapitalizm? W co ty byś wierzył?... No i broniłem tego, co nadeszło. Wartości, które wydawały mi się słuszne. Najpierw ochraniałem fabryki i próbowałem w nich wywąchiwać sytuację polityczną a potem przeniesiono mnie do „Dziesiątki”.

- X Departamentu.

- Tak. Pokazywano mi wrogów Polski... Cóż, owszem, byłem dla nich... surowy, widziałem w nich tych, którzy chcą zaprowadzić stare rządy. A cóż ja wówczas mogłem wiedzieć o życiu? Znacznie mniej niż ty w moim wieku, bo nie byłem tak wykształcony. Nie ja osądzałem, czy ktoś jest winny, czy nie. Byłem do tego i za młody, i za głupi, ale w sam raz, by zostać pionkiem na czerwonej szachownicy. Musiałem wykonywać rozkazy, czy mi się to podobało, czy nie. Rozkazy... z którymi nie godziłem się wewnętrznie.

-Uczciwy człowiek w takiej sytuacji rezygnuje z wykonywanej pracy.

- Co takiego?! - zawołał ojciec jadowicie i wsadził cygaro w zęby. - Ty nie wiesz, co mówisz! Zrezygnować z pracy możesz sobie w byle biurze, gdzie produkujesz tony makulatury, popierdując przy tym w stołek! Albo w tym swoim zasranym teatrze! Lecz nie tam, gdzie ja tkwiłem po uszy.

-Nie przekonasz mnie. Karierowicz...

- Karierowicz?! - Chwycił cygaro i nerwowo zgniótł je w popielniczkę.

-Sądziś, że... piastowałem znaczące stanowisko!

- Potraktuj to jako uogólnienie, gdyż znacznie potężniejsi od ciebie

postępowali podobnie. Dla zachowania przywilejów sprzedaliby ojca i matkę.

- Jak to się łatwo mówi komuś, kto nie posmakował tamtych czasów, kto je zna z książek, które teraz masowo się publikuje, a które już się wszystkim serdecznie znudziły.

- Ale wyrwałeś się stamtąd. Nie, nie byłeś taki naiwny, za jakiego teraz próbujesz się przedstawić, musieli cię uznać za zdolnego, skoro podjąłeś studia prawnicze i w końcu zostałeś prokuratorem...

- Po prostu zacząłem się uczyć, zainteresowałem się historią i poprzez jej pryzmat próbowałem oceniać ówczesną rzeczywistość. Wówczas znalazłem sobie życzliwego protektora, który mi pomógł wydostać się stamtąd, załatwić zmianę adresu, nazwiska i takie tam... - przyznał i umilkł.

- Zatem zostałeś prokuratorem, który lekką ręką występował o wysokie wyroki. Dowiedziałem się, że bynajmniej nie zawsze sprawiedliwe. Podobno miałeś szczególny dar przekonywania ludzi, kiedy chciałeś postawić na swoim, będąc jednocześnie ostrożny, aby nie ściągnąć na siebie choćby cienia podejrzenia o jakieś manipulacje.

- Co przez to rozumiesz?

- Potrafiłeś nakłaniać do składania fałszywych zeznań, fabrykowania dowodów winy przeciwko niewygodnym komunie ludziom i tym podobnych historii. Tak czy owak, nie odciąłeś się od przeszłości. Katowską rękę zastąpiłeś sprytem, podstępem i kwiecistą oracją w sądzie, co w istocie na jedno wychodziło. Natura jest naturą...

Umilkli. Paweł przypomniał sobie scenę sprzed kilkunastu lat, kiedy przypadkiem przechodził obok gabinetu ojca na piętrze i usłyszał jego

rozmowę z pewnym milicjantem i sekretarzem KM PZPR. Ojciec dosyć ostro nalegał, wręcz żądał, aby jego rozmówca postarał się choćby o jakiś mały, niewinny dowód byle jakiego przestępstwa na pewnego członka podziemia KOR, który ówczesnym władzom zalewał sadła za skórę. Widać milicjant stanął na wysokości zadania, bo, jak Paweł potem przeczytał w gazetach, człowiek ów dostał trzy i pół roku do odsiadki. Zegar wybił półgodzinę.

-Natura... - westchnął ojciec. -Natura i przyzwyczajenie... Powiedz mi, z jakiej racji ty, niejako mój syn, ale jako człowiek, próbujesz osądzać drugiego człowieka, którego osobowość została ukształtowana właśnie przez naturę, w moim przypadku akurat tak! Kim ty jesteś? Bogiem?

- Wolnego! Co za brednie? Ty, prawnik, coś takiego powiadasz?

Rozumując w ten sposób, należałoby odrzucić wszelkie normy prawne, stworzone przez człowieka, sądy i tak dalej. Pojęcie zła... Zaraz, zaraz!

Czy ty masz mnie za idiotę? W tak prosty sposób, zwalając wszystko na naturę, próbu-

108

109

jesz się bronić? Jakim mnie, Panie, stworzyłeś, takim mnie masz!... O to chodzi? To tak, jakbym wygrażał Panu Bogu, co? -Mniej więcej.

-Nawet komuna nie zrezygnowała z usług wymiaru sprawiedliwości.

- Sprawiedliwości! - zachnął się ojciec. - A cóż to jest według ciebie ta sprawiedliwość, którą państwa zachodnie tak się chlubią hę?... Czy w tej twojej zachodniej demokracji nie wsadzają niewinnych ludzi na długie lata?! Rozejrzyj się, psiakrew! Czy na Zachodzie istnieje coś lepszego od sprawiedliwości w państwie totalitarnym?... To ci powiem. Ni cholery! Nie

ma czegoś takiego jak równość, sprawiedliwość, autentyczna wolność! To mrzonki, fanaberie! Sprawiedliwości nikt dotąd nie znalazł, choć są głupcy, którzy ciągle jej poszukują. Ta twoja sprawiedliwość, o której tak kwieście wykrzykujesz, to nic innego jak zwykły, pieprzony porządek, ład, nieważne, w którą stronę. Nic więcej, nic więcej. Robił to Hitler, robił Stalin i będą następni!

- I tu cię mam! - zawołał Paweł z wściekłym triumfem. - Słucham?... Masz mnie?

- Zdaje się, tato, że to właśnie socjalizm szafował hasłami równości, sprawiedliwości i podobnymi bredniami, a ty również dałeś się nabrać na nie jak mucha na lep. To było największe oszustwo w dziejach świata. Podstawy ustroju kompletnie sprzeczne z zasadami natury. Tak, zgadzam się, gdy wspomniałeś o naturze. Gdzie w przyrodzie jest równość?... W lesie, pod ziemią pod wodą w powietrzu, gdziekolwiek zresztą- silniejszy, sprytniejszy pożera słabszego, wygrywa, by przeżyć. Tak było, jest i pozostanie. I to jest naturalne. Także w demokracji, jeżeli coś takiego w czystej postaci w ogóle istnieje. Natomiast...

- Natomiast inną sprawą jest fakt, że są ludzie dobrzy i źli, tak?

- O!... Temu nie zaprzeczysz.

- I mnie zaliczasz do tych drugich. -Niestety.

- Wolno ci, choć Bóg przykazał czcić ojca swego i matkę swoją...

- Daj sobie spokój z Panem Bogiem, o którym tyle lat nie pamiętałeś. W twoich ustach brzmi to arcyfałszywie.

Ojciec na parę chwil stracił rezon, lecz podjął z narastającym rozdrażnieniem:

- Paweł, to tylko z twojej strony czysto akademickie rozważania o dobru i

złu, o białym i czarnym. Po prostu trzeba pogodzić się z występowaniem przeciwieństw. Niegodzenie się z tym świadczy o kompletnej ignorancji ży-

cia. A poza tym, jakim prawem wytykasz mi moje postępowanie, gdy sam nie masz pojęcia, jak byś się w mojej skórze nosił?... I co teraz widzisz, kiedy odarłeś mnie ze skóry?... Powiem ci - siebie! Widzisz siebie! Gołego i bezradnego jak dziecko... W porządku. Były momenty, że postępowiałem... ostro. Ale, do licha, takich miałem nauczycieli. Czego więc chcesz ode mnie?! Nie ma nic gorszego na świecie jak idioci, którzy wierzą w wielkie ideały i takie tam historie. A do ideałów jest dalej niż do gwiazd.

Paweł zacisnął zęby. Zaczął się nawet bać coraz bardziej rozgniewanego ojca, jak kiedyś, gdy był mały, nie żeby ojciec go uderzył, bo to było najmniej bolesne, ale z powodu samego jego gniewu.

- Tak, byłem niezbyt mocnym człowiekiem - podjął cicho ojciec - jeżeli to chciałeś usłyszeć. I wstydzę się, że musiałem ci się do tego przyznać. To upokarzające... A teraz mnie zabij, jeśli chcesz. Może ci to ulży. Bo mnie na pewno.

Paweł, wyraźnie zaskoczony nagłą uległością ojca, w którym cały ogień zgasł, długo na niego spoglądał, po czym skierował się do wyjścia. W drzwiach przystanął, ale się nie odwrócił.

- Nie spodziewałem się żadnej ulgi - rzekł sucho. - A już z pewnością nie spodziewałem się takiego tupetu z twojej strony.

- Tupetu? Obronę własnej godności nazywasz tupetem?

- Czy ty w ogóle masz sumienie, tato?

- Mam, żebyś wiedział, że niestety mam to cholerne sumienie, a pewne



historie ciężą mi jak młyński kamień! Nie pokazuj mi pleców, jak do ciebie mówię! - ryknął.

Paweł odwrócił się i rzekł spokojnie:

- Cholerne sumienie... Toczy się proces byłych polskich rzeźników z twojej dawnej firmy. Chyba ich dobrze znasz, co? To przecież twoi kumple po fachu. Powiedz, znasz któregoś z nich?

- Znam - odrzekł cicho ojciec i podniósł dumnie czoło.

- Może ktoś się odważy powiedzieć głośno także twoje prawdziwe nazwisko i trafisz na salę sądową ale w innej roli niż do tej pory. Śledzisz ten proces?

- Od przypadku.

- Obawiasz się, że padnie twoje nazwisko?

- Nie. Chcesz mnie tam widzieć?

Paweł nie pierwszy raz zwiesił głowę, zakłopotany.

- Ich cynizm jest przerażający - powiedział. - A nie boisz się, że jednak trafisz do jakiejś księgi infamii, którą ktoś kiedyś opublikuje?

111

Zawada senior znowu zbladł. Kilka sekund nic nie mówił. Pawłowi zdało się, że ojciec pod wpływem jego słów najpierw skulił się w sobie, a potem sprężył, gotów skoczyć mu do gardła.

- Czy ty poza tą swoją pieprzoną teatralną sceną potrafisz się pochylić nad drugim człowiekiem?! - rzucił gwałtownie rozgniony. - No, powiedz?!...

Czas spędzasz wśród książek i w swoim teatrze, gdzie zajmujesz się marną imitacją prawdziwego życia. Raz jesteś tym, a raz tym. Nigdy sobą. A teraz wydaje ci się, że posiadłeś patent na moralność. Powiem ci zaraz, jakim jesteś moralnym człowiekiem... - Trzęsącą ręką napełnił kieliszek

winem i wypił duszkiem. - W stanie wojennym i potem występowałeś z innymi artystami w kościołach. Zgadza się? Jedną dłonią wymachiwałeś narodową szabelką, a w drugiej miałeś trąbkę i wygrywałeś patriotyczne nutki, wszystko podsycane religią. Dobrze mówię?... No! Z wielkim nabożeństwem przyjmowałeś komunię świętą. Mylę się?... Nie. I jeszcze tego samego dnia zdarzało ci się sypiać z kurwami! A nazajutrz od początku cała ta szopka. Oczywiście, do żadnej spowiedzi nie chodziłeś! A jak dziś żyjesz, co? I ty śmiesz mnie pouczać? Mówić o moralności?! O Bogu? O tupecie? Nawet o tym nie wiesz, ale to ja, ja wtedy wybroniłem całą waszą grupę, że was nie wsadzono do pierdła. Tak, miałem przez ciebie różne nieprzyjemności, lecz powiedziałem im wprost, że jak się oburzają na twoją działalność, to mogą mnie zwolnić, pocałować mnie w dupę, bo ja się do ciebie wtrącać nie będę, to jest twoje życie. Mało tego, będę cię bronić jak pies swojego pana! I w końcu się ode mnie odpiardolili. I ciebie też nie tknęli.

- Bo byłeś kimś! - zawołał Paweł z ironią. - A zasłużonym ludziom wybacza się niektóre rzeczy.

Ojciec zdawał się nie dosłyszeć tej uwagi.

- Sumienie... - mówił jakby do siebie. - Sumienie. Czy mam sumienie...

Tak, mam to cholerne sumienie. Bo ty go nie masz, Paweł, ty nie wiesz, co to jest sumienie...

Zapadła kolejna długa cisza, znacząca dla tej rozmowy, która wydawała się nieco łagodzić panujące napięcie.

- Powiedz mi, tato, czy imię też zmieniłeś? -Nie.

- Tato... -Co?

- Jak torturowałeś tych ludzi?

Ojciec drgnął i zacisnął dłonie, a oczy mu się zaszklily.

- Wrywałeś im włosy, tato? -Nie.

- Paznokcie?

- Nie, synu.

- Biłeś w pięty? -Nie.

- Uderzałeś ich głowami o ścianę? -Nie.

- Zmuszałeś ich do siedzenia z uniesionymi rękami i nogami na nodze odwróconego stołka? - Pod powiekami i w gardle Paweł poczuł łzy.

-Nie.

- Zabiłeś człowieka?

- Tylko na wojnie. Trochę zostałeś oszukany, synu, przez tych ludzi... I przez nią.

- Dlaczego postarałeś się o zmianę nazwiska, adresu, skoro nikogo nie skrzywdziłeś?

- Widzisz... już wówczas przeczuwałem, że tak będzie lepiej. Nazwij to sobie wyrachowaniem czy... - urwał i z rezygnacją machnął ręką.

Paweł nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, starał się tłumić płacz.

Dostrzegł w ojcu samotnego, zniedołężniałego Króla Leara, który haniebnie zdradzony przez najbliższą mu osobę przeżywa największą klęskę w swoim życiu.

Wyszedł. U Magdy znalazł się późnym wieczorem. Nie spała, siedziała w fotelu i robiła jakieś notatki. Nie zdziwiła się ani jego powrotem o tej porze, ani tym, że jest wstawiony.

- Jak poszło? - zapytała krótko. -Normalnie.

- Normalnie... - Podeszła do niego i przytuliła się, jakby chciała w ten sposób mu pomóc uspokoić się wewnątrz.

Pewien czas stali, nic nie mówiąc.

- Idź spać - szepnęła całując go w policzek. - Tego ci teraz potrzeba.

- Tak - szepnął.

Tuż przed zaśnięciem zaświtała mu myśl, nienowa zresztą lecz wyjątkowo natarczywa: kto jest bardziej winien - jego ojciec, którego ręce są splamione krwią czy ówczesna władza, która bezpośrednio rąk sobie nie brudziła, ale doskonale wiedziała, co robi i nakazuje.

Bo nie wierzył w zaprzeczenia ojca.

112

113

Minęła druga w nocy. Henryk Zawada przesiadywał w samotni, jak nazywał swój gabinet, i raz po raz ocierał łzy, których nie umiał opanować. W uszach ciągle mu dźwięczała rozmowa z Pawłem, rozmowa, jakiej w życiu nie doświadczył, zresztą nie pragnął podobnych konfrontacji z kimkolwiek, a już w głowie nigdy mu nie powstało, że przyjdzie mu się tłumaczyć ze swojego życia przed własnym dzieckiem.

Żona spała, nie musiał więc się obawiać, że nagle do niego zajrzy i zobaczy, że on płacze, po raz pierwszy, odkąd są małżeństwem. To byłoby dla niej nie lada sensacja. Dobrze wiedział, że miał u niej opinię twardego człowieka, którego nic nic potrafi wzruszyć, choćby cały świat się walił. Bo istotnie, zazwyczaj rozczenie objawiało się u niego jedynie zaciśnięciem zębów i soczystym przekleństwem.

Rozmyślając o Pawle, raz po raz brał do ręki wycinki z różnych gazet, które skrzętnie, w tajemnicy, gromadził. Były to artykuły traktujące o trwającym procesie byłych pracowników departamentu śledczego dawnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, jak określił ich Paweł

- rzeźników. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie znalazł się na ławie razem z nimi. Nie od dziś wielokrotnie wracał myślami do tamtych lat oraz do trwającego procesu, z którego relacje pilnie śledził w prasie i telewizji.

Tej nocy nie położył się spać, nawet w fotelu nie zmrużył oczu.

XI

Paweł obudził się dopiero około dziesiątej. Usiadł na pościeli, ziewnął i nim zerknął w okno na majestatyczny gmach opery, przypomniał sobie koszmary sen, w którym przewijała się trudna rozmowa z ojcem i w konsekwencji wyimaginowane w jego umyśle sceny z życia ojca, dręczącego więźniów, stosującego rozmaite, wyszukane tortury.

Okropność.

Magdy nie było. W kuchni na stole zostawiła kartkę z notatką aby zrobił sobie śniadanie, ponieważ ona ma w mieście coś do załatwienia i nie będzie jej kilka godzin.

Zjadł bułkę z dżemem i wybrał się na krótki spacer. Mocny wiatr i chłód sprawiły, że otepienie po wczorajszym wieczorze w barze szybko mu przeszło, wróciła jasność umysłu. Znowu rozmyślał o rozmowie z ojcem, która dopiero teraz zaczęła mu się jawić z całą ostrością. Momentami czuł się wręcz przerażony, dręczył się, że popełnił niewybaczalne świętokradztwo, że podniósł na niego rękę, co w żadnej sytuacji nie powinno się zdarzyć.

Czcij ojca swego i matkę swoją- przypomniało mu się czwarte przykazanie. I słowa ojca. Nie był praktykującym katolikiem, podobnie jak Roman, jakkolwiek dzięki matce zostali ochrzczeni, daleko poza miejscem urodzenia. Mimo to był przekonany, że w życiu postępuje uczciwie, jest w

zgodzie z własnym sumieniem, które podpowiada mu, co wolno, a czego nie. Gdy się zastanowił, czy ponownie zdobyłby się na taką rozmowę, odpowiedział sobie twierdząco.

Wróciwszy usiadł w pokoju przy biurku i dalej pracował nad sztuką wpisując w nią wczorajszy, jedyny w swoim rodzaju dialog, który pamiętał co do słowa.

Naraz przerwał pracę i z niesmakiem pomyślał o sobie. Nieoczekiwanie poczuł się jak pozbawiony sumienia łajdak, który po dramatycznej rozmowie z ojcem pisze sztukę z zimnym wyrachowaniem bezlitosnego, płatnego mordercy. Okropność. Ale po godzinie roztrząsania tego nietuzinkowego dylematu podjął pracę, tyle że bez pisarskiego zapachu.

- Ludzie muszą poznać całą prawdę - szepnął niby uduchowiony mistyk, który ma światu coś ważnego do przekazania, a świat pokornie powinien go wysłuchać.

Wkrótce pojawiła się Magda, rozpromieniona. Widząc go zajętego, nie przeszkadzała mu. Zaparzyła aromatyczną herbatę i postawiła filiżankę na spodeczku przed nim. Podchodząc do okna, odchyliła firanę i wyostrzyła wzrok.

- O, twoja mama do nas idzie.

- Moja mama? - zdziwił się Paweł. - Twoja mama.

- Skąd wie, że u ciebie zamieszkałem?

- Wczoraj spotkałyśmy się w mieście.

Po minucie rozległ się dzwonek u drzwi. Magda poszła otworzyć. W progu stała pani Helena; uśmiechnęła się, lecz wyglądała na nieco podekscytowaną.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. Proszę. -Czy jest Paweł?

- Tak. Proszę, śmiało. Paweł wyłonił się z pokoju.

114

115

- Przechodziłam i postanowiłam zajrzeć do was.

Pomógł jej zdjąć płaszcz i poprowadził ją do pokoju. Usiedli. Magda zaparzyła kawę, przyniosła do pokoju ciastka i po wymianie paru uprzejmości z gościem, spojrzała na zegarek i powiedziała:

- Mam coś pilnego do załatwienia w mieście. Kiedy Magda wyszła, pani Helena powiedziała:

- Jest subtelna i dobrze wychowana - i rozejrzała się z typowo kobiecą ciekawością.

Paweł wpatrywał się we wzorzysty dywan.

- Piękne mieszkanie - stwierdziła.

-Nie przyszedłeś tu po to, żeby oceniać mieszkanie.

- Masz rację. - Upiła łyk kawy i przegryzła ciastkiem, po czym podjęła innym tonem: - Jakoś się nie kwapisz choćby zadzwonić do mnie.

Nieładnie, Paweł.

- Wiem.

- Powinniśmy porozmawiać. O twoim tacie.

- O nim nie chciałbym rozmawiać.

- Musisz. Czy ci się to podoba, czy nie. To twój ojciec.

- Podobno.

- Co to znaczy?! - Spiorunowała go wzrokiem. - Jak ty się wyrażasz?

-Przyzwicie.

- Paweł, co takiego się wydarzyło w naszej rodzinie, że się wyprowadziłeś,

że tata się rozpił, że unikasz rozmów? Wydaje mi się, że wokoło wszyscy wiedzą co się u nas dzieje, tylko ja pozostaję w nieświadomości.

- Nie wiesz?

-Nie. Już dłużej nie mogę wytrzymać w tej niewiedzy. Tata zamknął się w sobie, nic z niego nie da się wyciągnąć. Co tu się dzieje, u licha? -Nie chce mi się wierzyć, że nie wiesz, o co chodzi.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem - zapewniła stanowczo. Paweł zajął ręce robieniem kulek z papieru.

- Mamo, czy znasz przeszłość taty? Tę dotyczącą okresu, nim się poznaliście.

- Owszem, coś tam raz mi wspomniał.

- Coś tam?

- No, to i owo.

Paweł zmierzył ją ironicznym spojrzeniem, po czym odszukał na półce list Margowskiej i podał go matce.

- Proszę, przeczytaj. Twoje „coś tam” szybko nabierze konkretnej treści. Zerkał na nią ciekawo jej reakcji. Wydawała mu się nieporuszona. Szybko poradziła sobie z listem, po czym zapatrzyła się na obraz na ścianie; był to oryginalny Malczewski, opodał reprodukcji Kandinski'ego.

- Nie miałam najmniejszego pojęcia o tym wszystkim - powiedziała przekonująco.

-Nie?

- Nie. Naprawdę. - Opuściła powieki, westchnęła żałośnie i dodała: -Czy nie pomyślałeś, że ta kobieta mogła zwyczajnie nałgać, aby tatę oczernić?

-Widzisz, zadałem sobie sporo trudu i sprawdziłem informacje zawarte w jej liście.



- Sprawdziłeś... Rozumiem. Roman też dostał taki list? -Też.
- Do was je wysłała, do młodych - wyszeptła, jakby ze zrozumieniem.
- Ty na pewno nie dostałaś?
- Wiedziałabym - odrzekła z pretensją. Wstała i wyszła na korytarz.
- Czy tata ci mówił, że byłem u niego wczoraj?

Przystanąła, odwróciła się; na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie.

- Byłeś u niego? -Byłem.
- Nie, nic nie wspominał.
- Nie wierzę.
- Ty w nic nie wierzysz. Albo we wszystko! Tak źle i tak niedobrze. No i co?

- Po prostu pogadaliśmy o tym liście.

- Nie powiedziałabym o tym „po prostu”. Paweł wydał policzki.

- Po prostu - uparł się.

- Nie spał całą noc - rzekła z żalem i na długo zamilkła. Wreszcie podeszła do garderoby i sięgnęła po płaszcz. Paweł pomógł jej go założyć. Zrobił to z niebywałą delikatnością jak nigdy.

- Odwieźć cię?

- Nie - odparła przygaszona. - Spacer wyjątkowo dobrze mi się dziś przysłuży.

- Jak chcesz.

- Nie, Paweł, chcę być sama.

- Wobec tego jeszcze coś ważnego ci powiem, bo i tak możesz się przypadkiem dowiedzieć. Roman i ja mamy siostrę.

- Siostrę? - zdziwiła się.

- To córka Margowskiej - wyjął lakonicznie, jakby objawiając nic nie znaczącą rzecz. - I taty, oczywiście.

- Cóż... naprawdę już pójdę.

Dopiero teraz Paweł poczuł, że źle się zachował. Widząc nagłe przygnębienie na twarzy matki, jej zaszklone oczy, wolał nie mówić, że Margowska została zamordowana, zresztą nie uważał tego za istotne w tej rozmowie. Odprowadził matkę na ulicę, a gdy zniknęła za rogiem, wrócił do domu. Przecież jesteśmy dorośli, pomyślał na usprawiedliwienie.

Wkrótce przyszła Magda. Zdjęła płaszcz i rzuciwszy okiem na pochmurnego Pawła, zagadnęła:

- Miałaś poważną rozmowę? Opowiedział jej wszystko i zapytał:

- Sądzisz, że mama rzeczywiście mogła nie znać wcześniej przeszłości ojca?

- Przypuszczasz, że cię okłamała? -Tak.

- Dlaczego miałyby cię okłamać?

- Z prostej przyczyny. Znając mój stosunek do tej historii i do ojca, nie chce, żebym myślał o niej jak o jego cichej współniczce.

- Myślisz, że to rozumowanie ma ręce i nogi?

- Owszem. Jesteś odmiennego zdania? Magda nie odpowiedziała.

Roman pracował w swoim biurze. Kiedy zadzwonił jego informator z wiadomością dotyczącą zlecenia sprzed trzech dni, a związanego z Joanną podekscytował się.

- Dobrze, dziękuję - odrzekł Roman po wysłuchaniu i odłożył słuchawkę. Zasepił się i zapalił papierosa. W pół godziny później ubrał się i wyszedł z kancelarii.

Pojechał do domu, gdzie zastał matkę. Niezbyt często do nich zaglądała, choć z Iwoną pozostawała w dobrych stosunkach. Zabawiała się z wnuczętami, a Iwona w kuchni przygotowywała posiłek. Zauważył, że matka jest trochę przygaszona; nie dał się zwieść tym, iż żartowała z dziećmi. Kiedy zostali sami w pokoju, zapytał:

- Czym się trąpisz?

Matka wychyliła się na krzesło, zerknęła w stronę otwartych drzwi i zapytała cicho:

- Czy ty także dostałeś list od tej kobiety?

- Rozmawiałaś z Pawłem? -Tak.

- No to wiesz, że również dostałem. Bo ty nie dostałaś, prawda?

- Nie, do mnie nie napisała.

Roman spokojnie obserwował, jak na jej twarzy maluje się rumieniec, swoisty świadek koronny, który sam się pojawia u każdego i w każdej sytuacji, gdy co najmniej nieszczerze się odzywa. Coś z tobą nie tak, coś ukrywasz - podszepnął mu instynkt prawnika.

- Ona została zamordowana - powiedział matowym głosem. Pani Helena znieruchomiała.

- Zamordowana?!

- Nożem.

- Nożem... Kto ją zabił?

- Nie wiadomo, chociaż aresztowano podejrzanego. Bronię go.

- Ty? - zdziwiła się ponownie.

- Zwrócił się do mnie. -Kto to jest?

- Nazywa się Mrotek. To mąż Joanny.

- Joanny? Twojej byłej? -Tak.

Matka popadła w zadumę.

- Powiadasz, że to podejrzany, tak? Czyli nie ma pewności, że on zabił.

- Nie ma.

- A, twoim zdaniem, zabił? -Nie wiem.

Pani Helena znowu zerknęła na korytarz.

- Co sądzisz o jej liście, Romku? Mów szczerze. -Niewątpliwie napisała prawdę. Lecz nie ma sensu tego roztrząsać. Jej twarz trochę złagodniała.

- Mój Boże, czemu Paweł patrzy inaczej? - zapytała retorycznie. — To dlatego odszedł z domu.

- Dlatego.

- Nie dasz rady go przekonać do zmiany jego nastawienia wobec ojca?

- To beznadziejne.

- Paweł był wczoraj u taty.

- O!... Przełamał się.

118

119

- Ale nie powiedział mi, o czym rozmawiali. -Raczej: jak.

Matka spojrzała na niego z zastanowieniem i potaknęła.

- Z tatą wolę nie podejmować tego tematu, skoro on się do tego nie kwapi

- uzupełniła.

- Powiedz mi, czy przed laty nie znałaś tej strony przeszłości taty?

- Nie. Zapewniam cię. Paweł powiedział mi też, że macie... siostrę.

-Powiedział ci?... Mógł ci tego oszczędzić.

- To już głupstwo. Gdzie ona mieszka?

- Tego ci nie zdradził? -Nie.

- Niech więc tak zostanie.

- Dobrze - zgodziła się po namyśle. - Tata się upija, zamknął się w sobie jeszcze bardziej niż przedtem, po tym, jak Paweł nie zjawił się na jego urodzinach. Romek, przyjedź i porozmawiaj z tatą.

- Postaram się. Nie myślisz jednak, że to jest związane z jego chorobą?

- Jaka? -Rak.

- Skąd o tym wiesz?

- Rozmawiałem raz przypadkiem z jego lekarzem. Powiedział mi, że tacie niewiele życia zostało.

- To prawda - westchnęła. - Nie chcieliśmy wam o tym mówić. Tata nalegał.

- Dobrze, wpadnę.

Przerwali rozmowę w momencie, gdy pojawiła się Iwona z półmiskami na tacy. Kiedy ponownie zniknęła w kuchni, pani Helena zapytała konspiracyjnie:

- Powiedziałaś Iwonce o tym wszystkim?

- Ani słowa.

Matka aprobuszko skinęła głową.

- To nasze sprawy - szepnęła i jak gdyby z trudem uśmiechnęła się do dzieci, które z hałasem wtargnęły do pokoju.

XII

Roman nie szczędził wysiłku w obronie klienta. Zresztą zawsze się poświęcał bez względu na to, dla kogo pracował i za ile. Po raz kolejny prze-

120

studiował skrupulatnie materiały ze śledztwa oraz przeprowadził wywiady z sąsiadami zamordowanej, a także z niektórymi mieszkańcami sąsiednich

kamienic. Żadna z tych osób nie dostarczyła jego klientowi alibi na krytyczny dzień i godzinę, to znaczy, że Mrotek nie był przez nie widziany, jak tuż przed jedenastą wchodził do kamienicy. Rozmawiał też z Rymarskimi, którzy zauważyli Mrotka dziewiętnastego października tuż po jedenastej, gdy opuszczał mieszkanie Margowskiej. Powiedzieli, że wyszedł szybko, jak w panice.

O dziesiątej uporał się z paroma innymi rzeczami w kancelarii i powtórnie pojechał na Śląsk. Najpierw wstąpił do Rymarskich.

- Czy widzieli tu państwo kiedykolwiek którąś z tych osób? - zapytał, pokazując im trzy fotografie.

Oboje wpatrzyli się w zdjęcia.

- Tych kobiet nie znam... - odrzekł mężczyzna i skupił wzrok na trzeciej twarzy.

- A ja widziałam tę starszą- oznajmiła pani Rymarska. - Zaraz, dwa razy ją widziałam.

- Kiedy? - Roman starał się nie okazać emocji. Kobieta rozpoznała jego matkę.

-Najpierw gdzieś w końcu września. Pamiętam, bo wychodziła akurat od Margowskiej i psioczyła pod nosem.

- A drugi raz?

- Drugi raz to było, panie kochany, w tym dniu, w którym Margowską zabito. Lecz nie tu ją widziałam, nie tu, tylko na naszej ulicy, kawałek stąd, przy kiosku, bo akurat kupowałam gazetę, a ona papierosy.

- O której? - rzucił Roman. -No... gdzieś tak około jedenastej.

- Widzę, że ma pani doskonałą pamięć.

- Ta kobieta łatwo rzuciła mi się w oczy, taka elegancka. Zresztą

poprzednio również. Miała w sobie coś, rzekłabym, dystyngowanego, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Że innych nie dostrzega, tylko siebie.

- Oczywiście.

- Była nieco podenerwowana, bo kłóciła się z kioskarzem. A tej młodej nie znam. Ani tego mężczyzny.

- A ja go widziałem - rzekł Rymarski.

Roman znowu się rozemocjonował, gdyż mężczyzna rozpoznał jego ojca.

- Latem, chyba w lipcu - wyjaśnił po namyśle. - Dwa czy trzy razy przy-

121

jechał tu takim czerwonym samochodem, odwoził Margowską. Do niej nie wstępował. Potem już go nie widziałem.

Roman podziękował i porozmawiał jeszcze z innymi lokatorami kamienicy, z wyjątkiem Pleszyńskiej, której nie zastał, ale żadna z osób nie rozpoznała ani jego matki, ani Joanny, która, jak się dowiedział od informatora, nie miała alibi od dziewiątej rano do pierwszej po południu dziewiętnastego października.

Wrócił do biura, zadzwonił do Marii Małgorzaty i poprosił ją o rozmowę.

Zgodziła się, zapraszając go do siebie na czwartą. Ledwie odłożył słuchawkę, a telefon odezwał się ponownie. Dzwoniła matka.

- To co, przyjedziesz do taty? - usłyszał. - Najlepiej teraz, bo ja już wyszłam z domu, dzwonię z budki. Chciałabym, abyście byli sami. Inaczej się rozmawia sam na sam.

Roman spojrzął na zegarek.

- Dobrze - zgodził się i dodał ostrożnie: - Mamo, chciałbym cię przy okazji zapytać, czy przypadkiem nie czytałaś listu Margowskiej znacznie wcześniej?

W słuchawce zrobiło się cicho, jeżeli nie liczyć odgłosów klaksonów samochodów. -Co?

- Znałaś jego treść wcześniej? -Wcześniej?!

- Kto sprzątał w pokoju Pawła, zaglądał do wszystkich zakamarków, szukając kurzu i pajaków? On? Nawet by nie wiedział, jak miotłę schwyć, a gdyby wziął odkurzacz, to rury nie wsadziłby do otworu ssącego, tylko do wylotowego.

Usłyszał kilkakrotne odchrząknięcie.

- Masz rację - przyznała niechętnie - czytałam. Wpadł mi w ręce, gdy sprzątałam u niego. Miał go w szufladzie. I chyba nazajutrz się wyprowadził.

-Aha...

- Co, aha?

- Nic. Odruch.

- Nie miałam odwagi mówić z tobą na ten temat. Bo Paweł jest... No, wiesz sam, Paweł nie zawsze nadaje się do poważnej rozmowy. Ma te swoje artystyczne dziwactwa. Zresztą ty, i Paweł też milczeliście jak zakłeci, prawda?

- Prawda - przyznał.

122

-No widzisz. Lecz... tak dłużej trwać nie może, więc coś jednak próbuję robić, to znaczy rozmawiać z wami... I zaczęłam od niego.

- Rozumiem. Dobrze, pojedę do taty. Na razie. - Odłożył słuchawkę i wyciągnąwszy do tyłu złączone ręce, oparł na nich głowę i zamknął oczy. W pięć minut później wyszedł z kancelarii. Wsiadł do peugeot.

Miał pecha. Na jednym ze skrzyżowań jakaś półciężarówka wymusiła



pierwszeństwo i z niezłym impetem uderzyła w jego wóz.

Romanowi na szczęście nic się nie stało. Gdyby nie zapięte pasy, to niewątpliwie wylądowałby szczupakiem na przedniej szybie.

Wydostawszy się z wozu, podbiegł z soczystą wiązką do kierowcy półciężarówki. Wkrótce zjawiała się policja. Po załatwieniu formalności Roman zadzwonił do znajomego mechanika, który dysponował wozem holowniczym, i odstawił peugeota do warsztatu.

- Tak szybko go nie naprawię - usłyszał.

Nie przejął się zaistniałym wypadkiem. Miał ważniejsze problemy, niż rozżalenie się nad rozbitym wozem, który łatwo wyremontować.

Drobiazgami natury materialnej się nie przejmował, odkąd pieniądze przestały go podniecać. O wiele trudniej naprawia się zepsute stosunki między ludźmi.

Z pobliskiego automatu zadzwonił do teatru. Pomyślał, że najpierw powinien porozmawiać z bratem. Nie zastał go, przeto zadzwonił do mieszkania Magdy.

- Słucham - usłyszał głos Pawła.

- Cześć. Co u ciebie?

- W porządku.

Zastanowił się, jak przejść do konkretnej rozmowy.

- Tata się rozpił - powiedział.

- Wielka mi rzecz.

- Jak dla kogo.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

- Byłem u niego w niedzielę - odezwał się Paweł. -Przypuszczam, że szczerze sobie pogadaliście.

- Bardzo szczerze.

Roman z rosnącym zainteresowaniem wysłuchał jego relacji, nie przerywając mu słowem.

- Nie powiesz mi, że przeze mnie się rozpił?

- Nie. Z tatą nie jest najlepiej, niewiele miesięcy mu pozostało, rak. Paweł?

- dorzucił, gdy po drugiej stronie słuchawki zaległo długie milczenie.

- Tak, słyszę.

123

- Nie wiedziałeś o chorobie taty?

- Widać po nim wyraźnie, że zdrowie mu szwankuje.

- Dobra, na razie. Aha, przydarzył mi się wypadek. -Wypadek?

-Na szczęście nic groźnego, choć wóz nie wygląda ciekawie. Nie wspominaj o tym mamie.

- Jasne. Cześć.

Wziął taksówkę i wkrótce dotarł do celu. Drzwi otworzył mu ojciec. Był w fartuchu roboczym i miał umorusane ręce.

- Dzień dobry, tato.

- Nie szkodzi.

- Ty zawsze jesteś w humorze. - Wyczuł od niego woń alkoholu. Przyjrzał mu się uważniej: wyglądał coraz gorzej.

- Ostatnio w wyjątkowym.

- W wyjątkowym... Co się stało?

Weszli do obszernej kuchni, gdzie ojciec naprawiał kuchenkę. Na stole stała napoczęta butelka żytniej i kieliszek.

- Mamy nie ma?

- Siedzi u koleżanki. Napijesz się?

- Odrobinę. A nawet trochę więcej.

-Nalej sobie. Ja muszę się wreszcie uporać z tą cholerną machiną - dodał i zabrał się do pracy - bo mama od paru dni mi marudzi.

Roman wyjął z szafki drugi kieliszek, nalał ojcu i sobie. Wypił.

- Półtorej godziny temu miałem wypadek. -Co?!

Roman opowiedział mu o zdarzeniu i poprosił, żeby nie wspominał o tym mamie.

- Cholera, bez wozu będę jak bez ręki - dodał.

- Weź mój. -A ty?

- Poradzę sobie. Zresztą ostatnio rzadko wyjeżdżam.

- Dobra.

Ojciec przerwał pracę i zapatrzył się w okno. .

- Czy Paweł się odezwał? - zapytał ostrożnie Roman.

- Paweł...

- Co się stało...

- Gdybym to ja wiedział...

- To znaczy?

Nie uszło uwagi Romana, że ojciec ma rozbiegane oczy, a kąciki ust mu drżą.

- Powiedz mi - zapytał ojciec z wahaniem - czy dostałeś we wrześniu jakiś list?

- Masz na myśli list od twojej pierwszej żony?

Ojciec przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby się przesłyszał, gdyż odpowiedź zabrzmiała natychmiast, była pewna i stanowcza. Jak u rasowego prawnika.

- Dostałeś... Tak przypuszczałem. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Nie wiem. - Westchnienie, które Roman teraz z siebie wydał, było wyjątkowo ciężkie, jak gdyby miało ostatecznie dopełnić i zamknąć niewygodny temat.

-A wiesz, że masz... siostrę?

- Dowiedziałem się.

Ojciec utkwiał wzrok w posadzkę.

- Nie rozmawiałem z nią o tym - podjął Roman. - Znam ją z sądu, zamieniliśmy wszystkiego parę słów. Nie o tobie.

- Paweł powiedział mi o zamordowaniu Jadwigi. To tragiczne. Czy ty też pofatygowałeś się do niej?

-Nie.

- Jesteś szczery? -Tak.

Popatrzyli na siebie spokojnie, po męsku.

- I co ty na to wszystko, Romek? Czemu siedziałeś cicho?

- Nie potrafię odpowiedzieć.

- Brak odwagi do rozmowy ze mną?

- Sam nie wiem. A Paweł?

- W przeciwieństwie do ciebie przemógł się.

- Czy to zarzut wobec mnie?

- Nic podobnego.

- Cóż, przeczytałem ów list i... i tyle. Owszem, byłem zaskoczony, lecz w końcu uznałem, że to nie moja rzecz. Życie jest nieco bardziej skomplikowane niż całe prawodawstwo świata razem wzięte. Jeśli się w coś wierzy, to przecież jakiegokolwiek zachowania są tego konsekwencją. Trudno winić kogoś za wiarę, choćby złą, za to, co się w jej imię robi.

- Czy aby nie upraszczasz sprawy?

- Sądysz, że mówię nieszczercze? O to ci chodzi? -Tak.

124

125

-Wydaje mi się, tato, że jestem szczerzy. -Wydaje ci się?

- Widzisz... tak skomplikowane historie trzeba rozpatrywać wyłącznie jakby po najmniejszej linii oporu, bo nie sposób po wielu latach oceniać coś jednoznacznie, zwłaszcza komuś, kto nie zna tego okresu. Stąd w swoim wahaniu co do samego siebie jestem najzupełniej uczciwy wobec ciebie. A czy to wszystko prawda, co ona napisała?

- Tak, oczywiście, że musiałeś o to zapytać.

- Oczywiście.

- Prawda, Romek - rzekł, starając się wytrzymać jego spojrzenie. - Prawda.

- Wierzę.

- Więc i ty uważasz mnie za skurwysyna, zbrodniarza, który tylko dla własnego dobra walczył o lepsze życie?

- Tego nie powiedziałem. - Roman zagryzł wargi i opuścił oczy; poddał się.

Ojciec sięgnął po cygaro i zapalki. Powiedział cicho: -Nieważne. Pawłowi nie przyznałem się do wszystkiego.

- Gdzie masz tę piękną zapalniczkę, którą dostałeś od Iwony? - Roman zmienił temat.

-Nie wiem, gdzie się zapodziała. Szukałem, nie mogłem znaleźć. Iwona będzie zła, co? - Dmuchnął dymem i usiadł.

- Jak się dowie.

- Powiedz mi synu, nie patrząc jednak na suchą, bezlitosną literę prawa, czy według ciebie zbrodnia popełniona w imię racji stanu może być

usprawiedliwiona w przeciwieństwie do zbrodni pospolitej?

- Raskolnikow także ten problem roztrząsał. -Raskolnikow?... Rozumiem...

- Lecz odpowiem ci. Sądzę, że tak.

- Próbujesz mnie pocieszyć?

- Nie. Co myślisz o trwającym procesie funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego?

- Ładnie się wyraziłeś. Paweł był dosadniejszy. Gdybym się tam znalazł, to zachowywałbym się godnie. Nie kłamałbym, nie wykręcał się lukami w pamięci, a z pokorą przyjmowałbym oskarżenia pod moim adresem.

Odrobina honoru we mnie została. Ale mnie tam nie będzie, ja umieram.

Kwestia miesięcy... Romek, kiedy umrę, znajdziesz w moim sejfie

dokumenty, których nawet twoja mama nie widziała. Chciałem je

zniszczyć, ale w tej sytuacji nie ma sensu. Tobie je powierzam. Jesteś

prawnikiem, zrobisz z nimi, co

126

zechcesz. Wracając do zamordowania Margowskiej, bronisz oskarżonego, tak?

- Zgadza się. -Kto nim jest?

- To mąż Joanny.

- Jak do ciebie trafił.

- Przez nią.

- Jakie są dowody przeciwko niemu?

- Żadnych bezpośrednich. On jest domokrażcą - dodał i wyjaśnił szczegóły.

- Kto go oskarża?

- Twój dobry znajomy, Radwański.

- Radwański...
- Potrafi zaskoczyć.
- Jaką przyjąłeś linię obrony?
- Uniewinnienie.

Były prokurator z zastanowieniem uniósł brwi.

- Szanse? -Mam.
- W życiu liczą się wyłącznie sukcesy. Twoim zdaniem facet jest winny?
- dorzucił.

Klasyczne pytanie we właściwej kolejności, pomyślał z lekkim sarkazmem Roman i nabrał powietrza, i wolno je wypuścił.

-Zaczynam przypuszczać, że aresztowano niewłaściwego człowieka.

- Nie nowina.
- Tato, czy nie widziałeś się ostatnio z Joanną?
- Tak, spotkaliśmy się przelotnie - przyznał po krótkim zaskoczeniu. -Miła kobieta.
- Czemu mi nie powiedziałeś, że parę lat temu pomogła ci w sprawie, którą prowadziłaś w jej firmie?
- Nie chciałem w tobie budzić wspomnień.
- Rozumiem.
- Romek, słuchaj... czy mógłbyś porozmawiać z Pawłem? -Porozmawiać?
- Tak - szepnął - porozmawiać. Po prostu.
- Dobrze. Spróbuję. Raz próbowałem.
- Próbowałeś?
- Ciężko się z nim rozmawia.

127

Roman nagle stwierdził w duchu, że jemu również teraz ciężko się

rozmawia z ojcem, chyba po raz pierwszy w życiu. Zwykle byli wobec siebie otwarci, swobodni, zdolni nawet do zwierzeń w rozmaitych męskich historiach. Uświadomił sobie także, iż wyczerpała się jego ochota na pogawędkę.

Wyszli na podwórze. Ojciec otworzył garaż i bez słowa podał Romanowi kluczyki od czerwonego opla. Po chwili Roman wyjechał z garażu. Nie wysiadając z wozu, przypomniał ojcu:

- Tylko mamie ani słowa o wypadku.
- Nie obawiaj się. Mama do garażu nie zagląda, więc się nawet nie zorientuje, że wozu nie ma.

Roman pojechał na Stawową na Błonie, gdzie w ładnym M-5 mieszkała Maria Małgorzata. Był ciekaw jej sposobu bycia. Otworzyła mu drzwi i uśmiechnęła się szeroko. Ależ ma piękne zęby, przemknęło mu przez myśl.

- Dzień dobry - rzekł.
- Dzień dobry, panie bracie.
- Otóż to.
- Proszę do środka, zaraz zrobię coś do picia. Co pan pije?.
- Poproszę o coś bezalkoholowego.
- Bezalkoholowego? - zdziwiła się. - Czy to skaza zawodowa?
- Broń Boże.

Przeszedł do ładnego i gustownie umeblowanego pokoju. Po minucie siedzieli naprzeciwko siebie, sącząc wodę mineralną.

- Powinniśmy mówić sobie po imieniu, skoro jesteśmy w połowie rodzeństwem - zaproponowała.
- Jasne. Dlaczego w sądzie prowokowałaś rozmowę ze mną?
- Po prostu chciałam ci się bliżej przyjrzeć. Nie wiedziałeś jeszcze, że



mamy tego samego ojca, prawda?

- Nie. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Wolałam, żebyś dowiedział się od Pawła.

- Pozwolisz, że teraz ja się tobie przyjrzę. Prowokacyjnie podsunęła mu twarz.

- Mamy podobny wyraz oczu. Teraz to dostrzegam.

- Zgadza się. Wszyscy troje.

- Znasz naszego ojca? -Nie.

Roman wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro i poczęstował Marię Małgorzatę.

- Nie mam ognia - skłamał.

Poszła po torebkę, z której wyciągnęła zapalniczkę. Roman wyjął ją z jej ręki i przypalił papierosa.

- Zamierzałem z tobą porozmawiać kilka dni temu - powiedział, bawiąc się zapalniczką - ale nie miałem szczęścia cię znaleźć ani w firmie, ani w domu.

- Jeździłam w interesach po Polsce.

- Masz ciekawą pracę?

- Nie narzekam. Pawła poznałam pod koniec września. Przyjechał tutaj.

Nie mogłam uwierzyć w jego rewelacje, ale przekonał mnie, kiedy dał mi do przeczytania list mojej matki do niego.

- Przeżyłaś szok?

- Tak. Kompletny szok. I wtedy dopiero zrozumiałam, dlaczego ona była wobec mnie taka, jaka była.

- To znaczy?

- Nie żyłyśmy najlepiej. Nie traktowała mnie, jak przystało na troskliwą

matkę. Czasem, gdy pojęłam ludzkie zachowania, wydawało mi się, że jestem dla niej złem koniecznym, ciężarem. No i kiedy dorosłam, odpłacałam jej podobnie. Naprawdę niechętnie do niej przychodziłam, odkąd sześć lat temu wyszłam za mąż.

- Czemu tak późno te listy napisała? I dlaczego w ogóle?

- Musiała serdecznie nienawidzić swojego pierwszego męża i wszystkiego, co nosiło jego cząstkę, czyli mnie. Ostatecznie wiele lat to w sobie dusiła i zapewne bała się, że jeśli wcześniej go zdemaskuje, to on się zemści na niej albo na jej mężu, który zmarł parę lat temu.

- Jaki on był dla ciebie?

- Bardzo dobry. Kochałam go jak rodzzonego ojca. I nadal go uważam za ojca. Nie mam zamiaru nanosić poprawek w swoim życiorysie. Wspaniały ojciec - rozrzewniła się. - Jezu, skoczyłabym za nim w ogień. Bardzo go kochałam. Sądząc z listu matki, w naszym ojcu widziała wcielonego diabła. Pewnie to nieludzkie, ale nie czuję żalu po jej śmierci. No, momentami, przyznaję. Teraz. I czasem sobie popłaczę.

- Też dostałaś od niej list?

- Niezupełnie. W dniu jej zabójstwa znalazłam podczas przeszukiwania mieszkania list adresowany do mnie, datowany w sierpniu tego roku, w którym wyjawiała mi, gdzie trzyma weksle, abym w razie jej nagłej śmierci mogła ściągnąć pieniądze. Poza tym parę ogólnych uwag o naszych wzajemnych stosunkach, lecz ani słowa o twoim ojcu. I moim. Może chciała mi oszczędzić ewentualnych przykrości z tego powodu. Gdy się dowie-

działam rewelacji od Pawła, nie zdecydowałam się na rozmowę z nią. Ona również mi nie powiedziała, że Paweł był u niej, choć podała mu mój

adres. Po prostu udawałyśmy, że taka historia nie istnieje. Potrafisz to zrozumieć?

- A jeżeli jednak czekała na twoją reakcję? Przecież musiała się liczyć z możliwością że Paweł będzie z tobą rozmawiał i powie ci, kto naprawdę jest twoim ojcem.

- Tak, ostatnio mnie to męczy...

Zadzwonił telefon. Maria Małgorzata przeszła do drugiego pokoju. Roman wykorzystał okazję, żeby zamienić zapalniczkę na identyczną, jaką niedawno kupił. Nim to uczynił, przyjrzał się zapalniczce Marii i Małgorzaty; na jej denku spostrzegł rysę. Była to ta sama zapalniczka, którą widział u niej w sądzie.

Po trzech minutach wróciła.

- Nic pilnego - powiedziała.

- Ładna. — Odłożył zapalniczkę.

- Już to raz zauważyłeś - rzekła z humorem. - Właściwie należała do matki. Nawet mnie zdziwiło, że rzuciła się na coś tak drogiego.

Wprawdzie mogła sobie pozwolić na rozmaite kosztowne rzeczy, ale stroniła od tego rodzaju zbytków. Zawsze używała jednorazówek.

Znalazłam ją w dniu jej śmierci, leżała w kryształce na kredensie, więc po prostu ją wzięłam.

- Co było przyczyną jej alkoholizmu?

- Pewnie samotność, zaczęła pić po śmierci ojca. Obsesyjnie bała się o siebie. W owych listach musiała widzieć swoistą zemstę na naszym ojcu.

Na ojcu, a tak naprawdę, to was chciała pogrążyć. Tak teraz

przypuszczam. Jak się domyślam, z tobą jej się nie powiodło, lecz z

Pawłem raczej tak, co?

Roman wzruszył ramionami.

- Często ją odwiedzałaś?

- Rzadko. Nieraz z jakąś przyjaciółką gdyż samej nie uśmiechało mi się do matki wpadać, mimo że z pracy mam do niej bardzo blisko, raptem pięć minut. Wyobraź sobie, że gdyby nie przypadek, to chyba nie doszłoby do tego morderstwa.

- To znaczy?

- Tamtego dnia miałam wpaść do niej około jedenastej, ale coś mi wyskoczyło. W firmie nakłamałam, że idę do lekarza. Przy okazji, czy... ciągle jestem podejrzana?

Roman zwiesił głowę.

- To dlatego zrezygnowałaś z wejścia do motelu, gdy Paweł ci wskazał na mój wóz

- Tak, bo mnie wkurzyło, że mnie sprawdzasz - powiedziała bezceremonialnie. - Nie chciałam cię widzieć, byłam wściekła.

- I jak tu wierzyć kobietom...

Maria Małgorzata wybuchnęła śmiechem.

- Ala jest dobrą przyjaciółką wszystko mi powie. A tak nawiasem, dlaczego znalazłam się na twojej liście podejrzanych? Jaki motyw mógłby mną kierować? Kłótnia i w efekcie zabójstwo za jej stosunek do mnie? Za ukrywanie przede mną prawdy o moim prawdziwym ojcu?

- Czasem trzeba rozpatrywać różne warianty.

- Nieważne. - Strzepnęła popiół z papierosa do porcelanowej popielniczki.

- Co porabia twój mąż?

- Jest na kontrakcie zagranicznym.

- To masz pełen luz — zażartował.

- Nie wykorzystuję go do końca. Zdążyłam się zorientować, że Paweł jest wrażliwy.

- Okropnie.

- Artystyczna dusza. Parę razy oglądałam go w teatrze, podobał mi się, lecz nie zgadłabym, że to mój przyrodni brat. Podobnie jak ciebie bym za brata nie uznała.

- Życie lubi zaskakiwać.

- Ostatnio spotkałam Pawła pod koniec października, siedział w sklepie nad kupnem koszuli. Doradziłam mu. Przyjechaliśmy tutaj na pogawędkę. Wlewaliśmy w siebie wino, a wylewaliśmy żale, tak żeby równowaga w organizmie się utrzymała — uzupełniła wesołość.

- Przedtem prawie nie pił.

- Dlaczego od razu mnie nie odwiedziłeś, kiedy Paweł powiedział ci o mnie?

Zaskoczony tym pytaniem przeniósł wzrok na szklanekę z napojem.

- Nie wiem - odrzekł. - Zresztą, nie od razu mi o tobie powiedział.

- Czemu?

- Bo był ciekaw, czy pójdę jego śladem, do twojej matki i do ciebie. Po prostu sprawdzał moją wrażliwość na tę historię. Czy dorównuje jego.

- Widzę, że naprawdę mocno się różnicie. A co ty myślisz o ojcu? Roman przeganiał dłonią włosy.

- Nie mam pojęcia, jaki bym był na jego miejscu... co mogę myśleć? Masz zamiar go poznać?

- Ani mi się śni - powiedziała stanowczo. - On mnie nie interesuje. Przekaż mu to.

- Jeśli mnie zapyta o ciebie. Popatrzyli na siebie pogodnie. -Bronisz

mordercy mojej matki...

- Oskarżonego - poprawił ją. -Rzeczywiście. Wierzysz, że jest niewinny?

- Tak przypuszczam. Znałaś go wcześniej? -Nie.

- Matka nigdy ci o nim nie wspomniała?

-Nie. Lecz raz widziałam go wychodzącego z kamienicy, w której mieszkała. Dobrze by było, abyś wyciągnął tego faceta, bo nie oddał jeszcze pieniędzy, które od matki pożyczył. Nie mam zamiaru mu ich podarować - dodała z humorem.

Roman wykonał nieokreślony gest rękoma.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytała.

- Chciałbym pojechać na Śląską.

- Naturalnie. Co masz zamiar zbadać?

- Parę drobiazgów.

- Policja coś przeoczyła?

- Nikt nie jest nieomylny. Staram się uczciwie pracować na chleb.

- No, nie bądź taki skromny. A przypadkiem nie na kawior i szampan?

Jedźmy.

-Najpierw zadzwonię do Kowalskiego, który prowadził śledztwo. Chcę, żeby był tam z nami.

- Dobrze.

Wkrótce wsiedli do opla i w kwadrans znaleźli się na Śląskiej. Aspirant Kowalski oczekiwał zaintrygowany. Wysiadł z poloneza i przywitał się z nimi.

- Mam nadzieję, że naprawdę nie ma pan nic przeciwko temu, abyśmy razem rozejrzeli się po mieszkaniu - powiedział Roman.

- W porządku. Co pan zamierza odkryć?

- Muszę parę rzeczy zbadać, gdyż nie dają mi spokoju.
- Nie wierzy pan w winę Mrotka?
- Wierzyć w niewinność klienta, to luksus w naszym zawodzie, o czym pan doskonale wie. Ale nieraz zdarzają się nawet cuda.
- Ostatnio coraz częściej - przyznał policjant. - Nawet takie, o których się głupkom nie śniło.

132

Weszli do budynku. Roman najpierw sprawdził działanie zamków w drzwiach mieszkania.

- Co pan o nich sądzi? - zapytał.
- Chodzą bez zarzutu - stwierdził policjant.
- Nie są zatrzaskowe, prawda? -Nie.

Weszli do środka.

- Robiłaś tu jakieś przemeblowania? - Roman zwrócił się do Marii Małgorzaty.
- Tylko posprzątałam. Czy to ma znaczenie?
- Nie wiem. Przypominasz sobie, czy tego dnia, kiedy tu weszłaś i odkryłaś zwłoki matki, grało w mieszkaniu radio?
- Radio - zdziwiła się. - Nie, nie grało.
- Na pewno?
- Na pewno. Przypominam sobie, że moja przyjaciółka, z którą wtedy tu przyjechałam, zauważyła, że w mieszkaniu jest cicho.
- Gdzie ono jest?
- W kuchni.

Weszli do kuchni. Radio tranzystorowe stało na stole. Roman obejrzał je.

Nie było podłączone do sieci, gdyż przewód leżał oddzielnie, na parapecie

okiennym.

- Używałaś go od tamtego dnia? -Nie.

- A przestawiałaś je z innego miejsca? -Nie.

- Radio stało z tego końca stołu - rzekł aspirant. - Policjant je przestawił.

- Czy on je włączał? - zapytał Roman.

- Nie, bo nie usłyszałem, żeby grało.

- Jest włączone.

- Co to oznacza? - zapytała Maria Małgorzata.

- Że ma w środku baterie, teraz już wyczerpane - wyjaśnił i otworzył pokrywkę pojemnika na baterie. Wziął z parapetu przewód, podłączył i radio zagrało.

- Zgadza się — przyznała. - Lecz nadal nie widzę związku.

- Związek jest taki, że prawdopodobnie tego dnia, kiedy twoja matka została zamordowana, nie było w mieszkaniu prądu. Muszę zobaczyć w zakładzie energetycznym. Czy może pan to sprawdzać?

133

- Nie - odrzekł Kowalski w wyraźnym zakłopotaniu. Maria Małgorzata z dezaprobatą pokręciła głową.

- Oświeć mnie Roman, bo jestem ciemna - poprosiła.

- Później. Widzę tu kuchenkę elektryczną.

-Parę lat temu w jednym z pobliskich domów nastąpił wybuch gazu i matka się przestraszyła. Zlikwidowała kuchenkę gazową raz na zawsze.

Kupiła elektryczną.

- Rozumiem. Matka miała jakąś zieloną sukienkę, prawda? -Tak.

- Jedną?

- Dwie, każda w innym fasonie.



- Mogłabyś nam je pokazać?

- Oczywiście. Usiądźcie, panowie.

Przeszli do pokoju, rozmawiając o niektórych aspektach popełnionego tu morderstwa. Przerwali dyskusję, gdy Maria Małgorzata przyniosła jedną suknię.

- Nie wiem, gdzie jest druga...

- Zajrzyj do łazienki - podpowiedział Roman. - Moja żona wkłada brudne rzeczy do wiklinowego kosza.

- Też mi nowina!

Roman dokładnie obejrzał suknię i w końcu ją odłożył. Po minucie oglądali drugą zieloną suknię, na której w kilku miejscach były nieduże plamy krwi.

- Co państwo na to? - zapytał Roman. Kowalski nie wyglądał na najszcześliwszego.

- Panie aspirancie, proszę zabrać tę suknię do laboratorium, niech zbadają te plamy.

- Jasne - mruknął policjant.

- Trzeba będzie uzupełnić wyniki śledztwa - kontynuował Roman.

- Chyba nic więcej tu nie znajdziemy. To tyle, co miałem do pana. Mam jeszcze inną sprawę do załatwienia.

Kowalski pożegnał się i wyszedł odprowadzony przez Marię Małgorzatę, która zdążyła zawinąć suknię w papier i wręczyć policjantowi.

- Nie powiedziałbym, że twoja matka stroniła od zbytków - oznajmił Roman, ogarniając wzrokiem pokój - o czym mi wspomniałaś.

- To wszystko jest dziełem ojca, kolekcjonera z krwi i kości - uśmiechnęła się i nagle popadła w melancholię - Tak, mojego ojca, prawdziwego

-zaakcentowała.

134

- Jeżeli nie zrobi ci różnicy - powiedział Roman - chciałbym wstąpić do sąsiadki, pani Pleszyńskiej.

- Jasne. Poczekam, choć nic z tego nie rozumiem. Wyszedł i wrócił po kwadransie.

- I co? - zapytała.

- Przeprowadziłem pożyteczną rozmowę. Powiedz mi teraz, z kim twoja matka przyjaźniła się, szczerze przyjaźniła. Z panią Pleszyńską?

- Nie, mimo że dość często się odwiedzały. Właściwie z nikim z tego domu nie pozostawała w autentycznej przyjaźni. Ze względu na swój alkoholizm w ostatnich latach wolała być w cieniu, stwarzać pozory porządnej sąsiadki. Zależało jej na opinii. Tak, miała serdeczną przyjaciółkę, nazywa się Bogumiła Wójcik, mieszka na Libelta...

Roman odwiózł Marię Małgorzatę do domu.

- Czy ci mówiłem, że jesteś ładna? - zapytał, nim wysiadła.

-Nie.

- To ci mówię.

- I ty jesteś przystojny.

- Tylko co z tego?

- Tylko co z tego.

Roześmiali się i pocałowali w policzek. Roman pojechał na Libelta. Po drodze rozmyślał o procesie, o tym, że nie Mrotek jest zabójcą Jadwigi Mar-gowskiej.

Roman już wiedział, kto ją zamordował.

- Co byś zjadł na spóźniony obiad? - zapytała Magda.

- A co masz ochotę zrobić?
- Cokolwiek, na co masz apetyt.
- Dobrze, zrób cokolwiek. Ty nawet z niczego potrafisz przyrządzić wspaniałe jedzenie.
- W przeciwieństwie do ciebie. Mając rarytasy, potrafisz jedzenie schrzanić.

Rozweselony Paweł wszedł do kuchni. Po raz kolejny przyznał w duchu, że Magda wyjątkowo dbała o swoje sanktuarium, które urządziła gustownie i funkcjonalnie. Przyjemnie w nim się czuł.

Po obiedzie zajął się pisaniem. Magda nie przeszkadzała mu, nawet nie pozwalała sobie na zagłądanie mu przez ramię. Gdy skończył i wstał zadowolony, zapytała:

135

- Dobrze ci szło?
- Nieźle.
- Świetnie. Czas do teatru, dochodzi szósta - dodała, spoglądając na szafkowy zegar w rogu pokoju, po czym podeszła do lustra w korytarzu i obciągnęła spódnicę.
- Rany, jesteś piekielnie zgrabna - podniecił się Paweł, stanąwszy w drzwiach.
- Chciałbyś teraz mnie wziąć?
- Wiesz, że tak.
- Nic z tego. Czeka na ciebie ukochana Chimena.
- Diabli z Chimeną- zaśmiał się. - Życie się liczy, a nie papierowe postaci.
- Podeszedł do niej i objął ją czując wciskające się w niego jej kształtne pośladki.

- Jesteś w błędzie, mój drogi - powiedziała i zgrabnie mu się wymknęła. Wystawiano Cyda. Pod koniec pierwszego aktu Paweł spostrzegł, że na widowni, w mrocznej głębi, siedzi ojciec. Początkowo nie był tego pewien, ale nim akt dobiegł końca, potwierdził swoje przypuszczenie. Absolutnie nie miał ochoty na spotkanie z nim.

Kiedy po spektaklu wychodził z Magdą z teatru, zobaczył ojca krążącego naprzeciwko, przy parku, pod mgliście świecącą latarnią. Magda także go zobaczyła.

- On chce z tobą rozmawiać - powiedziała, silnie wczepiając się palcami w jego ramię. - Idź do niego.

-Nie.

- Paweł, powinienes. Musisz.

- Łatwo ci mówić.

- Nie, wcale nie. Idź. Zaczekam w samochodzie. - Uszczypnęła go w nadgarstek i popchnęła w tamtą stronę.

Przełamawszy wewnętrzny opór, Paweł podszedł do ojca. W milczeniu patrzyli na siebie. Magda wsiadła do samochodu i w napięciu obserwowała obu mężczyzn.

- Czy to miała być nasza ostatnia rozmowa? - usłyszał Paweł cichy, przygnębiony głos ojca.

- Nie wiem.

- Nie wiesz... A co wiesz? Jak grać Rodryga, tak? Jak borykać się z wymyślonymi problemami, gdy własne, prawdziwe się piętrzą co?

Pewnie, najlepiej od nich uciekać, zaszyć się w innym, wyimaginowanym świecie, gdzie się jest bohaterem, gladiatorem, herosem. Paweł, nienawidzisz mnie...

-Nie, chyba nie... Nie wiem...

- Wiesz.

- Skończmy tę rozmowę, to nie ma sensu. Już nie potrafię z tobą normalnie rozmawiać, choćbym chciał. Zwyczajnie nie potrafię - dodał i odszedł szybkim krokiem, jakby odchodził od trędowatego. Usiadł za kierownicą samochodu i z wściekłością przekreślił kluczyk w stacyjce.

- Paweł - szepnęła Magda - jesteś wobec niego brutalny. Zbyt brutalny. Nieludzki.

Paweł spojrzał na nią ostro.

- Nigdy nie byłam komunistką- syknęła.

Przejechali tuż obok Henryka Zawady, ciągle stojącego w tym samym miejscu - nie spojrzał w ich stronę, wręcz przeciwnie, z jakąś ostentacyjną dumą odwrócił wzrok.

- Przestań się roztkliwiać - upomniał ją.

- Chyba nie rozumiem cię tak do końca.

- To dobrze.

- Wiem, że przeżywasz piekło - zatroskała się- ale sam się w nie wpakowałeś.

- Ja tu nic nie mam do gadania! Kompletnie nic, do cholery! Wiele nad tym rozmyślałem, zwłaszcza po niedzielnej rozmowie.

- Tak — przyznała cicho. - Wierzę ci.

Nagle Paweł przestał nad sobą panować - wybuchnął spontanicznym płaczem. Zatrzymał samochód i oparł głowę o kierownicę. Zaskoczona Magda nie wiedziała, jak zareagować, w końcu przyciągnęła go do siebie i przytuliła.

- Wypłacz się, kochany - powiedziała czule - to czasem pomaga, nawet

mężczyźnie.

Kiedy wreszcie się uspokoił, ruszyli; przez resztę drogi nie odzywali się. Roman popijał piątą piwo tego wieczoru i gapił się w telewizor. Na ekranie paradowały skąpo odziane dziewczyny. Iwona położyła dzieci spać i usiadła obok niego.

- Jesteś dziś nieswój - powiedziała. - Takie piękne, długonogie laski na ekranie, a ciebie coś dręczy. Ten wypadek?

-Tak.

- Nie, nie to. Mnie nie oszukasz, takimi drobiazgami się nie przejmujesz. - Przywarła do niego, wsunęła mu dłoń pod koszulę i zaczęła głaskać jego piersi. - Nawet prowadząc trudne procesy, potrafiłeś w domu trysnąć humorem. Co cię gnębi? Powiedz.

Roman nigdy nie wtajemniczał żony w swoje sprawy zawodowe, najwyżej zbywał ją jakimś ogólnikiem, lecz tym razem czuł, że musi się jej zwierzyć. W końcu sprawa była nietuzinkowa.

- Masz rację, Iwonko - przyznał. - Prowadzę teraz coś, co przybrało zupełnie nieoczekiwany obrót.

- Opowiedz.

Powiedział jej pokrótce o wszystkim, także o Joannie, wspominając, że przed laty była jego dziewczyną. Nie wyjawiał jedynie nazwiska mordercy Margowskiej. Iwona w skupieniu przetrawiała jego opowieść.

- Wyciągniesz tego Mrotka? - zaciekała się.

- Muszę.

- A wyciągniesz? -Tak.

- Kto jest mordercą? Wiesz?

- Nie - skłamał. -Ej, nie wierzę.

- Czemu?
- Bo zaznaczyłeś przedtem, że sprawa przybrała zupełnie nieoczekiwany obrót. Przyznasz, że gdyby miało się tylko okazać, iż ów Mrotek nie jest winien, to przecież nie byłoby to aż takie nieoczekiwane, w każdym razie nie powiedziałbyś tego z miną zwiastuna hiobowej wieści.
- Złapałaś mnie.
- Nie jestem głupia - rozweseliła się.
- Wiem.
- Ale nie zdradzisz mi nazwiska mordercy?
- Nie.
- Rozumiem. Czy Joanna była ładna? Roman zerknął na nią z ukosa.
- Oj, powiedz - poprosiła przymilnie.
- Tak. I jest.
- Inteligentna? -Tak.
- Dlaczego zerwaliście?
- To długa historia.
- Ja mam czas - rzekła przekornie i mocniej się do niego przytuliła. Cmoknęła go w ucho.

138

- Iwonko, czyja ciebie pytałem kiedykolwiek o atrakcje twojego panińskiego życia?
- Jakie atrakcje w życiu mogła mieć dziewczica?
- Muszę cię wpakować na miesiąc za kratki, to się przekonasz, jakie atrakcje może mieć dziewczica.
- Jesteś niesamowity. - I kochany.
- Oczywiście. - Pocałowała go. - Opowiedz mi o was. Wiesz, że nie jestem

zazdrosna o twoją przeszłość.

Spełnił jej prośbę i zakończył słowami:

- No i się okazało, że trafiła na niezłego drania.

- Dobrze jej. Mam nadzieję, że wie, co straciła. - Znowu go cmoknęła, tym razem za uchem. - I pewnie by chętnie się go pozbyła, co?

- Żebyś wiedziała.

- Myślę, że na jej miejscu, skoro rozwód nie wchodzi w grę, znalazłabym odpowiedni sposób, żeby załatwić tego drania - powiedziała, muskając wargami jego owłosione piersi. - A jeśli i ona na to wpadła?

-Na co?

-Nie udawaj... Romek, weź mnie, w środku jestem mokra... Czujesz?

Romek, bierz mnie.

XIII

W dzień następnej rozprawy, o dziesiątej, Roman zadzwonił do Joanny do biura.

- Wiem, że twój mąż nie zamordował Margowskiej - powiedział po przywitaniu.

Po drugiej stronie zapanowała krótka cisza.

- Poczekaj, podejść do innego aparatu. - Po chwili podjęła: - Wiesz na pewno?

-Tak.

- Wiesz też, kto jest mordercą?

- Tego nie wiem - skłamał.

- Więc skąd wiesz, że on nim nie jest?

- Logika pewnych faktów. Oraz ich braku. - I jesteś tego pewien?

- Jak tego, że właśnie rozmawiamy.



- A co z kradzieżą?

Roman wyczuł w jej głosie gasnącą determinację, która spalała się jak zapalka. Doskonale wiedział, co pragnęła usłyszeć.

- Obawiam się, że nie mogę cię pocieszyć - rzekł ostrożnie.

- Rozumiem... - Jej stłumione westchnienie wyraźnie wpadło do jego ucha.

- Rozprawa rozpocznie się za godzinę.

- Tak - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Tym razem na sali sądowej siedziało więcej ludzi. Rozprawa była otwarta, przeto mógł się jej przysłuchiwać każdy ciekawski z ulicy. Nie uszło uwagi Romana, że Joanna ubrała się dziś inaczej niż poprzednio, w garsonkę o łagodniejszym kolorze, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że pogodziła się z tym, iż on nie może spełnić jej dramatycznej prośby. W głębi sali ze zdziwieniem zauważył Pawła. Pierwszy raz się zdarzyło, że brat pojawił się na procesie, w którym Roman uczestniczył. Zresztą nie przypominał sobie, aby Paweł choć raz był w sądzie, wyjąwszy nieliczne sytuacje przed wielu laty, gdy ojciec zabierał ich do tego gmachu Temidy dla zaspokojenia ich ciekawości; doskonale pamiętał swoje wrażenia związane z pierwszą bytnością tutaj - wszystko wydawało mu się przytłaczające swoim ogromem, począwszy od schodów, balustrad, na łukowych sklepieniach skończywszy. A w prawnikach odzianych w togi widział aniołów całej ziemskiej sprawiedliwości, posłańców bożych (w głębi duszy wierzył w Boga, trochę chyba z przekory, gdyż oficjalnie w domu ojciec zabraniał rozmów na tematy religijne, przeto tym bardziej dopatrywał się w wierze jakiejś Prawdy, której jako mały chłopiec nie mógł ogarnąć rozumem). Kiedy po latach pierwszy raz sam założył toge,

to przypomniła mu się ta scena z dzieciństwa. Lecz już wówczas nie myślał o prawnikach jak o aniołach. Nawet nie praktyka, a studia wybiły mu to porównanie z głowy.

Tuż przed rozpoczęciem rozprawy na sali pojawiła się Maria Małgorzata i zajęła miejsce obok Pawła. Spostrzegłszy Romana, puściła do niego oko. Odpowiedział jej tym samym, ale dyskretniej. Po czynnościach proceduralnych związanych z kontynuowaniem procesu Roman zwrócił się do przewodniczącej:

-Wysoki Sądzie, przed przystąpieniem do przesłuchań świadków obrona pragnie przedstawić sądowi swoje ustalenia na okoliczność bytności oskarżonego w mieszkaniu Jadwigi Margowskiej osiemnastego października wieczorem.

Sędzina Stefaniak udzieliła głosu obrońcy. Roman kontynuował:

- Wysoki Sądzie, z zeznań oskarżonego wiadomo, że kiedy dziewiętnastego października około jedenastej stanął przed drzwiami mieszkania Margowskiej, usłyszał, iż wewnątrz gra radio. W kilka godzin później, gdy córka ofiary przyjechała odwiedzić matkę i weszła z przyjaciółką do mieszkania, nie usłyszała dźwięku radia. Podczas policyjnego dochodzenia szczegół ten umknął Kowalskiemu, bo był trudny do uchwycenia, zresztą na tym etapie śledztwa nie można było przewidzieć znaczenia tego faktu. A spostrzeżenie to spowodowało, że zacząłem się zastanawiać, kto wyłączył radio. Morderca? Czemu miałby to zrobić? Zachodziło zatem inne prawdopodobieństwo, takie mianowicie, że było to radio tranzystorowe i w owym dniu grało zasilane bateriami, które do momentu pojawienia się Marii Lewandowskiej się wyczerpały.

Zachodzi kolejne pytanie: dlaczego było zasilane bateriami? Dlatego, że w

owym dniu w tym mieszkaniu nie było prądu. Jak zresztą na całej ulicy w godzinach od dziewiętej do trzynastej, co potwierdził zakład energetyczny.

- Roman podszedł do stołu sędziowskiego i wręczył przewodniczącej kartkę formatu A-5. - Proszę o załączenie tego dokumentu do akt. - Wrócił na miejsce i ciągnął: - Skoro w tym dniu we wspomnianych godzinach nie było prądu, a Margowska posiadała kuchenkę elektryczną, to oznacza, że w owym czasie nie mogła sobie ugotować czegokolwiek, nawet herbaty.

Prokurator zaczął coś pilnie notować. Roman podjął:

- Czego mój wywód dowodzi, Wysoki Sądzie? Tego, że znaleziona w wiaderku na śmieci rozbita szklanka, a na jej denku resztki herbaty z fusami oraz odłamki szkła z odciskami palców oskarżonego, trafiły do tego wiaderka poprzedniego wieczoru po godzinie siódmej, po tym, jak Margowska wyniosła śmieci, co potwierdziła jej sąsiadka. Ergo?...

Oskarżony był tego wieczoru w mieszkaniu ofiary, a nie jedynie w progu, i pił herbatę! Zapewne upadł pijany i tak dalej. Stąd ślady krwi najego płaszczu, które dla oskarżenia są jednym z koronnych argumentów, przemawiających za winą oskarżonego.

- Ale przecież świadek Pleszyńska zeznała - odezwał się ławnik siedzący po prawej stronie przewodniczącej - że ofiara nie wpuściła oskarżonego do mieszkania.

- Tak. Tylko że Margowska... kłamała.

140

141

Na sali zapanowało poruszenie. Radwański zareagował uniesieniem brwi i poprawieniem okularów. Sędzina Stefaniak zanotowała jakąś uwagę.

- Kłamała - powtórzył Roman.

- Czemu miała skłamać? - dociekał ławnik. - Tego nie sposób ustalić. Jak obrona zamierza tego dowieść?

- Dlatego kłamała, Wysoki Sądzie, że Margowska była alkoholiczką, czego się wstydziła przed sąsiadami, żeby jej nie wzięto na języki. Ple-szyńska widziała oskarżonego stojącego w drzwiach mieszkania jej sąsiadki i słyszała to, co zeznała. Lecz w tej sytuacji łatwo się domyślić takiej reakcji Margowskiej. Po prostu ujrawszy Pleszyńską, odegrała na jej użytek małą awanturę z pijanym oskarżonym, że niby on dopiero co przyszedł. -

Umilkł, dając sędziom możliwość przetrawienia wyводу. Popatrzył na protokółantkę i podjął: - Wracając do rozbitej szklanki -nie znaleziono na niej śladów krwi, a raczej powinny być, jeżeli Margowska nią się skaleczyła. Sekcja wykazała, że na wskazującym palcu prawej dłoni denatki było głębokie przecięcie opuszka nożem. Jak do tego doszło, nie ustalimy, ale przypuszczalnie nastąpiło to w kuchni podczas wizyty oskarżonego lub wcześniej. Na podstawie zbadania śladów krwi znalezionych na płaszczu oskarżonego patolog nie potrafił jednoznacznie określić narządu, z którego ta krew pochodzi. Przy zbadaniu porównawczym śladów krwi znalezionych na zielonej sukni ofiary, którą miała założoną osiemnastego wieczorem, a do której znalezienia sam się przyczyniłem, patolog orzekł już jednoznacznie, że w obu przypadkach źródło jest jedno, można sobie teraz odpowiedzieć - palec ofiary. Zatem nie powinno ulegać najmniejszej wątpliwości, że Mrotek istotnie był owego wieczoru w mieszkaniu Margowskiej.

Roman ponownie umilkł i spojrział na prokuratora, którego twarz była skupiona, po czym wniósł o ponowne przesłuchanie Hanny Pleszyńskiej. Przewodnicząca przypomniała jej o złożonym na poprzedniej rozprawie

przysiężeniu, które nadal jest w mocy.

- Czy z Margowską łączyła panią przyjaźń? - zaczął Roman.

- Nazwałabym to dobrym sąsiedztwem.

- Często się panie odwiedzały? -Dosyć.

- Przypuszczam, że pani wchodziła do mieszkania sąsiadki, nie bawiąc się w takie drobiazgi, jak naciskanie dzwonka.

- Och, nie! -Nie?

- Jadwiga zawsze zamykała drzwi na klucz. Zresztą i ja tak robię. O złodzieja nigdy nie jest trudno, zwłaszcza gdy się mieszka na parterze.

- Przez tyle lat ani razu nie zdarzyło się pani wejść do Margowskiej, aby uprzednio nie zadzwonić?

-Nie, ani razu - odrzekła zdecydowanie.

- Jest pani pewna? -Oczywiście.

Roman zwrócił się do stołu sędziowskiego.

- Wysoki Sądzie, w śledztwie ustalono, że w drzwiach zewnętrznych mieszkania Margowskiej są dwa zamki patentowe, jeden typu „fana”, drugi „yeti”. Nie stwierdzono, żeby manipulowano przy nich niewłaściwym kluczem bądź innym narzędziem, próbując je otworzyć. Nie są też zatraskowe, czyli takie, które przy zamknięciu drzwi automatycznie je ryglują. Oskarżony, jak sam zeznał, dziewiętnastego października wszedł do mieszkania Margowskiej, nacisnąwszy klamkę, co oznacza, że drzwi nie były zaryglowane. Ponieważ zamki nie są zatraskowe, a lokatorka, jak usłyszeliśmy, zawsze ryglowała drzwi, więc wniosek z tego taki, że dziewiętnastego października ktoś u niej był na krótko przed przyjściem oskarżonego i wyszedł, zostawiając drzwi nie zaryglowane. Zachodzi pytanie: kto był? Morderca? Przyjmijmy to na

razie jako hipotezę.

- Czas zgonu ofiary ustalono dosyć precyzyjnie na godzinę pomiędzy dziesiątą czterdzieści pięć a jedenastą - powiedziała sędzina. - Oskarżony twierdzi, że znalazł się w mieszkaniu dokładnie o jedenastej. Ale to oskarżony tak twierdzi, panie mecenasie.

- Obrona postara się przekonać Wysoki Sąd, że oskarżony mówi prawdę.

- Dobrze, proszę kontynuować przesłuchanie. Roman zwrócił się do Hanny Pleszyńskiej.

- Dziewiętnastego października rano weszła pani do Margowskiej.

- Tak.

- Najpierw pani zadzwoniła? -Tak.

- Czym pani nacisnęła dzwonek?

- Ręką.

- Naturalnie - uśmiechnął się Roman. - Może jakimś przedmiotem trzymanym w ręku, co się zdarza?

- Nie. Nacisnęłam dzwonek palcem, chyba kciukiem.

- Miała pani założoną rękawiczkę? -Nie.

142

143

- Potem panie wyszły do sklepu, tak? -Tak.

- Czy Margowska miała na rękach rękawiczki? -Nie.

- Na pewno nie?

- Na pewno.

- Dziękuję, nie mam pytań. - Roman spojrział na Radwańskiego, który z zaciśniętymi ustami coś pisał.

Przesłuchanie przejął prokurator. Sędzina wygodniej się rozsiadła w obitym czerwonym suknem fotelu, jakby zadowolona, że wreszcie ma trochę odpoczynku od prowadzenia procesu dowodowego, mimo że ten obowiązek w polskim sądownictwie spoczywa głównie na sędzie.

Przewodnicząca uznała, że obrona zmierza we właściwym kierunku, nie widziała przeto powodu, prowadzić przesłuchanie osobiście.

- Czy Margowska zwierzała się świadkowi z jakichś problemów osobistych? - zapytał Radwański.

- Tak, czasem.

- Na jakie tematy?

- Różne. Nie układało się jej najlepiej z córką.

- Czy mówiła, dlaczego?

- Nie. W pewnych rzeczach Jadwiga była skryta. Ja nie jestem ciekawska.

- Lecz gdy idzie o jej stan zdrowia, to z pewnością zwierzała się otwarciej, prawda?

- I owszem. W tym wieku każdy ma jakieś przypadłości. Jadwiga cierpiała na sklerozę, jak to się potocznie mówi.

- Dziękuję, nie mam pytań - rzekł prokurator i podszedł do stołu sędziowskiego, kładąc na nim jakiś dokument. - Wysoki Sądzie, przedkładam orzeczenie lekarskie, wystawione przez doktora Piotra Lipińskiego, lekarza rejonowego, u którego leczyła się Margowska, stwierdzające w punkcie trzecim o jej zaawansowanej miażdżycy mózgu, czego jedną z konsekwencji jest upośledzenie pamięci.

Sędzina i ławnicy zapoznali się z dokumentem. Roman zerknął na Joannę, która patrzyła na niego pytająco.

- O co mu chodzi z tym papierkiem? - szepnął Mrotek, pochylając się do

Romana.

- Prokurator próbuje zanegować zeznanie Pleszyńskiej odnośnie przezorności Margowskiej - odszepnął.

Mrotek zacisnął zęby.

- Bez obaw - uspokoił go Roman.

- Co oskarżenie sugeruje? - zapytała sędzina.

- Wysoki Sądzie - rzekł Radwański - z zeznań świadka wynika jednoznacznie, że ilekroć odwiedzała swoją sąsiadkę, zawsze musiała dzwonić, gdyż drzwi były zaryglowane. Nie twierdzę, że świadek kłamie. Przedłożony Wysokiemu Sądowi dokument lekarski, stwierdzający między innymi upośledzenie pamięci Margowskiej, każe jednak się zastanowić, czy ona naprawdę każdorazowo ryglowała drzwi po wejściu do mieszkania. Mogła po prostu zapominać, o czym świadek nie wiedziała. A więc nie wolno przyjąć zeznań świadka za absolutnie przekonujące w kwestii ostrożności Margowskiej, co obrona próbuje przedstawić, czyniąc z tego argument przemawiający na korzyść oskarżonego. Alkoholizm zamordowanej także daje podstawy do przypuszczeń, że mogła zapominać o wykonywaniu wielu czynności. Dziękuję.

- Wysoki Sądzie - odezwał się Roman - wnoszę o powołanie następnego świadka, specjalistę daktyloskopii w Komendzie dzielnicowej Policji Zygmunta Nyczka, który znajdował się w ekipie technicznej zabezpieczającej ślady w mieszkaniu zamordowanej.

Na salę wszedł starszy, kulejący mężczyzna, ubrany w szary garnitur. Po wstępie przesłuchanie podjęła sędzina Stefaniak.

- Jak długo pan pracuje w swoim zawodzie?

- Prawie dwadzieścia trzy lata.



- Czyli ma pan bogatą praktykę, która uczyniła z pana eksperta.
- Tak.
- Świadek zajmował się zdejmowaniem odcisków palców w mieszkaniu Margowskiej?
- Tak, Wysoki Sądzie.
- Dużo ich pan zdjął?
- Bardzo dużo.
- Do ilu osób mogły należeć?
- Do wielu, jak to w każdym domu. Pochodziły z różnych miejsc.
- Czy wszystkie odciski były wyraźnie czytelne?
- Nie. Sporo było zamazanych tudzież nie do zidentyfikowania, gdyż jeśli parę osób dotyka tego samego przedmiotu, to ślady się nakładają i utrudniają identyfikację.
- Ale wśród zdjętych odcisków zidentyfikował pan odciski pozostawione przez oskarżonego.

144

145

- Tak jest. Jak się w końcu miało okazać, figurowały w policyjnym rejestrze.
- Proszę powiedzieć, z jakich przedmiotów pan zdjął odciski palców oskarżonego.
- Z różnych. Z ościeżnic drzwi, lustra w korytarzu, przycisku dzwonka i z klamki drzwi wejściowych do mieszkania.
- Z obu stron tej klamki?

Ciepło, ciepło, pomyślał Roman i posłał sędzinie wdzięczne spojrzenie.

-Tak.

- Czy odciski palców oskarżonego były czytelne? -Nie wszystkie.
- A z jakich przedmiotów były czytelne?
- Z lustra, klamki drzwi wejściowych i przycisku dzwonka.
- Słabo czy dobrze czytelne?
- Powiedziałbym, że dobrze czytelne.
- Czy na dzwonku i klamce świadek znalazł jeszcze inne odciski oprócz pozostawionych przez oskarżonego?
- Nie.
- O czym to świadczy?
- O tym, że przedtem były czyste. -Przedtem?
- Zanim oskarżony ich dotknął.
- Nie wiem, czy dobrze rozumiem - zasepiła się przewodnicząca. -  
Przecież przycisk dzwonka i klamkę dotyka się codziennie mnóstwo razy.  
Robią to domownicy i goście. Jak więc pan wytłumaczy nieznanie innych odcisków? Chociażby córki zamordowanej, która tego samego dnia zjawiała się u swojej matki, oraz jej przyjaciółki.
- Co do córki zamordowanej, to wiadomo mi, że miała na rękach rękawiczki i nie zostawiła śladów.
- Skąd świadek wie o rękawiczkach?
- Zdejmowałem tej pani odciski palców do analizy porównawczej i dowiedziałem się o tym w rozmowie.
- A ta druga osoba?
- Stwierdziła, że w ogóle nie dotykała klamki.
- Wracając do zasadniczego pytania, czy to możliwe, żeby na klamce i dzwonku nie było innych odcisków palców, choćby starych, mało czytelnych, Margowskiej czy kogoś innego?

-Nie, to z całą pewnością niemożliwe.

- A zatem?

- Klamka i dzwonek musiały zostać dokładnie wytarte, zanim dotknął ich oskarżony.

- Musiały czy zostały? Proszę o precyzję.

- Zostały.

- Rozumiem. Czy obrona chce coś powiedzieć? - zwróciła się do Romana, który pytająco patrzył w jej stronę.

- Jeśli wolno, Wysoki Sądzie.

- Proszę.

- Istotnie jest mało prawdopodobne, aby dzwonek i klamkę wytarła Margowska, stąd przyjęcie hipotezy, że dokonał tego morderca, wydaje się sensowne. Z zeznań świadka Pleszyńskiej wiemy, że dziewiętnastego rano ona odwiedziła Margowską, naciskając uprzednio dzwonek, a także dotykając klamki. Następnie obie panie poszły do miasta. Margowska nie miała na rękach rękawiczek. Odcisków palców świadka i lokatorki na tych przedmiotach nie stwierdzono. Trudno sobie wyobrazić, żeby to sam oskarżony dokonał takiego zabiegu porządkowego z klamką i dzwonkiem, pozostawiając całe mnóstwo swoich odcisków w innych miejscach. Gdyby oskarżony popełnił tę zbrodnię, to - jak znam ludzi i życie - skrupulatnie by zlikwidował wszelkie ślady po sobie i, co równie istotne, przed opuszczeniem mieszkania wyrztałby przez wziernik w drzwiach, przez który doskonale widać obszerną część klatki schodowej. I zobaczyłby rozmawiających mężczyznę i kobietę, Rymarskich, którzy od paru chwil tam stali. Oskarżony nie jest istotą bezmyślną nie opuściłby mieszkania, by się natknąć na tych ludzi. A on, spanikowany, czym prędzej wyszedł z

mieszkania, nie zastanawiając się ani nad zatarciem pozostawionych śladów, ani nad tym, że ktoś może go zobaczyć. To na razie tyle - dodał i usiadł.

- Proszę, panie prokuratorze - zachęciła przewodnicząca Radwańskiego.

- Oskarżenie nie ma pytań - odrzekł sucho prokurator, popukując końcem długopisu w blat stołu.

- Świadek jest wolny.

- Wysoki Sądzie, proszę o powołanie świadka Bogumiły Wójcik - powiedział Roman.

Na salę weszła kobieta około pięćdziesiątki. Po rutynowej procedurze Roman podjął przesłuchanie.

- Od jak dawna świadek przyjaźniła się z Margowską?

- Od dziesięciu lat. Kiedyś pracowałyśmy razem.

!

- Czy Margowska pokazywała pani swoje kosztowności w postaci naszyjników i tym podobnych rzeczy?

-Tak.

- Ile razy to się zdarzyło? -Nie wiem.

-Raz?

- Och, nie. Więcej. Po prostu czasem, gdy była w... w szczególnym nastroju, lubiła je oglądać, również w mojej obecności. Od lat rzadko coś z tych drobiazgów zakładała.

- Kiedy ostatnio pani je widziała?

- We wrześniu, gdzieś w połowie.

- Czy była po temu jakaś szczególna okazja?

- Trudno mi powiedzieć. W każdym razie pamiętam, że gdy owego dnia

poszłam do niej, zauważyłam, że ma na sobie naszyjnik z wisiorkiem.

- Czy pani zapytała, dlaczego go założyła?

- Ma się rozumieć. Powiedziała, że chce się nim nacieszyć, choć nienawidzi tego naszyjnika i zamierza go komuś ofiarować.

- Wyjaśniła, komu?

- Tak, mojej córce.

- Czy rozpoznałyby pani ten naszyjnik?

- Prawdopodobnie.

Roman podszedł do stołu sędziowskiego i wziął dowód rzeczowy numer jeden, naszyjnik z wisiorkiem, który podsunął jej pod oczy.

- Czy to ten?

- J.M. - przeczytała inicjały na kopercie wisiorka. - Wygląda, że ten.

- Charakteryzował się czymś szczególnym?

- Wewnątrz koperty na wieczku był wygrawerowany napis.

- Jaki?

- „Z szacunkiem i miłością, jedenasty czerwca 1955” - wyrecytowała z pamięci.

Roman otworzył kopertę i powtórzył głośno jej słowa, po czym przekazał naszyjnik przewodniczącej, która także sprawdziła napis.

- Istotnie - rzekła.

- Wysoki Sądzie, wnoszę o powołanie na świadka Anny Janowskiej.

- Nie tak szybko, panie mecenasie - upomniała go sędzina. - Oskarżenie?

- Nie mam pytań - rzucił Radwański.

- Oskarżony?

- Nie mam żadnego pytania.

- Dobrze, proszę wezwać kolejnego świadka.

Na salę weszła młoda blondynka w postrzępionych dżinsach i długim luźnym swetrze, czym chyba zgorszyła dwoje spośród ławników.

Zmierzyli ją chłodnym spojrzeniem, jakby owym ubiorem nie okazywała szacunku Wysokiemu Sądowi.

Dziewczyna szybko rozpoznała naszyjnik, który dostała od Jadwigi Margowskiej siedemnastego czy osiemnastego września tego roku.

- Co świadek z nim zrobiła? - zapytała przewodnicząca.

- Sprzedałam pewnemu handlarzowi, potrzebowałam pieniędzy - odrzekła z beczelnym uśmiechem. - Pod koniec września.

- Jak on się nazywa?

Roman łatwo się domyślił, dlaczego sędzina nie użyła czasu przeszłego, pytając o nazwisko handlarza.

- Nie wiem.

- Proszę opisać wygląd tego człowieka.

Dziewczyna gładko i bez zająknięcia podała rysopis handlarza.

- Świadek jest wolny - stwierdziła autorytatywnie sędzina i powiodła wzrokiem po sali, zdając się w ten sposób informować o zakończeniu procesu. - Czy strony mają jakieś uwagi?

- Wysoki Sądzie - podjął Roman - w ten oto sposób obrona dowiodła niesłuszności zarzutu zawartego w punkcie drugim oskarżenia, a dotyczącego zaboru mienia. Oskarżony nie kłamał, kiedy wyjaśnił, że pod koniec września nabył ów naszyjnik na bazarze, zatem brak podstaw do zarzutu o przywłaszczenie pozostałych kosztowności. Wysoki Sądzie, wnoszę o uniewinnienie oskarżonego od popełnienia zarzucanego mu czynu w punkcie drugim aktu oskarżenia.

Sędziowie podjęli krótką naradę.

- Wniosek obrony zostanie uwzględniony podczas wyrokowania - powiedziała przewodnicząca. - Sąd stwierdza, że lista świadków została wyczerpana. Czy strony pragną uzupełnić przewód sądowy?

Obrońca i oskarżyciel zaprzeczyli.

- Wobec tego zamykam przewód i udzielam głosu panu prokuratorowi.

Nim Radwański wstał, protokółantka wzięła swoją hałaśliwą maszynę do pisania i wyszła z sali. Prokurator wydawał się ociężały, jakby niechętny do podjęcia mowy; porażkę zdawał się mieć wypisaną na twarzy.

- Wysoki Sądzie - rzekł oschle, gdy za protokółantką drzwi się zamknęły. - Zbrodnia jest okrucieństwem, które nie może pozostać bezkarne. Jednak w świetle przedstawionych dowodów obrony pozostawiam Wysokiemu Sądowi ocenę stanu faktycznego. Dziękuję.

149

Podniósł się Roman.

- Wysoki Sądzie. Obrona starała się podważyć zarzuty oskarżenia. W myśl starej maksymy, człowiek jest niewinny dopóty, dopóki mu się nie udowodni winy. Nikt przecież oskarżonego nie widział w samym mieszkaniu podczas rzekomego dokonywania zabójstwa, więc konkluzja aktu oskarżenia opierała się wyłącznie na poszlace. Obrona zamierzała wykazać ponad wszelką wątpliwość niewinność oskarżonego, podobnie jak na oskarżeniu ciążyło udowodnienie winy ponad wszelką wątpliwość. Wysoki Sądzie, proces ten ze strony oskarżenia nie dotyczył faktów bezpośrednich popełnionego morderstwa, tylko podejrzeń budowanych na faktach pośrednich, związanych z popełnioną przez nieznanego sprawcę zbrodnią. Reasumując, wnoszę o całkowite uniewinnienie oskarżonego -

dodał i usiadł. Zerknął na Joannę. Siedziała pochmurna. Zauważył również, że Maria Małgorzata szepnęła coś do Pawła i wyszła.

- Oskarżony?

Mrotek wstał i w paru niezbyt starannie dobranych słowach poprosił o uniewinnienie, co wydawało mu się już czymś bezwstydnie oczywistym.

- Dziękuję - powiedziała sędzina i rzuciła okiem na zegar, wiszący na przeciwległej ścianie. - Sąd ogłasza półgodzinną przerwę.

Roman ponownie spojrzął na Joannę - wydało mu się, że pogodziła się z losem. Natomiast na twarzy Mrotka malowało się bezgraniczne uwielbienie dla obrońcy. Roman zamienił z nim parę słów i opuścił salę.

Podszedł do brata stojącego w głębi korytarza.

- Zupełnie nieźle sobie radzisz - powiedział Paweł, wyciągając paczkę papierosów.

- Dzięki. Co cię tu sprowadziło?

- Zwyczajna ciekawość. Masz ogień? Roman podał mu zapalniczkę. - Taka jak taty?

-Co?

- Zapalniczka. -Uhm.

- Wygląda na to, że twój klient jest niewinny.

- Bo jest.

- Zatem kto zamordował Margowską? Wiesz?

- Skądże.

Paweł pokiwał głową podał bratu rękę i skierował się do wyjścia. Po chwili zatrzymał się. - Aha, co tata tutaj robi?

- Tata?

- Jego samochód stoi na parkingu.



- Ja nim jeżdżę. Po wypadku pożyczyłem od niego wóz.
- W co się właściwie wpakowałaś? Roman wyjaśnił mu w paru słowach.
- Uhm. Ale tatę też widziałem kręcącego się na dole.
- Tak? - Roman uniósł brwi.
- Na razie.
- Cześć.

Roman odprowadził go do schodów, po czym podszedł do Joanny, która siedziała na ławce nieopodal sali rozpraw i wpatrywała się w posadzkę. Nie popatrzyła na niego, gdy usiadł obok niej.

- Myślałam, że nieraz da się nadszarpnąć etykę zawodu dla dobra innej sprawy, związanej z sądowną - powiedziała z lekkim wyrzutem.

Roman milczał, Joanna podjęła:

- Czy naprawdę zawsze przestrzegałeś zasad etyki? Czy nigdy nie zdarzyło ci się wykorzystać jakiejś luki lub nie dopełnić jakiejś powinności w obronie klienta? Możesz to z czystym sumieniem sobie powiedzieć?
- Nie mogę działać przeciwko klientowi ani wbrew prawu. To nawet coś więcej niż etyka. To właśnie chęć zachowania czystego sumienia, spokojnych nocy. Nawet jeśli się broni najgorszego łajdaka.
- Masz rację - przyznała ze źle ukrywanym żalem - nawet najgorszego łajdaka. Przepraszam - dodała i poszła do toalety.

Roman pomyślał o niej ze współczuciem, lecz to wszystko, na co się zdobył. Zobaczywszy w głębi korytarza Marię Małgorzatę, podszedł do niej.

- Uniewinniony - powiedziała.
- Jasne.
- Wiesz, byłeś wspaniały. Z przyjemnością cię słuchałam.

- Dzięki.

W dwadzieścia minut później sędzina Alina Stefaniak ogłosiła wyrok

-Piotr Mrotek został uniewinniony od wszystkich zarzutów.

Z teczką i zwiniętą na przedramieniu togą Roman opuścił gmach sądu.

Idąc do samochodu, spostrzegł, że zbliża się do niego ojciec. Wrzucił togę i teczkę na tylne siedzenie wozu i podszedł do ojca. Przywitali się.

- Już po procesie?

- Koniec. - Roman sięgnął po papierosy. Ostentacyjnie zapalił papierosa zapalniczką, którą zamienił Marii Małgorzacie.

- Gdzie ją znalazłeś? - zdziwił się ojciec.

150

151

- U nas w domu.

- Wiesz, przypomniało mi się, że to mama gdzieś ją zapodziała - rzekł spokojnie. Wyciągnął po nią rękę, by dokładnie ją obejrzeć. - Tak, moja, poznaję po tej rysie na denku. Mama lubiła jej używać. U ciebie w domu ją zostawiła?

Roman wyczuł, że ojciec mu nie dowierza.

- Najwidoczniej - odrzekł. - Zatrzymaj ją. -Wygrałeś?

- Całkowite uniewinnienie.

- Gratuluję.

- Dlaczego nie przyszedłeś na salę? Bo Paweł był?

- Powiedzmy - odrzekł patrząc w stronę głównego wejścia do gmachu sądu, skąd wyłoniła się Joanna. Rozglądała się niezdecydowana, w którym kierunku pójść.

- Trudno się z nim dogadać.

- Co dalej ze sprawą Margowskiej?

- To nie moja rzecz i nic mnie ona nie obchodzi - odpowiedział Roman, podążając za wzrokiem ojca. Zaciągnął się papierosem i długo wypuszczał dym w bok. Również zobaczył Joannę, która podeszła do przejścia dla pieszych, zatrzymała się, gdyż zapaliło się czerwone światło i spoglądnęła w ich stronę. Mimo woli zerknął na ojca i stwierdził, że ojcu jakby twarz nieco pojaśniała, że zareagował na widok tej pięknej kobiety.

- Romek, czy przypadkiem masz konkretne podejrzenia co do mordercy Jadwigi? - zapytał cicho, ciągle patrząc przed siebie.

Roman obserwował przechodniów.

-Nie. To był jeden z typowych rabunków, zakończonych zabójstwem.

Zawada senior odchrząknął i spojrzał na niego spokojnie.

- Wiesz, martwię się o mamę - powiedział. - Odejście Pawła mocno ją przygnębiło. Ciężko to przeżywa.

- Ty też.

- O mnie mniejsza. Nie chciałbym, żeby zaznała jeszcze większych udręk, nie zasługuje na to.

- Wiem. Spieszę się. Podwieźć cię gdzieś?

- Nie. Jak spisuje się samochód?

- Dobrze. Wyjeżdżam na parę dni na Śląsk. -Kiedy?

- W poniedziałek.

- Coś ważnego?

152

- Bardzo. Jeżeli mój wóz nie będzie naprawiony, to pojedę twoim.

- Naturalnie. Na razie.

Roman spoglądał za ojcem, który szedł wolno wzdłuż gmachu sądu i

spozierał na niego z ciekawością turysty. Gdy ojciec zniknął w tłumie, wsiadł do samochodu i popatrzył na idącą drugą stroną ulicy Joannę. Szła ze zwieszoną głową.

Włączył silnik i odjechał.

Pani Helena nie spała dobrze tej nocy. Jak zwykle powodem jej bezsenności była nadpobudliwość nerwowa, wynikająca ze zbyt emocjonalnego przeżywania takiej czy innej historii rodzinnej. Czasem martwiła się na wyrost, że coś się nie powiedzie lub przeczuwała jakieś przykre zdarzenie.

Zeszła na dół; zobaczyła męża krzątającego się w kuchni. Sam sobie przyrządzał śniadanie, co było czymś niezwykłym.

—Nie mogłem wyleżeć - powiedział.

- Też nie najlepiej spałam.

Po śniadaniu sięgnął, jak zwykle, po ulubionym cygaro. Pani Helena zauważyła:

- Kupiłeś sobie nową zapalniczkę?

- To ta sama.

Zmarszczyła brwi w niedowierzaniu.

- Ta sama?

- Tak. Roman wczoraj mi ją dał. Zapodziałś ją u niego w domu, widać masz sklerozę.

- Tak Roman powiedział? - zdziwiła się.

- Skleroza to mój wymysł.

- Gdzie się widziałeś z Romkiem?

- Spotkałem go koło sądu.

Pani Helena ociężale usiadła przy stole i wyciągnęła z kieszeni podomki

chusteczkę. Otarła nos.

- Źle się czujesz? - zapytał.

- Nic takiego...

## ODSŁONA DRUGA

Paweł leżał na tapczanie i gapił się w sufit. W pobliżu miał notatnik i od czasu do czasu coś w nim zapisywał: to pojedyncze wyrazy, to jakiś strzęp myśli, karykaturę zdania, do którego by się nie przyznał nawet najmierniej-szy licealista.

Magda siedziała z podkurczonymi nogami w fotelu i czytała okazały rękopis jego sztuki. Wreszcie odłożyła tekst i wpatrzyła się w trochę teraz uduchowioną twarz przyjaciela.

- Cóż - powiedziała z zastanowieniem - ten dramat jednak jest pełniejszy i prawdziwszy od pierwowzoru, czyli tego, co samo życie ci napisało.

Cośkolwiek wzbogaciłeś naszą przełomową rozmowę, włożyłeś sobie w usta słowa, których nie usłyszałam. Ja zresztą również do paru zdań bym się nie przyznała. Ale sensu nie wypaczyłeś, za co ci chwała. No i ten finał... Czy nie przesadzasz?

- Krytykujesz mnie?

- Dobra krytyka bywa budująca, o czym dobrze wiesz. A dobrze krytykować, to także sztuka.

- Dobrze mnie krytykujesz?

- Możesz mnie szanować.

- Spróbuję... - Paweł zazdrośnie strzegł swojego czasu odmierzanego piórem. Wszelkie uwagi Magdy przyjmował z podejrzliwością odkrywcy, któremu chce się wydrzeć laur, gdy jemu się wydaje, że jest bliski doskonałości, aby przemienić słowo w ciało. Dopiero kiedy zmuszał się do

przetrawienia uwag i ze skwapliwością skąpca zdobywał się na przyznanie racji, dokonywał korekty, będąc jednocześnie zły na siebie za to, iż musiał ulec.

- Chcę przez to powiedzieć, że w niektórych sprawach nie ma nic pewnego, a tym samym przyjmuje się to za pewnik. - Objęła rękoma podkurczone nogi i oparła podbródek na kolanach. - Połączyłeś fakty z fikcją, w której wybiegasz w przyszłość, co oczywiście nie jest czymś nagannym, przeciwnie...

154

- Właśnie - przerwał jej. - Gdybym pisał ten dramat w zaciszu domowego ciepła, czyli po prostu wymyślał, to miałby on wartość jedynie zapisanych kartek papieru i atramentu zużytego do ich wypełnienia. Zmierzam do tego, że dramaturdzy za wszelką cenę tworzą w swoich utworach rzeczy naginane, nieprawdopodobne psychologicznie, aby uchodzić za oryginalnych. I robią to kosztem rzeczywistości.

Zniekształcają ją do granic absurdu.

- Nie mogę uwierzyć, że wypowiadasz taką herezję. Nie wspomnę o twojej niekonsekwencji.

Paweł skupił na niej uwagę.

- Czarodzieje teatru by się na ciebie obrazili - dodała. - Życia nie da się pokazać bardziej absurdalnego niż jest.

- Zaraz, zaraz, czy przypadkiem nie chodzi ci o coś innego?

- Na przykład?

- Obawiasz się, że nieświadomie wywołuję wilka z lasu?

Magda wpatrzyła się w swoje wysmukłe dłonie. Po długim milczeniu odrzekła:

- Przecież nie pragniesz w swoim życiu krwawej tragedii w antycznym stylu.
- Jasne, że nie.
- Tylko na papierze, prawda? Potwierdził grymasem.
- Chciałbym, żeby największymi zbrodniarzami byli pisarze na swoich papierowych polach bitew. Lecz obawiam się, że to marzenia.
- Otóż to. Jesteś przesądny...
- Och, Magda, przestań.
- Świadomie igrasz z losem, na zimno prorokujesz w trzecim akcie coś, co nie musi się wcale wydarzyć. Przywodzisz mi na myśl kogoś, kto za wszelką cenę dąży do sukcesu.
- Nie wydaje mi się trafne twoje spostrzeżenie. Uważam, że postępuję uczciwie.
- Dobrze. - Głęboko odetchnęła i zmieniła temat: - Czemu właściwie poszedłeś wczoraj na tę rozprawę? Żeby zobaczyć Romana w akcji?
- Poniekąd. Dobry był. Zapędził prokuratora w kozi róg.
- Przypuszczasz, że zabójstwo tej kobiety ma jakiś związek z wami?
- Roman stanowczo twierdzi, że nie. Zresztą, niby dlaczego miałyby mieć coś wspólnego z nami? Czemu pytasz?
- Zwyczajna ciekawość. Masz już tytuł sztuki?

155

- Dziś wpadł mi do głowy - odrzekł z wyraźnym zadowoleniem. - Sumienie zła.
- Sumienie zła - powtórzyła wolno, zastanawiając się nad wypowiedzianymi słowami.

- Co o nim sądzisz?
- Odrobinę napuszony.
- Czasem naprawdę trzeba uderzyć w mocne tony. Zdaje się, że to ty wspominałaś coś o przymiotach młotka, nieprawda? Tytuł pasuje do całości sztuki, która jest swego rodzaju wołaniem o ratunek.
- Owszem, coś w niej tkwi, jeśli się zastanowić nad sobą, życiem i paroma innymi drobiazgami, z którymi nie można sobie poradzić. Tylko do kogo właściwie to wołanie...
- Czyżby ogarnęło cię z wątpienie?
- Głośno analizuję. Zwłaszcza w dzisiejszym zmaterializowanym świecie, gdy wielu ludzi zaprzeda je duszę diabłu, by jego szatańska wysokość pomogła wygrać w totolotka, na giełdzie, a nawet przeżyć na zerowym poziomie od wypłaty do wypłaty, wydaje się, że adresat ciągle pozostaje nieznany - iluzoryczny, ulotny jak kamfora wytwór wyobraźni kpi sobie z nas, mamy perspektywę lepszej wieczności, pod warunkiem wszakże, iż się poprawimy.
- Może warto spróbować?
- Lecz przekonamy się o tym dopiero po drugiej stronie lustra, jak ktoś ładnie powiedział. Po drugiej stronie lustra - powtórzyła szeptem, nie odrywając wzroku od Pawła.
- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - Paweł podrapał się za uchem. Magda otrząsnęła się, szybko zamrugowała powiekami.
- Zastanawiam się, czy twoja twarz istotnie wyraża twoje wnętrze.
- Wszyscy jesteśmy oszustami, szarlatanami. Pod swoim obliczem, które widać, nosimy drugie, to prawdziwe. Ostatnio często zastanawiam się nad takimi pojęciami, jak cnota czy honor. I mam kłopoty z



zaszufladkowaniem samego siebie. A idealizm? Powoływanie się na ten wytwór ludzkiej słabości jest naprawdę szkodliwe. We mnie też tkwi zakłamanie, niczym się nie różnię od innych. Pewnie jestem nieodpowiedzialnym palantem i nadaję się wyłącznie do tego, co robię, czyli do grania i pisania.

- Jezu, co cię napadło?

- Nie wiem.

- Popadanie w tragizm nie jest najlepszym lekarstwem na poradzenie sobie z problemami.

-A co nim jest?

- Ba!... Wiesz, powinieneś mnie poznać z Marią Małgorzatą.

- Racja. Powinienem był wcześniej na to wpaść. Zaraz do niej zadzwonię i ustalimy jakiś termin.

- Świetnie.

W poniedziałek o ósmej, kiedy Roman w biurze szykował się do wyjazdu na Śląsk, zadzwonił telefon.

- Z tatą coraz gorzej się dzieje - usłyszał w słuchawce głos matki. - Jest bardziej przygnębiony niż przedtem.

- Nie przesadzasz?

- Nie. Po rozmowach z tobą i Pawłem również nie czuję się najlepiej.

Wiem, że obaj mi nie dowierzaliście, gdy was zapewniałam, iż nie znałam przeszłości waszego taty, o której dowiedzieliście się z tych przeklętych listów. Dużo rozmyślałam o tej wyjątkowo nieprzyjemnej historii, lecz tylko to mogłam uczynić.

- Jeszcze nie rozmawiałaś o tym z tatą?

-Nie. Przedtem jednak nagabywałam go na różne sposoby, by mi

powiedział, co jest powodem decyzji Pawła. Natomiast teraz po prostu boję się, wyobrażam sobie bowiem, że to tak samo, jakby we własnym domu zapalić bombę. Mocno boleję nad konfliktem między Pawłem a tatą i wiele bym uczyniła, żeby doprowadzić do zgody.

- Wiem.

- Słuchaj, Romek... Tak przy okazji i chcę cię zapytać, skąd wzięłeś zapalniczkę taty?

- Tata ci nie powiedział?

W słuchawce rozległo się kilkukrotne odchrząknięcie.

- Będę kończyć, do widzenia.

- Do widzenia, mamó.

Rozłączyła się. Roman odłożył słuchawkę i zapatrzył się w ścienny kalendarz ze zdjęciem roznegliżowanej dziewczyny na tle lazuru morza.

Niemal od razu przypadły sobie do gustu, znajdując przy okazji wspólne zainteresowania, wśród nich książki i film.

156

157

Po godzinie Magdę i Marię Małgorzatę łączyła serdeczna komitywa. Na Pawła prawie że nie zwracały uwagi. Dopiero gdy wspomniał o swoim pisarstwie i nowej sztuce, Maria Małgorzata zainteresowała się jego pracą. Powiedział jej, co pisze; nie widział powodu, aby robić z tego tajemnicę w niemal rodzinnym gronie.

- Temat niezły - stwierdziła, zapoczątkowując rozmowę o tej historii. Do głosu doszły wspomnienia, emocje, poglądy, a także nutka rozrzewnienia ze strony Marii Małgorzaty.

- niesprawiedliwie matkę oceniałam - powiedziała z nietajoną skruchą. - Do wszystkiego potrzeba dystansu, który łagodzi ostrość spojrzenia. W liście do mnie napisała parę uwag o naszym wzajemnym stosunku, lecz ani słowa o moim prawdziwym ojcu.

- Pewnie świadomie tak postąpiła - powiedziała Magda. - Nie miała odwagi albo nie chciała ci gmatwać życia. Ale potem Paweł skomplikował sytuację.

- Kto wie... - westchnęła Maria Małgorzata, zerkając na butelkę czerwonego wina. Zwróciła się do Pawła: - Po rozmowie z tobą powinnam była pojechać do niej. Roman przypuszczał i chyba trafnie, że czekała na mnie. Przecież musiała się liczyć z tym, że do mnie przyjedziesz, skoro dała ci mój adres.

-Prawdopodobnie przemyślała swoje podejście, tyle że nie chciała pierwsza się odezwać - rzekł Paweł.

- Zapewne się krępowała - powiedziała Maria Małgorzata. - Możliwe, że w tobie widziała posłańca bogów, który by jej pomógł w rozwiązaniu gordyjskiego węzła.

- Ludzkie zachowania nie poddają się żadnym regułom - stwierdził Paweł.

-Zawsze znajdzie się jakieś ujście, nawet w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu.

- Gdyby nie została zamordowana, chyba zrobiłaby krok w twoją stronę, jeżeli ty byś za długo zwlekała - zastanowiła się Magda.

- Tak, musiałoby dojść do rozmowy - rzekła ze smutkiem Maria Małgorzata i wpatrzyła się w regał z książkami. Ukradkiem otarła łzę i upiła łyk wina. - Przepraszam, rozkleiłam się. Pokażę ci coś, Magdo, przejdźmy do drugiego pokoju.

- Co za tajemnice? - zażartował Paweł.

- Babskie.

Paweł zainteresował się książkami i podszedł do półki. Jego wzrok padł na leżącą tam kopertę. Natychmiast rozpoznał pismo. Zorientowawszy się, że tocząca się w pokoju obok rozmowa o modzie nieprędko się skończy, przełamał ogarniające go zawstydzenie, sięgnął po kopertę i wyciągnął papier. Był to list Margowskiej do Marii Małgorzaty. Przeczytał go, mimo woli zwracając uwagę na nieco inną składnię w porównaniu z listem, który sam od niej dostał. List istotnie zawierał informacje dotyczące procederu lichwiarskiego Margowskiej oraz refleksje o ich wzajemnych stosunkach, w których nie było ani słowa- ojcu Marii Małgorzaty i jego. Rzeczywiście, pomyślał, nie chciała jej komplikować życia, a jednak to zrobiła. Wsadził kartkę do koperty i odłożył ją na miejsce.

Kiedy się żegnali, Magda i Maria Małgorzata ucałowały się jak najlepsze przyjaciółki.

II

Telefon dzwonił i dzwonił. Magda ocknęła się z drzemki. Leniwie odrzuciła koc i podniosła się z tapczanu. Podeszła do aparatu - ten umilkł. Spojrzała na zegarek. Minęła siedemnasta trzydzieści.

- Dobrze, że zadzwoniłeś - mruknęła sennie, wracając myślami do przyjemnej wizyty w Krakowie, skąd wróciła z Pawłem około południa. W łazience przemyła twarz zimną wodą, co rozbudziło ją na dobre.

Wkrótce stwierdziła, że pora przygotować się do wyjścia. Wybierała się z Pawłem i przyjaciółmi na andrzejki. Podeszła do szafy w przedpokoju, pełnej jej ubrań, i otworzyła ją szeroko. Jak to kobieta, zaczęła się zastanawiać, w co się ubrać, czyniąc z tego długie misterium. Gdy się

zdecydowała, telefon odezwał się ponownie. Podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry - usłyszała panią Helenę.

- Dzień dobry. -Czy jest Paweł?

- Nie, ale zaraz powinien wrócić.

- Niech przedzwoni do mnie.

- Oczywiście. - Magdzie wydało się, że jej rozmówczyni jest podenerwowana. - Mam nadzieję, że nic złego się nie stało.

- Obawiam się, że tak. Mój mąż gdzieś przepadł.

- Przepadł?

- Tak, zniknął. Od wczoraj go nie ma.

- O rany... - Chciała coś dodać, lecz akurat drzwi się otworzyły i wszedł Paweł. Oddała mu słuchawkę.

158

159

- Tata znikł? - nie dowierzał.

- Wczoraj po południu wyszedł z domu i dotąd nie wrócił. Przyjedź, bo nie wiem, co robić. Roman wyjechał na Śląsk.

- Wychodząc nic nie powiedział?

-Nie było mnie wtedy w domu. Przypuszczałam, że wyszedł na spacer.

- Nie denerwuj się, zaraz będę. Jadę do mamy - rzekł do Magdy i odłożył słuchawkę.

W niespełna kwadrans dotarł na miejsce. Matka wyglądała na całkowicie przybitą.

- Dzień dobry, mamo.

- Dzień dobry, dzień dobry... To nie jest najszcześniejsze pozdrowienie w zaistniałej sytuacji.

Paweł zignorował tę uwagę. Pocałował matkę w policzek.

- Jak to było? -Zrobięci kawy.

- Dobrze.

Przeszli do kuchni. Paweł usiadł. Matka zakrzętnęła się przy szafkach.

Stukła szklanę.

- Widzisz, jaka jestem nerwowa z tego wszystkiego. Paweł pozbiarał szkło i pozamiatał okruchy.

- Bez słowa znikł - podjęła. - Bez słowa. Ja wyszłam na zakupy, a potem do koleżanki. Tata siedział w domu, oglądał w telewizji jakiś film czy coś tam, nie pamiętam, co to było. Tak czy siak, gapił się w telewizor. Kiedy wieczorem wróciłam, nie zastałam go. Pomyślałam, że też wyszedł gdzieś do kolegi lub na spacer, jak to miał w zwyczaju. Minęła północ, a on się nie zjawił. Wiesz dobrze, że późne powroty nie były w stylu taty, nawet gdy wracał pod dobrą datą, co zresztą rzadko mu się zdarzało. Zaczęłam się niepokoić. Spać się nie położyłam, nie mogłam, ale w końcu sen zmorzył mnie w fotelu, tym na biegunach... Obudziłam się rano koło siódmej. Tak, przed siódmą. Pobiełam do sypialni - łóżko nie ruszone! Taty nie ma. Wpadłam naprawdę w panikę. To już przekraczało moje wyobrażenia. Krople naserco-we niewiele mi pomogły. Nie wiedziałam, co robić. No i zadzwoniłam do ciebie.

- Nie było nas.

- Dopiero później mi się przypomniało, że przecież wyjeżdżaliście do Krakowa. - Napełniła filiżanki kawą, dołała śmietanki i postawiła na stole, po czym usiadła naprzeciwko Pawła i podjęła przejętym głosem: - Potem zadzwoniłam na policję, mówiąc o zaginięciu męża. Prawie mnie wyśmiali,

kiedy wyjaśniłam, że wyszedł wczoraj wieczorem. Kazali mi wziąć relanium. Kogo oni teraz zatrudniają w tej policji! Dopiero gdy powiedziałam, kim ojciec... no wiesz, kim ojciec był, prokuratorem, nabrali respektu. Na razie przyjmują do wiadomości, odrzekł grzecznie policjant. Zadzwoiłam na pogotowie, może nie daj Boże jakiś wypadek. Ale na szczęście też nic. Bo gdyby coś takiego, to dzisiaj już by było wiadomo, prawda? Pobiegłam do sąsiadów, jednych i drugich. Nie, nic nie widzieli i nie słyszeli. A jeszcze niedawno potrafili wszystko słyszeć i widzieć, co się u nas działo. Wreszcie w tej bezradności wydzwaniałam do krewnych i znajomych. U żadnego z nich ojciec się nie zjawił. Jestem pełna czarnych myśli.

- Może ów list...

- Nie przypominaj mi o tym przeklętym liście! - zawołała z oburzeniem. - Nie za takiego człowieka wychodziłam, nie takiego znałam. - Po krótkim wahaniu podjęła: - Widzisz, ja również rozmawiałam z tatą na ten temat. Nie wszystko potwierdził, oj nie! Lecz do paru drobnych rzeczy się przyznał i wiem, że był ze mną szczery. Ale to jest tak zamierzchła historia, że odgrzebywanie jej nie ma sensu.

-Bynajmniej.

- Jeśli ta kobieta chciała się zemścić, to istotnie, zrobiła to, siejąc zamęt w naszej rodzinie - powiedziała stanowczo.

- Zamęt... A co miały powiedzieć te rodziny, które w taki czy inny sposób dosięgła karząca ręka ojca?

- Nie ojca, a systemu! Bądź łaskaw uwzględnić tę istotną poprawkę. Paweł upił łyk parującej kawy.

- Jakby taka istotna poprawka miała cudowną moc odpuszczania grzechów

- rzekł ironicznie.

Matka zakłopotowała się.

- Nie wiem, co robić... Ostatnie kilka dni znowu pił na umór.

- Powiedz mi, jak... układało się wasze osobiste życie?

- Wiesz przecież.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Cóż...

- Słucham? -Och!

- Powiedz. Widzisz, że sytuacja jest wyjątkowa i wszelkie... rodzinne historyjki trzeba rozgrzebać, nawet te nieprzyjemne.

- Twój ojciec był przykładnym mężem, zapewniam cię. Zawsze byliśmy wzorowym małżeństwem. Pomyślałeś, że ma przyjaciółkę i poszedł do niej?...

160

161

Nie, nic takiego na pewno nie wchodzi w grę. Zresztąw jego wieku? A jeżeli go porwano?! - zawołała nagle.

- Porwano? - zdumiał się Paweł.

- Czy to nie jest możliwe? Ładnych czasów, Bogu dzięki, doczekaliśmy. Zdaje się, że teraz to nawet wiatry uczciwiej wieją, a nad prawdą wolno głosować do woli, bez przykrych następstw.

- Przez kogo miałyby zostać porwane? I dlaczego? Dla okupu? Bzdura.

Gdyby tak istotnie się stało, już by się ktoś odezwał.

- Masz rację. Plotę głupstwa. Zresztą, nie jesteśmy aż tak bogaci, żeby...

-Żeby?

Odwróciła wzrok.



- Żeby zebrać jakiś przyzwoity okup - wyjaśniła po namyśle.
- Lecz rodzina by mogła, prawda? Zwłaszcza Roman. To miałaś na myśli. Potaknęła.
- Ponieważ nikt się nie odezwał, zatem nie chodzi o porwanie. Uspokój się.
- Ładne mi uspokojenie - przycięła.
- Czy zabrał coś z domu? -Zabrał?
- Większą gotówkę...
- Aha... Nie, nie wziął książeczki oszczędnościowej ani czekowej, sprawdziłam. Może miał jakieś zaskórniaki, nie wiem. Co do ubrań, to nie rzucił mi się w oczy brak czegokolwiek, poza tym, co miał na sobie. Wyszedł w garniturze, tym szarym w prążki, i w popielatym płaszczu, bo nie wisi w korytarzu.
- Tak po prostu wyszedł - westchnął z niedowierzaniem Paweł i zaczął krążyć po kuchni. - Wyjechał samochodem?
- Nie, wóz stoi w garażu.
- Wspomniałaś, że ostatnio znowu pił. Wczoraj też?
- Ale nie tak dużo. Widzisz teraz, co się narobiło. Pokazałeś mu swoje plecy. To go musiało mocno zboleć. Byłeś jego... No, sam wiesz najlepiej. Musiałeś mu powiedzieć wiele przykrych słów.
- Sądzisz, że to ma związek ze mną?
- Tak. Widać dopiero wczoraj trafiło do niego to, co mu powiedziałaś. Jakbyś go z domu wypędził.
- Bzdura.
- Nie powinieneś z nim wtedy tak rozmawiać, mimo wszystko.
- Mimo wszystko... Określenie, które ma wręcz magiczną siłę, tak? Bo

nakazuje nawet nad największym draństwem przejść do porządku dziennego... Na mnie ta magia nie działa.

- To twój ojciec! Czy naprawdę tak bardzo go znienawidziłeś? -Nie wiem. Nie umiem sprecyzować tego uczucia.

- Świadomość, że cię stracił, miał wypisaną na twarzy. Wierz mi. Należało ci się z nim pogodzić! Zakończyć to raz na zawsze.

- Mamo... to nie tak. -Co to znaczy?!

- Jak to sobie wyobrażasz?... Że co miałem powiedzieć tacie?

„Przepraszam?” Albo odwołać słowa, które ode mnie usłyszał? I udawać, że nic się nie wydarzyło?

- Trzeba było coś wymyślić. Komu jak komu, ale tobie pomysłów nie brakuje - dodała z wyrzutem.

Paweł z dezaprobatą potrząsnął głową.

- Tej przepaści nie da się tak łatwo zasypać.

- Jaka przepaść! Nie pleć mi tu takich tam!... Czy nie ma w tobie nic litości? Widziałeś, jak tata wyglądał. Poza tym, powtarzam, jest śmiertelnie chory.

- Litość pies lubi.

- Boże, ty jesteś zimniejszy od lodu.

- Bez przesady.

- Bywają sytuacje, że należy się ulitować. Nie masz nic na obronę ojca?

- Na obronę?... Chciałbym mieć, cholernie bym chciał mieć coś na jego obronę. Przekupiłbym diabła, jeśliby drań miał w zanadrzu jakiś argument. Ale tu nawet sam Lucyfer bezradnie by rozłożył racice.

- Nie poznaję cię... Czy ty jesteś sobą? Dobrze pamiętam sztukę, którą napisałeś i w której grałeś. Potrafiłeś przebaczyć mordercy zabójstwo

swojej siostry. Człowiek ten się ukrywał, wreszcie go znaleziono. Było tak? Było!... No i jak ta twoja teatralna umiejętność przebaczenia bliźnim ma się do rzeczywistości, w której żyjesz? Uważają cię za dobrego aktora, więc przypuszczam, że musiałeś się wczuć w rolę, by wypadła przekonująco. Recenzje były pochlebne, gdy idzie o wykreowaną przez siebie postać, nie wspomnę o wywiadach w prasie i telewizji. Milczysz...

-Nie, nie milczę. Kiedy Goethe był ministrem na dworze weimarskim - rzekł z zacięciem - zdarzyło mu się raz zająć tragiczną sprawą dzieciobójstwa dokonanego przez młodą matkę, pannę. Tą samą dłonią, którą

napisał piękne wersy rozgrzeszające w Fauście Małgorzatę, podpisał wyrok skazujący na dzieciobójczynię. Kropka! Matka się zdenerwowała.

- Powiem ci coś! Pisaniem sztuk, grą w teatrze i papierowymi problemami oszukujesz samego siebie. Z takim doświadczeniem chyba nie dorastasz do normalnego życia. Wybacz mi te słowa, ale tak to widzę. Za kogo się właściwie uważasz, co? Za kapłana sztuki?

- Za kleryka. Na razie - dodał butnie. -Na razie...

-Rozumiem, że ja jestem winien zaistniałej sytuacji.

- Tego nie powiedziałam...

- Ale winisz mnie za to.

- Czy koniecznie musiałeś mówić mu o tym liście? Roman...

- Roman to Roman, a ja to ja! -Nie krzycz.

- Widać musiałem mu powiedzieć. Musiałem to z siebie wyrzucić. Po prostu musiałem, i tyle! To było silniejsze ode mnie.

- Mogłeś przyjść z tym do mnie...

- Do ciebie? Z tym akurat nie.

- Dawniej ze wszystkim do mnie przybiegałeś, w odróżnieniu od Romana.
- Z tą sprawą nie mogłem.
- I co? Czuleś się po rozmowie z tatą usatysfakcjonowany?
- To nie jest najlepsze pytanie, mammo.
- Czasem z tobą w ogóle nie sposób rozmawiać. Zastanów się nad tym szerzej.
- Szerzej?
- Wtedy były inne czasy, zupełnie inne, znacznie trudniejsze. Ludziom nie zostawiano wyboru. No, zostawiano, ale jaki?
- Słyszałem o tym tysiące razy.
- Tak czy inaczej, życie idzie dalej.
- Pewnie.
- Oczywiście, można się... rozejść, rozbić rodzinę... Lecz i to nie byłoby właściwym rozwiązaniem. Próbowалам wcześniej wymóc na tacie przyznanie, iż wie, co było powodem twojego odejścia stąd. Bez powodzenia. Naprawdę nie miałam pojęcia o takiej przeszłości waszego ojca. To, że pracował w aparacie sprawiedliwości i robił, co robił, nie wydawało mi się straszne. Nigdy się nie interesowałam polityką... Eh, w naszej młodości były inne problemy, innej kategorii.
- I inni ludzie?
- Nie, ludzie tacy sami. Charakterów się nie wymyśla. Rozejrzyj się, popatrz, co się dzieje? Ślepa wiara w iluzje to chleb powszedni naiwnych. Namiętności ludzkie są nieśmiertelne. Zdaje się, że ty masz odmienne zdanie.
- Taka rozmowa prowadzi prosto donikąd.
- Doprawdy? Co ja słyszę? Zwykle potrafiłeś precyzować swoje życiowe

postawy, cele.

- Ta sprawa jest ponadżyciowa.

Matka obrzuciła go szorstkim spojrzeniem i zaczęła się bawić pierścionkiem na palcu.

- Dobrze, powiedz mi, co robić - rzekła z rezygnacją.

- Czekać, bo cóż innego. - Dopił kawę i wyjrzał przez okno.

- Same kłopoty - westchnęła.

- Pójdę już, trochę mi się spieszy. Spróbuję się rozejrzeć tu i tam.

- Daj mi zaraz znać, jak czegoś się o tacie dowiesz. - Natychmiast. Do widzenia, mamó.

- Do widzenia.

Wyszedł. Wsiadł do samochodu i odjechał, zastanawiając się nad rozmową z matką. Wróciwszy do Magdy, przebranej w elegancką czerwoną suknię na cienkich ramiączkach, opowiedział jej o wszystkim.

- Rzeczywiście, zagadkowe zniknięcie — stwierdziła. — Twoja mama ma rację.

- W czym?

- Że jego ucieczka czy jakkolwiek to nazwać jest związana z tobą. On się nie umie pogodzić, iż cię stracił. Jest twoim ojcem, kocha cię, to normalne. No i zostało mu niedużo życia, tak?

- Niewiele - przyznał. - Nie chciał umrzeć, nie pogodziwszy się przedtem ze mną.

- Nie chciał czy nie chce?

- Nie chciał. Właśnie przekonuję się do teorii, że jego zniknięcie było czymś spontanicznym, szczerym, swoistą próbą odzyskania mnie.

- Spróbuj go szukać.

- Spróbuję.
- Odeszła ci ochota, by pójść na andrzejki?
- Idziemy, a jakże.
- No to się szybko przebieraj.
- Wyglądasz szałowo w tej sukience.

164

165

- Tylko w tej? - Zadowolona okręciła się na palcach.
- Nie tylko.
- Ale najładniej mi w tej ze skóry, co? Własnej.

III

Nazajutrz przed południem przyjemna andrzejkowa impreza wywietrzała Pawłowi z głowy. Postanowił rozpocząć poszukiwania ojca, choć nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Gdyby był pisarzem powieści kryminalnych, to pewnie od razu by znalazł mnóstwo pomysłów.

Najpierw zadzwonił na policję, gdzie uzyskał potwierdzenie, że istotnie jego matka zgłosiła wczoraj rano zaginięcie męża. Na razie nie podjęto poszukiwań. Z kolei na pogotowiu usłyszał podobne wyjaśnienie oraz informację, że nikogo o rysopisie, który podał, nie przywieziono z jakiegokolwiek wypadku. Następnie odwiedził mieszkających w tym mieście najbliższych znajomych ojca, których znał osobiście, a było ich trzynaścioro. Wszyscy zaprzeczyli, jakoby w ostatnich dwóch dniach go widzieli, potwierdzili natomiast, z wyjątkiem trojga, którzy nie mieli telefonu, że jego matka także do nich wydzwaniała wczoraj przed południem.

Na obiad zjawił się u Magdy i zdał jej relację z bezowocnych poszukiwań.

- Wygląda na to, że ta historia jest poważniejsza, niż przypuszczałeś — stwierdziła Magda, szatkując czerwoną kapustę na surówkę. - Do domku za miastem też zajrzałeś?

- Tak. Zastanawiam się, czy któryś z przyjaciół ojca nie okłamał mnie.

- Wątpię.

- Jego zniknięcie jest swego rodzaju determinacją, on mnie nienawidzi.

Odpląca mi tym, czym ja mu zapłaciłem - dodał po zastanowieniu.

Zaraz po obiedzie zadzwonił do Iwony, aby się dowiedzieć, kiedy wróci Roman. W czwartek lub piątek. Powiedział jej o zniknięciu ojca; nie mogła uwierzyć.

Pomimo sceptycyzmu Magdy, a również i swojego, Paweł przez następne dwa dni poszukiwał ojca, jednak bez oczekiwanego rezultatu. Henryk Zawada przepadł jak kamień w wodę.

Iwona zajrzała do dzieci, ponieważ od pół godziny w ich pokoju było  
166

podejrzanie cicho. Marek siedział przy komputerze i emocjonował się jakąś grą, a Beatka tkwiła po uszy w jednej z bajek.

- Kiedy tatuś przyjedzie?

- Skoro wczoraj nie wrócił, to będzie dzisiaj - odpowiedziała Iwona. - A co dziś jest?

-Piątek.

- Wielki czas, żebyś się nauczyła liczyć dni tygodnia, ty ciemna maso

-odezwał się Marek.

- Zamknij się, bo ci przyłożę! - wrzasnęła siostra i rzuciła w niego klockiem.

- Marek - westchnęła bezsilnie Iwona - daj Beatce spokój, bo naprawdę

gotowa spuścić ci lanie.

- Skąd by ludzi wzięła?

- Z przedszkola, o! - odcięła się Beatka.

Iwona zamknęła drzwi i wtedy usłyszała zatrzymujący się na podjeździe samochód. Po chwili ujrzała Romana. Niósł teczkę i dwa nieduże pakunki, owinięte w kolorowy papier. Z pokoju wypadły dzieci i rzuciły się do taty. Roman musiał je serdecznie wyściskać. Potem pocałował Iwonę.

- Tatusiu, a co mi przywiozłeś? - zapytała Beatka.

- A co byś chciała?

- Nową lalkę.

- Mam - uśmiechnął się i wręczył jej paczkę.

- Dzięki. O Marku zapomniałeś, tak? - dodała z nadzieją.

- Nie, nie zapomniałem. - Roman pogroził jej palcem i podał synowi drugą paczuszkę, w której były gra komputerowa i książka.

- Hurra! - zawołał Marek, rozrywając papier.

Dzieci wróciły do swoich zabaw, a Iwona i Roman przeszli do kuchni.

- Jak załatwiłeś swoje sprawy?

- Nie najgorzej. - Usiadł przy stole.

Iwona zajęła się zaparzeniem kawy w ekspresie.

- Twój ojciec zniknął.

- Co takiego?! - Roman poderwał się z krzesła. - Zniknął?

- W poniedziałek po południu wyszedł z domu i dotąd nie wrócił.

- Nie mogę uwierzyć. - Wstał i zapatrzył się w okno.

- Będziesz musiał.

- Co się dzieje, do diabła?

- Paweł mnie o tym powiadomił. Wczoraj byłam u twojej mamy. Jest



załamana, nie wie, co robić. Jedź do niej.

167

- Oczywiście. - Popadł w zadumę.

Iwona naląła kawy do dwóch filiżanek i postawiła na stole.

- Napij się - powiedziała. - Zrobiłam mocną.

Paweł w stroju Rodryga przeglądał się w lustrze w swojej garderobie, przygotowując się do kolejnego spektaklu Cyda, gdy usłyszał pukanie.

- Proszę!

Wszedł Roman. Paweł uniósł brwi.

- Pewnie wiesz o wszystkim - powiedział Paweł, odwracając się od lustra.

- Tak. I ciągle nie mogę uwierzyć. Wracam od mamy.

- Przejdźmy za kulisy, spektakl już idzie - rzekł i zgasiwszy światła, poprowadził brata.

- Przeszkadzam ci teraz?

- Nic podobnego. Mam jeszcze trochę czasu do wejścia, ale muszę być w pobliżu.

Stanęli z boku sceny, doskonale widząc akcję sztuki. Paweł przez moment wsłuchiwał się w dialog postaci, Diega i Gomesa, po czym popatrzył na brata. Szeptem opowiedział mu to, co usłyszał od matki na temat zniknięcia ojca.

- Przed godziną ponownie dzwoniłem na pogotowie, policję i nadal nic - zakończył Paweł opowieść.

- Gdzie mogło go ponieść? - zastanowił się Roman. - No i dlaczego?

- A ty co przypuszczasz?

- Może przetrawia to wszystko gdzieś z jakimś kumplem przy kielichu.

Mało ich ma w Polsce?

- Nic mamie nie mówiąc? Sam w to nie wierzysz. -Nie, niewierze.

- Co radzisz?

- Czekać. Albo wróci, albo go znajdą. Nieżywego - dodał posepnie Roman.

- Czyli zmarłego śmiercią naturalną?

- Zapitego na śmierć. Paweł wykrzywił twarz.

- Nie powiedziałem, że przez ciebie - dorzucił Roman.

- A jeśli minie miesiąc bez jakiegokolwiek wiadomości?

- Ty już spoglądasz tak daleko...

Paweł znowu skoncentrował się na akcji na scenie.

- Dobra, będziemy w kontakcie - powiedział - bo zaraz wchodzę. Właśnie mój ojciec mówi swój monolog - dorzucił nieco ironicznie.

- Ojciec?

- Diego.

- Ach tak, racja. - Roman wsłuchał się w końcową partię monologu Diega.

Jeśli mi Rodryg synem, niech prace nie skąpi! Niech miłość pomście,  
przyjaźń gniewowi ustąpi! Mój honor jest i jego i też nieszczęśliwa  
Zniewaga płaszczem wstydu i jego nakrywa.

Roman z uwagą obserwował, jak Rodryg dziarsko wkroczył na scenę i

-skierował się do Diega. Mimo woli pomyślał, że usłyszany przed chwilą fragment monologu jest jakby metaforą ich ojca i Pawła. Założył ręce do tyłu i śledził akcję, nie ukrywając przed samym sobą podziwu dla talentu brata.

Diego:

Rodrygu, czy mąż-eś ty?

Rodryg:

Gdyby pytał o to Nie ociec, doświadczyłby! Diego:

O wdzięczna ochoto!

o godny gniewie, w którym żale me spokoje, Z tej chwalebnej kolery  
poznawam krew moję

I młodość mi się wraca z tej rześkiej ochoty. Pójdź, mój synu, moja krwi,  
wywiedź mię z sromoty! Pójdź, zemścij się!

Rodryg:

A czego?

168

169

Diego:

Ostatniej zniewagi, Która śmiertelnie dała sławie naszej plagi, Pogębku  
mnie danego; dał ci by był garło, Gdyby chęć moje słabe ramię było  
wsparło! Tę broń, której dotrzymać nie mogłem, i razem Oddaję-ć w  
lepsze ręce pomstę swą z żelazem. Idź i nie daj po świecie krzywdzie  
mojej chodzić! Tylko krwią ten się może raz zmyć i nagrodzić. \*

Roman opuścił kulisy. Podeszedł do stojącej przy oknie popielniczki i  
zapalił papierosa. Po paru minutach zobaczył grającego Diega aktora,  
który zszedł ze sceny. Był to starszy, szczupły mężczyzna.

- Co słyhać, panie Romanie? - zagadnął wesoło.

-Wszystko w porządku, panie Mirku - uśmiechnął się i poczęstował go  
papierosem. - A u pana?

- Cóż, serce coraz częściej mi dokucza. Lecz tych przeklętych papierosów  
nie umiem się wyrzec.

- Nie myśli pan o odpoczynku na emeryturze?

- Panie Romanie! Do kogo pan kieruje te słowa? Do starego aktora? Toć w

tym zawodzie pracuje się do ostatniego tchnienia! Wie pan, zdradzę panu coś: chciałbym umrzeć na scenie! Nie w łóżku, bo to takie pospolite. Na scenie. Piękna śmierć. Ale jedynie najlepszych coś takiego spotyka.

- Niekoniecznie. Zdaje się, że Olivier zmarł we własnym łóżku, na dodatek we śnie.

- Wiem, wiem - zaśmiał się Mirosław Rzeszowski.

- Jak panu dziś idzie?

- Dobrze. W ubiegłym tygodniu dałem lekką plamę, a suflerkę jak na złość akurat chwyciła czkawka, tak że niech pan sobie wyobrazi, co ona mi podpowiadała. Święci pańscy! Gdyby nie Paweł, to nie wiem, jak bym wybrnął z tarapatów; na poczekaniu dopisał Corneille'owi parę wierszy.

- Dobrze się panu pracuje z Pawłem?

- Doskonale. On ma wielkie szanse stać się naprawdę kimś. Życzę mu jak najlepiej. Píše też nową sztukę, podobno interesującą, ale pary z gęby nie puszcza. No, pójdę minutkę odpocząć. - Podał mu rękę i odszedł.

Roman wrócił do domu.

\* Pierre Corneille, Cyd, tłum. Andrzej Morsztyn. Warszawa 1985.

#### IV

Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia. Przed południem Iwona pojechała do teściowej, aby jej pomóc w przygotowaniu wieczery wigilijnej. Odkąd zmarli rodzice Iwony, ten wieczór zawsze spędzała z Romanem i dziećmi u rodziców męża.

-Nadal żadnej wiadomości o tacie? - zagadnęła po przywitaniu i zdjęciu płaszcza. Nie musiała się specjalnie przyglądać, żeby stwierdzić, że teściowa trochę schudła.

- Wszelki ślad po nim zaginął.

Przeszły do kuchni, gdzie mieszały się zapachy rozmaitych potraw, tworząc nowe kompozycje.

- Roman próbował tu i tam dowiadywać się o tatę, bez powodzenia.

Czemu on zniknął?

- Któż to wie?

- Roman zachodzi w głowę i również nie znajduje żadnego sensownego wyjaśnienia.

- Przypuszczam, że Henryk gdzieś na odludziu najzwyczajniej zasłabł i zamarzł.

- Może został zamordowany przez jakiegoś zbira, który zwłoki zakopał w ziemi. Mało ich dziś?

- To jest prawdopodobne - przyznała posępnie pani Helena i zakrzętnęła się przy kuchence.

- Tata chyba nie miał przy sobie dużo pieniędzy.

- Nie wiem. Cokolwiek jednak go spotkało, prawie się pogodziłam z tym, że już go nie zobaczę, chociaż miewam przebłycki nadziei.

Paweł od godziny krążył po Gdańskiej, odczuwając świąteczny nastrój na każdym kroku. Dekoracje sklepowych witryn i wewnątrz wyglądały bajkowo. Rozglądał się za jakimś prezentem dla matki, bo dla innych bliskich już zakupił. Wreszcie w jednym z licznych małych sklepów zdecydował się na sweter. Gdy wracał do samochodu, zobaczył Romana rozmawiającego z jakimś starszym mężczyzną. Zatrzymał się w pobliżu i poczekał na brata, który szybko pożegnał się ze swoim rozmówcą i podszedł do Pawła. Postanowili wstąpić do baru na kawę.

- Godzinę temu dzwoniłem na policję - oznajmił Roman po pierwszym łyku. - Nic nie wiadomo.

- Co tak naprawdę myślisz o zniknięciu taty?
- Każde przypuszczenie wydaje się równie prawdopodobne, jak i nieprawdopodobne. - Wyciągnął papierosy i zapalniczkę. Poczęstował brata.
- Zmieniasz zapalniczki jak kobiety - zażartował Paweł.
- Oj, rzadziej. - Roman zaśmiał się, przypalając mu papierosa jednorazówką.
- Zalałem tacie sadła za skórę i nie wytrzymał tego - rozzalił się Paweł.
- Przypuszczasz, że tata jako winny nie ma odwagi patrzeć tobie w oczy?
- Mniej więcej. Wiesz, pogodziłbym się z nim, gdyby wrócił.
- Od razu ci tak radziłem.
- Wiem. Musiał ciężko przeżyć to, że odwróciłem się od niego. - Zerknął na śliczną kelnerkę, która podeszła do sąsiedniego stolika, i ciągnął w tym samym tonie:—Wiele rozmyślałem o naszej długiej rozmowie, o wszystkim, czego dotknęliśmy. Tata ma sporo racji. Gdy tak dokładniej się przyjrzałem temu, co się dzieje wokoło, to coraz lepiej go rozumiem. Trudno, ten przekłety list wyprowadził mnie z równowagi, nie potrafiłem tak od razu przejść nad nim do porządku dziennego.
- Rozumiem cię.
- Człowiek uczy się na błędach.
- Nie nowina. Szkoda, że czasem nauka trwa tak długo, ale to nie zawsze zależy od nas.
- Czymś trzeba płacić. Umilkli.
- Mamy Wigilię - odezwał się Roman patrząc w okno, za którym nieśmiało prószył śnieg.
- Szczególny dzień. W taki dzień nawet ateistom serce mięknie, czyli coś

to oznacza, że Wigilia nie jest obrzędem wierzących w bajki o Chrystusie, mającą niewytłumaczalną moc.

Rozrzewnili się pod wpływem wspomnień z dzieciństwa.

- Muszę lecieć - zakończył Roman. - Spotkamy się wieczorem u mamy.

- Jasne.

- Zjawisz się z Magdą?

- Nie. Ona będzie u swojej rodziny.

- Iwona już jest u mamy, pomaga w przygotowaniach.

- Zostaw, ja zapraszałem. - Paweł sięgnął po pieniądze, odliczył dodając nieduży napiwek i położył na stoliku. Wstając posłał uśmiech ślicznej kelnerce.

Wyszli. Każdy poszedł w swoją stronę.

172

W rogu pokoju stała udekorowana choinka, a do stołu podchodziła cała rodzina, zajmując wyznaczone miejsca, które przydzieliła pani domu.

Wszyscy byli odświętnie ubrani. Pani Helena w pewnych sprawach była tradycjonalistką przeto z jakimś nabożeństwem zapaliła świece na choince. Wkrótce ciepło palących się świec wydobyło z drzewka żywiczny zapach, który wypełnił pokój. Kolęd nigdy nie śpiewano w tym domu.

Po podzieleniu się opłatkiem i złożeniu sobie życzeń zajęto się wieczerzą.

Atmosfera nadal nie była taka, jak być powinna. O braku przy wigilijnym stole seniora rodu nikt nawet nie wspomniał, ale dało się zauważyć, że jego nieobecność jest w szczególny sposób dostrzegana, albowiem co chwila ktoś zerkał na puste nakrycie, wyczuwało się jakby niecierpliwe oczekiwanie na Zbawcę.

Prezenty pod choinką, zapakowane w różnobarwny papier i przewiązane

kolorowymi wstążkami, przyciągały jedynie łakomy wzrok Beatki i Marka.

Kiedy wieczerza dobiegała końca i nadeszła pora na rozdanie prezentów, zadzwonił telefon. Wszyscy poza dziećmi zastygli.

- Święty Mikołaj! - zawołała z przestrawieniem Beatka, gwałtownie zsunęła się z krzesła, podeszła do babci i przyłgnęła do niej.

- Gwiazdor dzwoni! - warknął z powagą Marek. - I w niebie mają komputery!

- Tak. Wszystko mu powiem, jaki jesteś niedobry dla mnie, ty łobuzie! Nic mnie nie lubisz.

- Oj, lubię cię.

- Tak, jak czegoś potrzebujesz.

Sprzeczką dzieci była nie dostrzeżona przez dorosłych, którzy w napięciu popatrywali jeden na drugiego.

- Odbiorę - powiedział Roman, odłożył serwetkę i wyszedł na korytarz.

Biesiadnicy odprowadzali go zaintrygowani spojrzeniami. Beatka zacisnęła dłonie i mocniej przytuliła się do babci.

- Tak - rozległ się głos Romana. - Proszę?!.... Gdzie go znalezione?... Gdzie?... Dobrze. Dziękuję.

Wrócił podekscytowany.

- Znalezione tatę - oznajmił. - Żyje. Dzwonił jego znajomy z policji, Bielski. Już go wiozą.

- Gdzie go znalezione? - rzucił Paweł. Roman spojrzał wymownie na matkę i Iwonę.



- Rozdaj dzieciom prezenty i niech idą na górę - szepnęła pani Helena do Iwony.

Kiedy zadowolone z prezentów dzieci wyszły, w pokoju zapanowała wyczekująca, nieznośna cisza. Roman usiadł.

- Wśród włóczęgów - oznajmił.

- Gdzie? - zapytali naraz.

- Wśród włóczęgów. Boże... - westchnął Paweł i wpatrzył się w matkę, która wzięła chusteczkę i zaczęła z cicha popłakiwać. Poczul, że jemu też wilgotnieją oczy. - Czego tam szukał?

- Włóczył się z kloszardami po kanałach Dworca Głównego i innych tego rodzaju miejscach.

- Postradał rozum? - jęknął Paweł i zerknął na matkę, która patrzyła na niego z niemym wyrzutem.

Po dziesięciu minutach rozległ się dzwonek w korytarzu. Paweł i Roman niemal równocześnie wybiegli z pokoju; Roman otworzył drzwi. W progu stał ich ojciec, podtrzymywany przez starszego mężczyznę w płaszczu i czapce futrzanej. Na ulicy przed bramą oczekiwał policyjny polonez.

- Dobry wieczór - rzekł policjant. - Odnaleźliśmy panów ojca.

- Dziękujemy - powiedział Roman i wraz z Pawłem przejęli ojca, który wyglądał na mocno osłabionego. Jego ubranie wydzielalo przykrą woń.

- Wesołych świąt - rzekł policjant i wrócił do wozu. -Wzajemnie.

Bracia wprowadzili ojca do domu. W drzwiach pojawiły się pani Helena i Iwona. Pani Helena podeszła do męża, kurczowo zaciskając dłonie.

Henryk Zawada budził litość swoim wyglądem. Był przygarbiony, zarośnięty, płaszcz miał pomięty i brudny. Pomiedzy roslými synami wygladał załóśnie. Stał obojętnie pod naporem niemych pytań, które

zastygły na wszystkich twarzach. Paweł z boku wpatrywał się w ojca niczym w upiora.

I to nieznośne milczenie, z którym nie wiadomo, co zrobić.

- Henryku, co się z tobą działo? - wyszeptała pani Helena. Odmruknął coś niezrozumiale, jak gdyby chciał w ten sposób uniknąć wszelkich wyjaśnień. Uniósł ręce i popatrzył na nie.

- Zaraz przygotuję ci kąpiel - dodała i poszła do łazienki.

Henryk Zawada, ruchem krnąbrnego, przytrzymywanego siłą dziecka, uwolnił się od synów i począpał za żoną. Iwona, Paweł i Roman wrócili do pokoju gościnnego i usiedli przy stole.

- Ależ on wygląda - rozżaliła się Iwona.

W godzinę później ojciec pojawił się odświeżony, w czystej białej koszuli i ciemnym ubraniu. Był też ogolony, co wyraźnie uwidoczniło, jak schudł przez te trzy tygodnie. Bezceremonialnie usiadł przy stole - uczynił to z godnością wprawdzie nadwątloną lecz widać było, że bynajmniej nie przyjął postawy skruszonego łotra, skłonnego do bicia się w piersi.

Podenerwowana pani Helena skwapliwie zaczęła obsługiwać męża.

- Co tak cicho siedzicie? - mruknął zaczepnie ojciec i powiódł po wszystkich marsowym spojrzeniem, zatrzymując je na Pawle. -

Powiedzcie coś.

- To ty powinieneś coś wyjaśnić - powiedział Paweł.

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Paweł dobrze wiedział, że agresja często bywa płaszczem ochronnym zarzucanym po to, żeby ukryć własne słabości i bezsilność wobec sytuacji, w jakiej się znalazło. Nieraz sam stosował tę metodę, z różnym skutkiem, ale o skutkach się nie myśli, gdy chodzi o obronę samego siebie. Tak właśnie widział teraz ojca. I

rozumiał go. Nie tyle żał było mu jego, ile samego siebie. Ostatnia długa rozmowa z ojcem stanęła mu przed oczami żywa jak nigdy dotąd.

- Co cię poniosło do włóczęgów, tato? - zapytał Roman.

- Co za różnica... - mruknął zajęty kawałkiem karpia.

Siedzący przy stole członkowie rodziny wymienili spojrzenia. Zapadło milczenie. Przerwał je Paweł.

—Jest różnica - powiedział.—Należy nam się wyjaśnienie, co cię pognęło na to wysypisko ludzkości.

Ojciec przeszył go wzrokiem, jakby chciał syna unicestwić, i zaraz rzucił z agresywną ironią:

-Wysypisko ludzkości... Co za górnolotność! Tylko ty mogłeś to powiedzieć.

Paweł spojrzał na brata. Roman zaciskał dłonie trzymane tuż na krawędzi stołu i oczami dał Pawłowi znak, aby stonował swoją artystyczną naturę.

- Zajrzę do dzieci - oznajmiła taktownie Iwona i wyszła, zamykając starannie drzwi za sobą.

- Pogódźcie się - powiedziała pani Helena, spoglądając najpierw na Pawła, potem na męża. - Dziś mamy Wigilię.

- A kto z kim się pokłócił? - zapytał ojciec.

- Nie opowiadaj, Henryku. Wiesz dobrze, o czym myślę. Tak dalej trwać nie może. Powiedz, czemu zniknąłeś bez słowa na tak długo.

- A co niby miałem powiedzieć? Że idę się przewietrzyć? - Stłumił cichy śmiech, zadowolony z własnego dowcipu.

- To nie jest odpowiedź. Ani dowcip.

- Miałem ochotę się powłóczyć.

- Nic nie stało na przeszkodzie, abyś wyszedł z domu normalnie, mówiąc mamie o tym - odezwał się Paweł. - Dorosły człowiek, a taki nieodpowiedzialny.

Ojciec spojrzał na niego gwałtownie i zimno.

- Bez pouczeń, zwłaszcza od ciebie!

- Nie rozumiem, o co masz pretensje? - polemizował Paweł. - Wcale nie jest powiedziane, że monopol na mądrość mają starsi. Naraziłeś naszą rodzinę na...

- Dobrze, przestań! - warknął ojciec. - I wszystko w porządku?

- Z czym?

- Mówimy o twoim nieodpowiedzialnym czynie.

—Nieodpowiedzialnym czynie... Ludzkie zachowania bywają czasem niepojęte dla rozumu, mój synu, a tobie się wydaje, że wszystko można klarownie wyjaśnić, udowodnić jak w teatrze. Ja mam swoje życie, ty masz swoje. Ty uważasz, że postępujesz zawsze dobrze, zgodnie z zasadami dekalogu, zatem wolno ci osądzać...

- Nie uważam tak - powiedział Paweł.

- Czyżby, czyżby?

- Czy ciebie, do licha, nie męczy taki stan rzeczy? — zawołał Paweł.

-Więc ty także sądzisz, że to ja jestem winien temu, co się stało?

- Paweł, przestań! - upomniała go matka i zwróciła się do męża: -

Zapomnijmy o wszystkich przykrościach.

Zapadła kolejna, pełna niesamowitego napięcia cisza.

- Masz rację... - przyznał wreszcie Paweł. Czuł, że wszystko się w nim gotuje. Ostatkiem sił powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Wtem wstał i podszedł do ojca. Pochylił się nad nim i mocno go uściskał. - Tato, zapomnijmy... zapomnijmy o wszystkim...

- Ty nie potrafisz zapomnieć... - szepnął ojciec, wyraźnie zaskoczony jego zachowaniem. — Nie ofiaruję ci iluzji, tylko prawdę. Może istotnie jesteś inny, może nie ma w tobie zła, może twoje pokolenie jest mądrzejsze od mojego...

- Potrafię. Już to uczyniłem. Jesteśmy rodziną, musimy trzymać się razem. Tato, nie było tamtej rozmowy między nami.

- Nie, Paweł! Ona była, musiała być, i powiem ci, dobrze, że była, dobrze, bardzo dobrze - wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Tato, kocham cię - szepnął Paweł i pocałował go w czoło.

Pani Helenie pociekły łzy po policzkach. Atmosfera przy stole z wolna się rozpuściła. A kiedy później rozpląnął się po pokoju dym z cygara, wszyscy poczuli się prawie jak za najlepszych dni w tym domu, aczkolwiek w każdym czaiła się obawa, że za chwilę to wszystko, tak trudno przecież tworzone, może runąć im na głowę.

V

Przez całe święta Bożego Narodzenia Paweł rozmyślał niemal wyłącznie o swoim pojednaniu z ojcem. Wielokrotnie wracał pamięcią do wigilijnego wieczoru, odtwarzając go w szczegółach, jakby się nie mógł tym nasycić. Był pewien, że ojciec, decydując się na tę spektakularną ucieczkę, nie miał zamiaru wzbudzić litości Pawła, by w konsekwencji pogodzić się z nim, i że nie zamierzał wracać do domu z własnej woli. Po prostu uważał, że krok ojca był spontaniczny, męski, spowodowany pamiętną dramatyczną rozmową.

Gdy przypomniał sobie wcześniejszą rozmowę z matką, tuż po zniknięciu

ojca, która mówiła mu, jak to kobieta, o litości dla niego, to tym bardziej utwierdzał się w trafności swojej teorii. Ojciec był zbyt dumny, nie poniżyłby się do żebrania o litość u własnego dziecka. I w efekcie narastająca w Pawle codziennie świadomość tego sądu spowodowała, że kiedy ojciec się odnalazł, wyciągnął do niego rękę. Nigdy dotąd nie przeżył podobnej Wigilii, kiedy do głosu doszła istota tego jedyne w swoim klimacie dnia, a zwłaszcza wieczoru.

Oczywiście, opowiedział o wszystkim Magdzie.

- Cieszę się, że tak to się skończyło - rzekła.

- W tej sytuacji powinienem zmienić w sztuce trzeci akt, szczególnie finał, w którym mocno przeholowałem.

- Nie jesteś jasnowidzem, nie musisz więc robić sobie wyrzutów z tego powodu.

- Nie wiem tylko jednego - zastanowił się. - Jak spojrzeć na zamordowanie Margowskiej?

- Powiedziałeś, że Roman nie przypuszcza, by miało to jakiś związek z wami.

- Pamiętam. Ale nie musiał mi wyjawiać prawdy. Magda sposepniała i potarła palcem nasadę nosa.

- Myślisz, że cię okłamał?

- Muszę z nim jeszcze porozmawiać.

176

177

Pocałowała go w policzek.

- Rozchmurz się. Doradź mi, w czym mam pójść na Sylwestra. -

Wpatrzyła się Pawłowi w oczy i kusząco rozpięła sweterek.

Pani Helena, w koszuli nocnej, weszła do sypialni i położyła się obok męża.

-Henryku, święta spokojnie minęły, więc chyba się udało... -Tak.

- Miałeś dobry pomysł.

- Ciebie też trochę to kosztowało.

- Nie tyle, ile ciebie.

- Odzyskanie miłości dziecka nie ma ceny, Heleno, choć jest nim stary byk... Nie chcę umierać ze świadomością, że Paweł mnie nienawidzi.

Chyba tyle należy mi się od tego parszywego życia. Niczego więcej już nie pragnę, tylko spokojnie umrzeć.

VI

Nazajutrz Magda wybrała się na poszukiwanie szalowej kreacji, a Paweł pojechał do Romana do kancelarii.

- Musi pan poczekać, pański brat jest zajęty - usłyszał od sekretarki. -Ma klienta z Monachium - dodała unosząc brwi aż do puszystej grzywki.

- O, nieźle mu się powodzi.

- Nasza kancelaria osiągnęła pewną renomę, spora w tym zasługa pana Romana.

- Nie wątpię. Gdyby on z taką zręcznością poruszał się na nartach w slalomie, jak między paragrafami, to nieraz by zdobył puchar świata.

- A pan mi się podoba na scenie. Ostatnio wybrałam się na Cyda.

- Miło słyszeć.

- Och, strasznie mi się pan podobał.

- Dziękuję.

- Napije się pan kawy?

- Chętnie.

Zajęła się zaparzeniem kawy. Z biura po drugiej stronie wyszedł Joachim Borski. Przywitał się z Pawłem, wymienili parę uprzejmości, po czym rzucił sekretarce jakieś polecenie i zniknął z powrotem.

Paweł usiadł przy stoliku i wziął do ręki leżący na nim kobiecy tygodnik, który przejrzał z dociekliwością analfabety; interesowały go jedynie obrazki. Cztery z nich przyciągnęły jego większą uwagę. Widniały na nich prezenty dla mężczyzn, akurat zapalniczki, wśród nich jedna identyczna jak ojca. Im dłużej się w nią wpatrywał, tym łatwiej zaczął kojarzyć pewne fakty. Boże, naraz szepnął w duchu, to on ją zabił...

- Ależ pan ciągnie tego papierosa!

- Proszę? - Otrząsnął się i wlepił wzrok w sekretarkę. - Ach, rzeczywiście.

- Nawet nie uświadomił sobie, że palił zbyt łapczywie.

Po dziesięciu minutach otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie i pojawił się gość z Monachium odprowadzany przez Romana, który biegle władał niemieckim. W chwilę potem Paweł usiadł w biurze brata.

- Jesteś blady - zauważył Roman.

- Źle się poczułem.

- Co za bóle cię wzięły?

- Żadne bóle. Słuchaj, chciałem z tobą pogadać o zabójstwie Margowskiej, żebyś mi powiedział, czy istotnie nie ma tu jakiegoś związku z nami, bo wtedy zaprzeczyłeś.

- Zgadza się. Nie ma.

- Ty, wzięty adwokat, prowadzący tę sprawę, nie wychwyciłeś żadnego powiązania? - mruknął z ironicznym przymrużeniem oczu.

Tym razem Roman potwierdził stanowczym potrząśnięciem głowy, co wspomógł rozłożeniem rąk.



- Wiesz co? - nacierał Paweł. - Gdybym rozgłosił, jaki jesteś błyskotliwy, to straciłbyś klientów.

- Gadaj do rzeczy.

- Chcę ci oznajmić, braciszku, że ja, kompletny amator w kryminalistyce, beztalencie, odkryłem prawdę, teraz, przypadkiem, w twoim sekretariacie. Spojrzenie Romana stało się dociekliwsze niż zazwyczaj, choć sama twarz była jak u pokerzysty. -Jaką prawdę?

- Margowską zamordował tata - wydusił Paweł cicho.

- Co ty bredzisz? - parsknął Roman

- Nie zaprzeczaj! - podniósł głos. - Wreszcie się domyśliłem. A powinienem był od razu na to wpaść, po pamiętnej rozmowie z nim. Niechący wkopał się w jednym miejscu.

- Wkopał się? Nie fantazjujesz?

178

179

-Nie.

- Czym niby się wkopał?

- Gdy mu powiedziałem, że ma córkę. -No i?

- Wiesz co? Nie zgadniesz. Cholera, nie zgadniesz! W ogóle o nią nie zapytał!... Nie zapytał! Jak jej na imię, gdzie mieszka, jak wygląda, garbata czy zezowata, czym się zajmuje, czy jest zameżna... Pomyśl! Zaskakuję go taką wiadomością, a on kompletnie ją ignoruje. Czy to normalne? Zwyczajna ludzka ciekawość powinna go była poruszyć do żywego. Czy ciebie na jego miejscu by to nie zaciekało? Bo mnie tak. Więc?... Znał adres Margowskiej i dobrze wiedział o ich córce, choć ona go nie zna! Logiczne?

Nastąpiła cisza. Zza drzwi dochodziły uderzenia klawiatury maszyny do pisania.

- Romek, kurwa, odpowiedz!

- Tak, logiczne.

- A widzisz! - rzucił z gorzkim triumfem.

Roman, wpatrując się w brata nieruchomym, ale czujnym wzrokiem, sięgnął po długopis i zaczął go obracać w dłoni. Paweł podjął:

- Ty jesteś bystrzejszy ode mnie w tych sprawach, przypuszczam więc, że wcześniej wiedziałeś, iż tata ją zabił, oczywiście z zemsty za to, że napisała do nas te cholerne listy. Bo po co tata przyszedł wtedy do sądu? Naturalnie, ponieważ mnie zauważył, nie wszedł na salę. On się musiał domyślać, że ty przy okazji obrony Mrotka doszedłeś do prawdziwego mordercy, może nawet zagadnął cię na ten temat.

- Nic podobnego. Jesteś w błędzie, Paweł. -W błędzie?

- Jasne.

- To zaraz cię przekonam, że się nie mylę. Ta zapalniczka, którą miałeś w sądzie...

- Zapalniczka? - Roman nie przestawał bawić się długopisem i ciągle wpatrywał się w Pawła tym samym spojrzeniem.

- Nie udawaj. Tata miał identyczną i zresztą ma. Lecz jakiś czas musiał jej nie mieć. Pamiętam, że kiedy przyjechałem do niego, to przypalał cygaro zapalką. I w parę dni później, w sądzie, zobaczyłem taką zapalniczkę u ciebie, a teraz masz inną. Nie wspomnę o tym, że identyczną zapalniczkę ma Maria Małgorzata. Powiedziała mi, że znalazła ją u matki w dniu jej zabójstwa. Cholera, czy ty mnie słuchasz?!

- Tak, do diabła! - Na chwilę zwiesił wzrok.

- No to słuchaj! To była zapalniczka taty! Oddałeś mu ją. Bo faktycznie mamy tu do czynienia z dwiema identycznymi zapalniczkami! Ta, którą znalazła Maria Małgorzata, należała do taty. Przypuszczam, że musiałeś ją u niej zobaczyć i jakimś sposobem ją sprawdziłeś, mogła mieć charakterystyczny szczegół, po czym kupiłeś identyczną i jakoś podmieniłeś. A tę właściwą zwróciłeś tacie, bo w Wigilię zapalniczkę miał. Sam ją widziałeś w jego ręku. Widziałeś, cholera, czy nie?!

- Widziałem.

- No! Tata zamordował Margowską i przypadkiem zostawił u niej zapalniczkę.

- Czyżby? - uśmiechnął się trochę z ironią.

- Nie w mówisz mi, że nie!

Roman odrzucił długopis, ruszył się z miejsca i chwycił brata mocno za ramiona.

- Paweł, Pawełku... Czy tata, właśnie on, stary prokuratorski wyga, profesjonalista o jasnym umyśle, spryciarz, jakich mało, który w tym fachu zęby zjadł i przekręcił tuziny adwokatów równie dobrych jak ja, popełniłby tak niewybaczalne głupstwo, zostawiając na miejscu przestępstwa swoją wizytówkę w postaci zapalniczki?! Paweł, pomyśl! - Potrząsnął nim silnie. - On nawet by tam nie zostawił swojego zapachu! Nagle Paweł poczuł się zbity z tropu. Patrzył na Romana, nie mogąc wydusić słowa.

- Sam przecież dobrze wiesz - podjął spokojnie Roman - że tata może być wkurzony jak sto diabłów, ale nie roztargniony.

- Zgadza się... Takiej nieostrożności nie popełniłaby nawet matka, choć roztargnienie to u niej coś normalnego.

- Nie on ją zabił, wierz mi. - Dobrodusznie poklepał Pawła po ramieniu.
- To kto? - Jego twarz nieco pojaśniała.
- Nie doszedłem do tego, naprawdę. I wcale mnie to nie interesuje. Sprawa jest umorzona.

Zadzwonił telefon. Roman podniósł słuchawkę i po krótkiej rozmowie rzekł:

- Muszę pilnie wyjechać. Widzisz więc, że niepotrzebnie się tym nagle zmartwiłeś.
- Na to wygląda. - Paweł wstał.

180

X

- Czasem dobrze jest coś przemyśleć do końca.
- Nie nadaję się na detektywa - przyznał z wyraźną ulgą.
- Za to aktorem jesteś wspaniałym.

Paweł uśmiechnął się i razem wyszli z kancelarii.

- A co z tą zapalniczką? - zapytał Paweł na parkingu.
- O rany... Ty znowu swoje. U nas w domu ją znalazłem. Margowska widać miała identyczną.
- Aha... O, popatrz, to Joanna, po drugiej stronie, wychodzi z drogerii
- rzekł i wskazał ruchem głowy.
- Tak, ona.
- Ciągle atrakcyjna.
- Fakt.

Joanna weszła na jezdnię, zmierzając w ich stronę. Nie uszło uwagi Pawła, że Roman, otwierając drzwi swojego wozu, obserwuje ją miękkim spojrzeniem. Nie dostrzegła ich. Przeszła chodnikiem i zniknęła w

następnym sklepie.

- Romek, jeszcze jedno... -No?

- Słuchaj, teraz mi się przypomniało, że kiedy rozmawiałem z mamą i powiedziałem jej, iż mamy siostrę, to również nie wyraziła najmniejszego zaciekawienia...

- Chryste, Paweł, to już jakaś paranoja! Daj sobie luz! Zajmij się teatrem, tam jest twoje miejsce, a resztę zostaw mnie, dobra?

Paweł potulnie wsiadł do wozu. Skierował się do mieszkania Magdy, a że po drodze ją zobaczył, idącą z niewielkim pakunkiem, podjechał do krawężnika i zatrzymał się. Wsiadła.

- Kupiłam niesamowicie piękną suknię - powiedziała zadowolona. - Słono kosztowała.

- Chrzanić.

- Pewnie. Czego się dowiedziałeś od Romana?

- Nie widzi żadnego powiązania między zabójstwem Margowskiej a naszą rodziną.

- Ty przypuszczałeś, że jest, prawda?

- Po cichu.

- Wiedziałam. Możesz zatem odetchnąć. - I to jak mocno. Kocham cię.

- Ja także cię kocham.

182

VII

Pod wieczór Paweł zasiadł do pracy nad sztuką. Teraz już na spokojnie, bez emocji zaczął ją czytać od początku, cyzelując tekst i dokonując ostatecznej korekty. W pewnym momencie, gdy naniósł drobną poprawkę do swojej rozmowy z matką, przeprowadzonej tuż po zniknięciu ojca, coś

mu się przypomniało, coś przestało mu się zgadzać. Odłożył pióro, zapalił kolejnego papierosa i wyteńczył pamięć.

- Jezu—szepnął przerażony - to była zmowa, wszystko ukartowali.

Zostałem oszukany jak naiwny dzieciak... Jak mogłem od razu tego nie spostrzec...

Nie wiedział, co zrobić; przez parę minut chodził z kąta w kąt, po czym zajrzał do sypialni, gdzie spała Magda, która wcześniej położyła się do łóżka. W końcu chwycił za telefon i wykręcił numer. Usłyszawszy głos Romana, rzucił bez ogródek:

- Ty też jesteś w tej zmowie?!

- Co?! O czym ty mówisz? Co cię znowu napadło?

- Zniknięcie taty zostało ukartowane! Ze względu na mnie. Oszukaliście mnie.

- Paweł, dobrze się czujesz?

- Tak, do cholery! - syknął i odłożył słuchawkę, po czym ubrał się i wyszedł z domu. Wsiadł do samochodu i pojechał do rodziców. Drzwi otworzyła matka. Zmierzył ją zimno spojrzeniem.

- Ukartowaliście to! - rzucił i nie zdejmując rozpiętego płaszcza, ostrym krokiem przeszedł do pokoju, gdzie przy kominku siedział ojciec i czytał gazetę.

Podenerwowana matka niemal wbiegła za Pawłem. Ojciec poruszył się niespokojnie, widząc rozjuszonego syna, ale sienie odezwał.

- O co ci chodzi, Pawełku? - zapytała.

- O to, że uciekliście się do podstępu, abym pogodził się z tatą! A ja naiwnie myślałem, że zniknięcie taty było czymś spontanicznym, autentycznym, desperacją... Tymczasem to nic innego jak wyrachowanie!

Zimne, bezlitosne wyrachowanie.

Ojciec upuścił gazetę, ciągle niemo wpatrując się w Pawła, na którego twarzy wściekłość mieszała się z bezsilnością.

- Tak, tato, ty zawsze byłeś wyrachowany, przebiegły, całe życie! A ja myślałem, że to było szczerze, szczerze jak złoto... Nie byłeś u żadnych włóczęgów! Dobrze sobie! Pewnie siedziałeś u któregoś z kumpli i zacierałeś ręce, że dopniesz swego...

183

- Pawełku, ty... ty mówisz od rzeczy - powiedziała matka, podchodząc do stolika. Sięgnęła po papierosy.

- Nie mówię od rzeczy! - krzyknął Paweł patrząc, jak drżącą ręką bierze zapalniczkę.

- Przecież policja przywiozła tatę i...

- Policja?! - przerwał jej. - Nie rozśmieszaj mnie, mamó! Mało tata ma przyjaciół wśród glin? Jeszcze nie wszyscy się od niego odwrócili, trochę wody upłynie, nim każdy się przechrzci. To ohydny spisek! Poczekaliście aż do Wigilii z inscenizacją waszej szopki. Sprytne! Bardzo sprytne.

Jednak wy, zatwardziali ateści, potraficie sięgnąć do skarbcza

chrześcijaństwa i wziąć to, co akurat wam pasuje. - Umilkł uświadamiając sobie mimo woli, że matka nerwowo obraca w dłoni zapalniczkę.

- To bzdury - odezwała się ostrożnie matka i przypaliła papierosa.

-Poniosła cię wyobraźnia...

- Bzdury? Wyobraźnia mnie poniosła?! To ci udowodnię, że nie!

Pamiętasz naszą rozmowę tuż po zniknięciu taty? W pewnym momencie zapytałem cię, czy tata wyjechał wozem. Ty natychmiast odrzekłaś, że nie, że wóz jest w garażu. Było tak?

Pani Helena błagalnie popatrzyła na męża - on nadal siedział nieruchomo, wydawało się, że nic do niego nie dociera.

-Tak powiedziałam?... Może się przejęczyłam?

- Nie, nie! Dobrze wiedziałaś, co mówisz. W ogóle wtedy plotłaś jak najęta. Świetnie odegrałaś swoją rolę w tej szopce, gratuluję! Nawiasem mówiąc, mój dyrektor poszukuje aktorki w starszym wieku. Nadajesz się — dorzucił z kpina.

Atmosfera stawała się coraz cięższa. Ojciec nie reagował.

- No i... co z tym samochodem? - zapytała matka.

- Co?! Wozu nie mogło być tamtego dnia w garażu, bo pożyczył go Roman, pojechał nim na Śląsk!

Matka opuściła wzrok. Usiadła.

-Nie wiedziałaś, że wcześniej Roman miał wypadek i jeździł wozem taty, co? Tata zapomniał uzgodnić z tobą ten szczegół. Cóż, nawet największemu spryciarzowi umknie jakiś drobiazg.

Naraz u drzwi odezwał się dzwonek, który w istniejącej sytuacji zabrzmiał jak natrętny komar koło ucha. Matka wyszła na korytarz i wróciła z Romanem.

- Jesteś w tym spisku, czy nie? - syknął Paweł prosto z mostu, nim Roman zdołał się rozejrzeć.

- O czym ty gadasz, do diabła?! - Roman zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło.

Wyjaśnił mu wszystko, uważnie obserwując jego reakcję. Był pewien, że Roman jest rzeczywiście zaskoczony. Nieoczekiwanie odezwał się ojciec, cichym, pełnym rezygnacji głosem:

- Masz rację, Paweł, tak było. Romek o niczym nie wiedział. Roztrzęsiona



matka wpatrzyła się w starszego syna niemal hipnotycznym wzrokiem, jakby oczekiwała pomocy. Roman nie zareagował, po chwili wyszedł na korytarz.

- Synu, ty mi nigdy nie wybaczysz grzechów mojej młodości - podjął ojciec - a sam nie masz pojęcia, co w tobie tkwi.

Nagle Paweł poczuł, że coś go opętało, nie wiedział, co. W ułamku sekundy doskoczył do ojca, chwycił go za ramiona i zaczął nim potrząsać.

- Jesteś wyrachowany do szpiku kości - syczał - patrzysz umysłem, a nie sercem! Wszystko sobie wyliczyłeś, zawsze sobie wyliczałeś, swoją karierę... Tłukłeś ludzi z wyrachowania...

- Puść mnie!... - chrapnął ojciec. - Dobrze latać się nie... puść!... nauczyłeś, a już innych uczysz! Nie... puść... nie będzie z ciebie dobry nauczyciel.

- Jezu, Romek! Na pomoc! - krzyknęła przerażona matka.

- Oszukałeś mnie! — krzyczał Paweł.

- Puść!... - rzeźił ojciec. - Puść... Nie wybaczyłeś mi przeszłości... Puść... Bo gdybyś miał tyle odwagi, by przezwyciężyć własną słabość, tobyś nie odszedł. Jesteś słabszy ode mnie...

Wpadł Roman, błyskawicznie skoczył i odciągnął Pawła od ojca. Paweł nie dawał za wygraną, miotał się; Roman silnie trzasnął go pięścią w splot słoneczny, a potem bez wysiłku zaprowadził do drugiego pokoju, gdzie powoli, powoli go uspokoił.

Pani Helena cicho załkała, widząc, jak mąż podchodzi do niej, kładzie trzęsącą się rękę na jej głowie, głaszcze, całuje jej włosy i idzie na górę. Wkrótce Roman odwiózł Pawła do Magdy.

W trzy godziny później Henryk Zawada popełnił samobójstwo; zastrzelił

się swoim pistoletem w gabinecie, siedząc w fotelu. Przed nim, na biurku, leżał album malarstwa, otwarty na stronie z tryptykiem Hansa Memlinga Sąd Ostateczny.

184

185

Przez kilkanaście dni Paweł nie mógł się otrząsnąć po rodzinnej tragedii, przeżył bez mała szok, winił się za śmierć ojca. Lecz jakoś wygrzebał się z tej depresji i ponownie podjął pracę nad „Sumieniem zła”. Dwudziestego szóstego stycznia sztukę ukończył.

Kiedy Magda ją przeczytała, była mocno zaskoczona poczynionymi zmianami w stosunku do ostatniej wersji. Przekazała mu swoje uwagi, ale w końcu Paweł ją przekonał, że właśnie tak powinno pozostać.

### ODSŁONA TRZECIA

W ciszy i półmroku trzasnęła zapalka. Najpierw zaiskrzył snop iskierek, następnie rozpalił się mały płomień, który wreszcie powędrował do świecy na biurku dyrektora Teatru Polskiego Zbigniewa Sa-bacińskiego, wysokiego, starszego mężczyzny. Zrobiło się bardziej nastrojowo.

Dyrektor z malującym się na twarzy zadowoleniem popatrzył na maszynopis, po czym przeniósł wzrok na dwie osoby siedzące w stylizowanych na secesję fotelach.

- Podoba mi się - powiedział cicho, lecz zdecydowanie - naprawdę podoba mi się twoja nowa sztuka, Pawle. Można ci pogratulować. Świetny temat i dobre pióro. A finał jest doprawdy zaskakujący, jego wieloznaczność wręcz zwała z nóg. I o to chodzi. Będziemy ją wystawiać, pieniądze się znajdują. Magdo, proszę się tym zająć, nawet od jutra.

Magda nieznacznie się uśmiechnęła. Paweł, błądząc gdzieś myślami, w

ogóle nie zareagował, co jednak nie zraziło dyrektora.

- O szczegółach inscenizacyjnych porozmawiamy za trzy dni, gdy wrócę z Warszawy - podjął. - Dobrze by było przygotować premierę na początek kwietnia. To wszystko. - Wręczył Pawłowi maszynopis. - Aha, skąd wzięłeś pomysł na taki temat?

- Prosto z życia - odrzekł cicho Paweł i zerknął na Magdę. Wyszli. Sabaciński jeszcze przez jakiś czas rozmyślał o nowej sztuce Pawła, którą rzeczywiście był zachwycony, po czym powrócił do analizowania budżetu teatru, czego wręcz nie cierpiał, a musiał to robić, ponieważ miał na karku szefa miejskiego wydziału kultury, który zaczął go rozliczać z każdego grosza.

Po paru minutach rozbłysło światło, dyrektor zdmuchnął świecę.

187

II

W połowie lutego próby „Sumienia zła” szły pełną parą. Paweł grał oczywiście rolę syna, a jego scenicznym ojcem był Mirosław Rzeszowski, stary Diego z Cyda.

Próbie generalną z udziałem zaproszonych gości wyznaczono na ostatni czwartek marca. Wszyscy się denerwowali, zwłaszcza Paweł i Magda. Pierwszy i drugi akt wypadły dobrze, a, zdaniem Magdy, Paweł był wręcz fenomenalny. Dyrektor Sabaciński także podzielał jej pogląd. Magda momentami nie miała pojęcia, czy Paweł naprawdę gra, czy jest tylko sobą to znaczy jedynie odtwarza siebie dokładnie tak, jak było to w jego życiu. Dopiero teraz pojmowała, że tak naprawdę, to go wcale nie zna, i uświadamiała sobie, przez jakie piekło musiał przechodzić. Zresztą od samobójczej śmierci jego ojca zauważyła w Pawle głęboką przemianę

psychiczną - nie tryskał wesołością tak często jak kiedyś, nawet w łóżku był inny, momentami jak gdyby nieobecny duchem.

Podczas drugiego antraktu dostrzegła wychodzącą z widowni panią Helenę

- była blada, z trudem szła w stronę toalety. Wiedziała od Romana, że zarzekała się, iż za żadne skarby nie obejrzy nowej sztuki Pawła, choć się nie orientowała, o czym ona jest, Paweł jej nie powiedział. Ale się zjawiała. Magda poszła za nią udając, że przypadkiem zmierza w to samo miejsce.

Zagadnęła pogodnie:

- Co pani sądzi o przedstawieniu po dwóch aktach? Pani Helena spojrzała na nią zalekniona.

- Czemu on mi nie powiedział, że to jest o tym?

-Nie wiem. A mnie zabronił informować panią na ten temat.

- Całe szczęście, że nie posługuje się autentycznymi nazwiskami, bo ze wstydu bym się spaliła.

- Tego by nie zrobił, pani Heleno.

- Szczerze mówiąc, po pierwszym akcie miałam ochotę wyjść, ale zostanę już do końca, mam tyle siły. Wydaje mi się jednak, że Paweł nie jest sobą.

- Dlaczego pani tak przypuszcza?

- Bo ja go nigdy takiego nie widziałam. A co do jego rozmowy z ojcem, przy której wprawdzie nie byłam, znam jątylko z ust Henryka, bo później mi opowiedział, to sądzę, że Paweł jest, nie wiem, jak określić, nadpobudliwy, za bardzo emocjonalny, jak gdyby nie panował nad namiętnościami.

- Może świadomie przerysowuje, dla podkreślenia.

- Może.

- A jak pani widzi swoją postać?

- Poprawnie mnie sportretował - odrzekła bez entuzjazmu. - Aktorka, która gra tę rolę, jakby mnie wcześniej z ukrycia podglądała. Natomiast mam wątpliwości co do postaci męża, który jest tu zbyt zadziorny. Henryk taki nie był, nie tak agresywny. Lecz to Pawła sprawa - szepnęła markotnie. Weszły do toalety. Magda stanęła przy lustrze i przypudrowując nos, przetrawiała słowa pani Heleny, która zamknęła się w kabinie. Po chwili Magda wyszła. Zauważywszy Iwonę, rozmawiającą z młodą dziennikarką z miejscowego „Dziennika Wieczornego”, Moniką Żuczyńską, zajmującą się tematyką kulturalną i znaną z ciętego pióra, podeszła do nich.

- Gdzie Roman? - zapytała Iwonę po przywitaniu się z dziennikarką.

- Za tamtym filarem rozmawia z jakimś klientem - odparła z nutą tolerancji w głosie. - Nawet w teatrze widzi paragrafy. Całe szczęście, że nie w łóżku - dorzuciła z humorem.

- Muszę powiedzieć, pani Magdo, że sztuka jest interesująca - oznajmiła dziennikarka. - Paweł znalazł świetny temat.

- Niewątpliwie.

- Mówiłam Iwonie, że ten dramat ma szanse przebić poprzedni. Ale poczekajmy do końca - dodała i przeprosiwszy je, odeszła.

- Co myślisz o scenicznym Romanie? - zapytała Magda przyciszonym głosem.

- Chwilami wydaje mi się prawdziwy, a chwilami jak gdyby zupełnie obcy. —Najlepiej w odpowiednich momentach przymrużyć oczy.

- Koniecznie. Gdy Roman mi powiedział, o czym jest ten dramat, to byłam zaskoczona.

- Zapewne.

- Przepraszam cię, podejść do teściowej - dodała, widząc panią Helenę

wychodzącą z toalety.

- Oczywiście.

Magda rozglądnęła się po foyer i zobaczyła Marię Małgorzatę, która odchodziła od jakiegoś szpakowatego mężczyzny. Magda podeszła do niej. Ucałowały się.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Jak odbierasz sztukę?

- Dobrze. Paweł wydaje mi się jednak trochę nadwrażliwy.

- Nie pierwsza mi to mówisz.

- Prawie że widać, jak w nim wszystko pulsuje - stwierdziła Maria

188

189

Małgorzata. - Lecz on już taki jest - dodała żartem i spoważniała. -

Ciekawa jestem, kto okaże się mordercą. Magda zrobiła tajemniczą minę.

Rozległ się gong. Wszyscy przeszli na widownię. Kurtyna podniosła się i rozpoczął się akt trzeci, ostatni.

Magda, siedząca w czwartym rzędzie, obok dyrektora, wcisnęła się w fotel i skupiła się na tym, co działo się na scenie. W miarę rozwoju akcji, zmierzającej nieuchronnie do dramatycznego finału, z pewnym napięciem obserwowała grę Pawła. Był bardzo ekspresyjny, o wiele bardziej niż na poprzednich próbach. Zerknęła na dyrektora.

- Paweł jest świetny, świetny - szepnął.

- Też go prawie nie poznaję. - Przypomniała sobie rozmowę z panią Heleną.

Jedne z trojga drzwi widowni otworzyły się i weszła sekretarka.

Rozejrzawszy się w półmroku, podeszła do Sabacińskiego.

- Przepraszam, panie dyrektorze - szepnęła - telefon z Warszawy, z

ministerstwa.

- Och - westchnął z niezadowoleniem i wyszedł. Zaaferowana Magda śledziła akcję.

Roman po prostu nie mógł dłużej oglądać przedstawienia, które przerastało jego cierpliwość ze względu na poruszane w nim rodzinne historie, przeto nie dbając o to, co sobie pomyśli Iwona czy potem Paweł i Magda, wyszedł na początku trzeciego aktu na papierosa. Nie był zachwycony ekshi-bicjonistyczną otwartością brata - zarówno w sportretowanych przez niego postaciach, jak i problemach. Swojego scenicznego sobowtóra, zwłaszcza pod względem psychologicznym, oceniał na czwórkę, czyli przyznawał, że brat jest dobrym obserwatorem. W pewnym momencie środkowe drzwi się otworzyły i Roman zobaczył matkę. Podeszła do niego i usiadła.

- Myślałam, że wytrzymam, ale również nie mogę tego oglądać, staję się coraz bardziej nerwowa - szepnęła drżącym głosem i sięgnęła po papierosy i zapalniczkę.

Roman wziął od niej zapalniczkę, przez chwilę ważył ją w dłoni i przypalił jej papierosa.

- Mamo, wreszcie powinniśmy dokończyć naszą rozmowę.

-Jaką?

- O tym. - Uniósł zapalniczkę dwoma palcami, podsunął jej pod oczy i upuścił do otwartej torebki, którą trzymała przy sobie, po czym przestawił metalową popielnicę na wysokiej nóżce, żeby była w zasięgu ręki matki.

Pani Helena ciężko westchnęła.

- Czy masz tyle siły, by porozmawiać?

- Muszę mieć - odrzekła.

- Dlaczego nikomu z nas nie powiedziałaś, a choćby tylko mnie, że byłaś uMargowskiej?

- Cóż, wstydziałam się przyznać, że poszłam do niej z pretensjami. Kiedy jej list do Pawła przypadkiem wpadł mi w ręce, przeżyłam szok. Nie mogłam uwierzyć w jego treść. I wreszcie się zdobyłam na wizytę, pod koniec września. To była dziwna kobieta, trochę pijana, nerwowa, bełkocząca momentami od rzeczy. Zapytałam ją, czemu do was napisała. Odrzekła bez żenady, mając w sobie coś z mistycznej wieszczki, że to jej powinność, że wy musicie swoje odcierpieć za grzechy ojca. Gdy jej powiedziałam, że największą zemstą jest przebaczenie, to mnie po prostu wyśmiała. Jeszcze mi w uszach dzwoni jej chropowaty śmiech. „Paniusiu, nie w naszym życiu, może w niebie”, odparła bełkotliwie. Nasza rozmowa stopniowo przekształciła się w małą awanturę, bo zaczęłam tracić cierpliwość. Nie panowałam nad sobą...

- Dziewiętnastego października zdecydowałaś się pójść do niej znowu.

- Tak...

Ze sceny padały gromkie głosy. Magda poruszyła się niespokojnie w fotelu i dalej śledziła akcję.

OJCIEC: Bzdury, bzdury! To wyssane z palca brednie! Zemsta, nic innego! Perfidna zemsta. Powiadam ci, że połowa to jej wymysły!

JANEK: Która połowa? Ta wstrząsająca?

OJCIEC: Wstrząsająca?... Skoro tak to określasz, niech będzie wstrząsająca. Zemsta, tak, w perfidny sposób chce mi zepsuć opinię.

Wcześniej zapewne się bała, bo dlaczego tak długo z tym siedziała cicho?

Jeżeli to wszystko tu jest prawdą, to czemu nie napisała do prokuratury, co?!



| JANEK: Bo osobiście nie czuła się pokrzywdzona przez ciebie. Prawda, chciała się w perfidny sposób zemścić, wysyłając listy do mnie i Jacka. Chciała się odkuć na nas!

190

191

OJCIEC: I zrobiła to. JANEK: Ona nie żyje.

OJCIEC: Nie żyje? Zmarła... Zawsze była słabego zdrowia... Nawet dzieci nie mogła mieć.

JANEK: Czy to dlatego się rozwiedliście? OJCIEC: Sprawdzasz mnie?

JANEK: Tylko pytam. Ona została zamordowana. OJCIEC:

Zamordowana?! Przez kogo?

JANEK: Nie wiadomo. Z synem nie układało się jej najlepiej, nie traktowała go z troskliwością kochającej matki, więc może naprawdę bała się o siebie.

OJCIEC: Powiedziałaś „zsynem”?

JANEK: Tak. Mogła mieć dzieci. Macie syna. On nie chce cię znać, nie ma zamiaru nanosić korekty w swoim życiorysie. OJCIEC: Mogła mieć dzieci...

- Tak - powtórzyła po długiej pauzie pani Helena i zdusiła papierosa w popielniczce. - Po tym jak Paweł się nie zjawił na taty urodzinach. Dopiero wtedy zrozumiałam, że Paweł odszedł od nas na dobre, że to jest związane z owym listem, że znienawidził tatę. Nie mogłam się z tym pogodzić, podobnie zresztą jak wasz ojciec, w którym od tego momentu zaczęło ubywać życia w przyspieszonym tempie. Widziałam, jak marnieje w oczach. I poszłam powtórnie, chcąc jej powiedzieć, że rozbiła naszą rodzinę. A o drobiazgu, że poprzednio z tego zdenerwowania zostawiłam u

niej tę zapalniczkę, nawet nie pamiętałam.

- Lecz nie weszłaś.

- Nie mogłam się zdecydować, mimo że z domu wyszłam w bojowym nastroju. Kiedy wysiadłam z autobusu, ogarnęły mnie wątpliwości, jaki to sens, żeby z nią ponownie rozmawiać. Przecież ona by się z tego cieszyła, uznałaby to za swoje zwycięstwo. I tak chodząc ulicą raz i drugi stwierdziłam, że nie dam jej tej satysfakcji. Wróciłam do domu.

Roman spojrzął na zegarek.

- Wiesz kto ją zabił? - zapytała. Skinął głową.

- Tata... - wyszeptała. Skinął głową.

- Boże... Czy Paweł wie? Pokręcił przecząco głową.

- I nigdy mu tego nie powiem - dorzucił.

- Tak, tak będzie najlepiej. On jest zbyt wrażliwy, aby dźwigać wielkie ciężary. Obawiam się, że jeszcze popełni jakieś potworne głupstwo. Po samobójstwie taty nie mógł dojść do siebie.

- Dla każdego z nas było to tragiczne.

- Oczywiście. Jak odkryłeś, że tata ją zamordował?

—Zapalniczka. Od pewnego momentu wiedziałem, że oboje znaliście adres Margowskiej. Gdy zwróciłem tacie zapalniczkę, powiedział mi, że tyją gdzieś zgubiłaś. Wniosek był prosty. Nikt na miejscu popełnionej przez siebie zbrodni nie zostawia takiej wizytówki, nawet przez roztargnienie. Ponieważ zapalniczka była, a zostawiłaś ją ty, więc mordercą był ojciec. Nie zauważył jej, bo leżała w jakimś szkle na kredensie. Latem widział się z Margowską parę razy. Przypuszczam, że ona gdzieś musiała go najpierw rozpoznać, bo nawiązali kontakt. Możliwe, że zwierzyła mu się, iż zamierza napisać do nas listy na temat jego

przeszłości, a on mógł próbować ją od tego odwozić. Kiedy Paweł się wyprowadził tak nagle, pojął, że listy zostały napisane i wysłane. Od tego dnia tata musiał zapalać żądzą zemsty, która w nim codziennie narastała, aż miarka przebrała się po jego urodzinach, gdy Paweł się nie zjawił. Zrozumiał, że stracił go na zawsze.

- I za to ją zamordował...

-Tak.

- Co teraz z tym fantem?

- Trzeba żyć z tą świadomością, jesteśmy tylko ludźmi. -Tylko ludźmi...

- Widziałaś Marię Małgorzatę?

- Po raz pierwszy na oczy, bo przedtem Margowska pokazała mi jej zdjęcie, ale nie podała adresu. Czy ona wie, kto jest mordercą?

- Nie mam pojęcia.

- Powiedz mi, co myślisz o tacie.

- Szczerze?

- Szczerze.

- To musiało być kiedyś kawał skurwysyna.

Do końca pozostał cynikiem. No, miał tyle

honoru, żeby się zastrzelić, choć nigdy się nie dowiem zrobił to z poczucia winy wobec swoich ofiar,

wobec swoich ofiar, czy wobec Pawła.

Matka spojrzała na niego nieomal ze zgrozą.

Milczała.

192

- Nie chciałbym być takim człowiekiem - ciągnął nie zrażony reakcją matki. - Podziwiam Pawła, mam dla niego wiele, wiele szacunku, że miał

tyle odwagi, by mu powiedzieć, co o nim myśli. Ja byłem do tego za słaby. Chciałaś szczerości, mamó...

Pani Helena pokiwała głową i nic nie odrzekła.

Magda zaciskała dłonie, śledząc akcję, której punkt kulminacyjny zbliżał się szybko. Była coraz bardziej podekscytowana.

JANEK (podchodzi do siedzącego w fotelu OJCA, który czyta gazetę):

Ale oszukałeś mnie! I Jacka MATKA: Janek, przestań!

JANEK: Tato, to ty jesteś prawdziwym autorem listów do nas. Tę kobietę tylko nakłoniłeś, by je napisała. Dobrze znałeś jej adres, wiedziałeś o waszym synu, a przed nami udawałeś, że o niczym nie masz pojęcia.

OJCIEC: O czym mówisz?

MATKA: Boże drogi, przestańcie!

JANEK: Nie wiedziałeś, jak się rozliczyć ze swojego życia przed nami, brakowało ci odwagi na rozmowę, a czując śmierć, chcesz umrzeć z czystym sumieniem, bo ono cię gryzie. No i pragnałeś nam to wszystko wyznać, może także ku przestrodze. I wpadłeś na pomysł tych listów, w których wszystko wyjawiałeś jak na spowiedzi. Gdy to później zrozumiałem, cieszyłem się, naprawdę się cieszyłem, że posłużyłeś się tym podstępem. Lecz wcześniej moja reakcja cię zaskoczyła, kiedy odszedłem z domu. Zaaranżowałeś swoje zniknięcie po to, aby mnie odzyskać, abym wzruszył się twoją skruchą i pojednał się z tobą. I tak się stało. Tylko dlaczego zabiłeś tę kobietę? Powiem ci. Żeby przypadkiem się nie wydało, iż z tymi listami to był fortel! Żeby, nawet po twojej śmierci, nie znienawidził cię za to, że byłeś taki do cna wyrachowany. Bo nie spodziewałeś się, że dojdę do prawdy. Ponieważ wiedziałeś, iż nie cierpię wyrachowania, nie jestem oportunistą, . jak ty, więc tym bardziej nie

przewidywałeś, że jednak bym wyciągnął do ciebie rękę.

OJCIEC: (podenerwowany, po pauzie): Jak na to wpadłeś?

JANEK: List pisany do mnie i list do jej syna różnią się składnią, stylem, choć pisała je ta sama ręka. Czego to dowodzi? Że listy do nas ktoś jej podyktował. A kto?... Ty!

I

OJCIEC: To prawda. I doszedłeś do tego, że ją zabiłem?

JANEK: Tak. Tego zabójstwa już nie mogę ci wybaczyć. Tu nie mogę cię zasłonić SYSTEMEM! Masz rację - nie ludzie tworzą system, a system tworzy ludzi. Ale nie w tym przypadku. Przedtem czyniłeś zło dla idei, teraz dla mnie (chwytając OJCA za ramiona i nim potrząsa).

OJCIEC: Puść mnie!

MATKA: Boże drogi... Jacek, gdzie jesteś!

(Utarczka staje się coraz bardziej zażarta. JANEK nie panuje nad sobą, chwytając wstającego OJCA za gardło i próbuje go dusić. Słychać trzask drzwi. Wpada JACEK)

OJCIEC: Puść!... Nigdy nie wybaczysz mi przeszłości, bo gdybyś miał tyle odwagi, tobyś nie odszedł... Puuuuść...

(OJCIEC silnie ściskany za gardło rzezi i słania się na nogach, próbując resztkami sił oderwać rękę JANKA od siebie; podbiega JACEK).

Iwona i dziennikarka siedziały pośrodku piątego rzędu. Dziennikarka raz po raz coś zapisywała w notesie, prawie w niego nie patrząc. W pewnej chwili Iwona zauważyła, że Magda, siedząca przed nimi, gwałtownie wstała i krzyknęła:

- Stop! Stop! Co się dzieje?! Rozdzielcie ich! Natychmiast!

Iwona popatrzyła ze zdziwieniem na swoją towarzyszkę, a potem na

Magdę, która szybko szła na scenę, na końcu biegła.

- Nic nie rozumiem - szepnęła Iwona.

- Intrygujące - odrzekła Monika.

Z rosnącym zdumieniem Iwona stwierdziła, że na scenie zapanowała konsternacja, jakby aktorzy nie wiedzieli, o co chodzi. Patrzyli to na wbiegającą Magdę, to na Pawła i Ojca, którzy wściekle ze sobą walczyli, a których próbował rozdzielić trzeci mężczyzna, Jacek.

Iwonie wydało się, że z trudem oderwał Pawła od starszego kolegi. Ojciec leżał na podłodze. Magda, zerknąwszy na Pawła, który rozglądał się błędnym wzrokiem, dopadła do leżącego i zaczęła go cucić.

- Boże, on nie żyje - zawołała Magda. - Lekarza, pogotowie! Szybko pogotowie!

Na scenie zrobił się rwetes. Ktoś wybiegł za kulisy. Magda podniosła się i krzyknęła w stronę widowni:

- Czy jest wśród państwa lekarz?!

194

195

- Cholera, Monika, co tu jest grane? - szepnęła Iwona.

- Poczekajmy -uspokoila ją dziennikarka. - To jest coraz bardziej intrygujące, naprawdę, sztuka dopiero nabiera życia.

W siódmym rzędzie podniósł się starszy mężczyzna w okularach i pospieszył na scenę. Pochylił się nad Ojcem i zaczął go badać. Wszyscy - poza Pawłem, który przysiadł na krześle i zwiesiwszy głowę zdawał się niczym nie interesować - obserwowali go z napięciem.

Iwona rozejrzała się. Niektórzy widzowie wstali z miejsc i podobnie jak ona patrzyli, co się właściwie dzieje na scenie.

Lekarz powstał.

- Przykro mi - powiedział. - Nie żyje.

Iwona spostrzegła, że Magda załamała ręce i wpatrzywszy się w Pawła, powiedziała:

- Jezu Chryste... Udusiłeś go... - i ukryła twarz w dłoniach. Na scenie pojawił się Jacek.

- Karetka w drodze - oznajmił.

- Znajdź dyrektora i zadzwoń na policję!

Iwona spojrzała na Matkę, która wypowiedziała te słowa stanowczym tonem i podeszła do Magdy, szepcząc z nią o czymś, następnie rzuciła w głąb kulis hasło „kurtyna” i zbliżyła się na proscenium, zwracając się do widzów:

-Proszę państwa, zmuszeni jesteśmy przerwać spektakl, gdyż wydarzyło się nieszczęście...

Kurtyna zaczęła opadać, ale zaraz stanęła. „Zacięło się” - dobiegł jakiś baryton zza kulis.

Coraz więcej widzów wstawało. Na widowni rozbłysło światło.

- Teraz jestem trochę zdezorientowana - powiedziała dziennikarka do Iwony - Znasz tego lekarza?

- Nie. Ale kręcił się w foyer podczas przerwy i chyba rozmawiał z dyrektorem teatru - odrzekła i skupiła uwagę na Magdzie, która podeszła do wsta-jącego Pawła i zaczęła go tłuc pięściami po piersiach.

- Boże, udusiłeś go! - wołała Magda. - Udusiłeś... Coś ty zrobił! Coś ty zrobił!

- Paweł jest roztrzęsiony - zauważyła znowu Iwona.

- Istotnie - przyznała dziennikarka. - Dobrze gra.

- Gra? - zdziwiła się Iwona.

- Jest bardziej naturalny niż przedtem.

- Nie wiem, co... co się ze mną stało - rozległ się cichy głos Pawła. - Nie chciałem... nie chciałem go zabić. Jakbym, jakbym... Nie wiem... Boże, ja nie wiem... - Osunął się na podłogę.

Iwona obejrzała się. Kilka osób półgłosem wygłaszało rozbieżne uwagi na temat tego, co się działo na scenie. Ponownie wpatrzyła się w Magdę, która sprawiała wrażenie, iż nie wie, co z sobą począć - potrząsając rękoma, chodziła tam i z powrotem.

- Co z tą kurtyną?! - rzuciła naraz gniewnie gdzieś za kulisy.

- No, zacięła się!

Magda spojrzała na widownię rozognionymi oczyma. Iwonie wydało się, że ona w pierwszej chwili chciała wyjść na proscenium, ale się rozmyśliła.

Do lekarza podeszła Matka i wskazując na leżącego, oznajmiła:

- On nie czuł się najlepiej, panie doktorze, narzekał na serce.

- Gdzie jest dyrektor?! - rozległ się donośny głos w foyer. - Nie ma go w gabinecie.

Iwona wstała i znowu skupiła uwagę na Magdzie i Pawle.

- Nie mogę uwierzyć - mówiła Magda do niego rozedrganym głosem.

- Jesteś świadomy tego, co uczyniłeś? Co w tobie pękło?!

- Panie dyrektorze, no nie wiem, co się stało z tą przeklętą maszyną - rozległ się za kulisami baryton.

Na scenie pojawił się dyrektor teatru. Podbiegł do leżącego na podłodze Ojca, przykucnął i wysłuchał wyjaśnień Matki.

Iwona ponownie zainteresowała się widownią. Otwarto drzwi - kilka osób zmierzało do wyjścia, inni ciągle dyskutowali, spoglądając to na foyer, to



na scenę, ktoś tam rzucił głupi dowcip. Po minucie Iwona spostrzegła Romana i jego matkę: stali przy drzwiach, ale zaciekawieni patrzyli na scenę.

- Spójrz, policja - rzekła dziennikarka do Iwony.

Zza kulis wyłonili się dwaj mężczyźni w policyjnych mundurach.

Przedstawili się dyrektorowi i wysłuchując jego wyjaśnień, zerkali na Pawła.

Iwona zostawiła dziennikarkę i z niemałym trudem przecisnęła się do Romana.

- Co tu się dzieje, do diabła? - zapytał.

- Nie mam pojęcia.

- Panie komisarzu... - odezwała się Magda - to nie było morderstwo... z premedytacją... To jakaś aberracja... Panie dyrektorze, nie wiem, co się mu stało, Boże drogi, nie wiem...

- To już ustali śledztwo, proszę pani - rzekł policjant i podszedł do Pawła. - Czy przyznaje się pan do zabójstwa tego mężczyzny?

- Tak - odpowiedział przygaszony.

- Jest pan aresztowany.

Na proscenium tym razem wyszła Magda.

- Ona wygląda na kompletnie zdesperowaną - szepnęła pani Helena do Romana.

- Romku, czy ty widziałeś maszynopis jego sztuki? - zapytała Iwona.

- Skądże. Raz rzuciłem okiem na konspekt, ale wszystko było w powijakach. Niedawno Magda mi powiedziała, że po śmierci taty wprowadził jeszcze parę zmian.

- Doprawdy nic nie pojmuję - stwierdziła pani Helena. - On udusił tego

człowieka?!

- Nie, proszę pani - odezwała się jakaś kobieta z boku. - Gdzież tam udusił! To przecież teatr.

- Tak, tak, sztuka, wielka sztuka! - rozległ się z tyłu donośny męski głos.

Roman spostrzegł, że z głębi widowni przygląda mu się Maria Małgorzata, również szukająca odpowiedzi na to pytanie, bo uniosła brwi.

Odpowiedział jej podobnym wyrazem twarzy.

- Proszę państwa - odezwała się Magda, stając na proscenium - przedstawienie zostało przerwane i nie będzie dokończone.

Zdezorientowani widzowie patrzyli jeden na drugiego i nie wiedzieli -bić brawo czy nie. W końcu ktoś nieśmiało zaklaskał i krzyknął wojowniczo przeciągłym głosem: „bis!"; reszta jakby na to czekała.

Rozległy się rzesiste brawa. Kurtyna powoli opadła.

Koniec.